

# Stalky i spółka



RUDYARD KIPLING

## *Stalky i spółka*

TŁUM. JÓZEF BIRKENMAJER

*„Wielkich Ludzi, pieśni, chwał”  
Małego imienia,  
Bo ich dzieło rośnie wciąż,  
I ich dzieło rośnie wciąż,  
W głąb i wszcz się krzewi wciąż,  
Ponad ich marzenia.*

Wiatr zachodni, morza szum  
Wyrwały nas matkom,  
Rzuciły na nagi brzeg —  
Tuzin domów, gdzie ten brzeg,  
a lat siedem marzył w nich człek  
Z uczniacką czeladką.

Sławnych ludzi był tam rój,  
Wielkiej uczoności;  
Wzięło się tam dużo trzcina,  
Wciąż słyszało się świst trzcina,  
Nikt nam nie żałował trzcina<sup>1</sup>,  
Ze szczerzej miłości.

Od Egiptu aż po Pont  
I przez Himalaje —  
Pełno ludzi z naszych gron,  
Brazylia i Babilon,  
Wyspy czy też Andów skłon,  
Wszędzie nasz człek staje.

Wielkim Ludziom sława wciąż:  
Cześć, Starzy Koledzy!  
Pokazali nam, w czym rzecz,  
Nauczyli nas, w czym rzecz.  
Prawda, Boga Wielka Rzecz,  
Ważniejsza od Wiedzy.

Szerokości każdej znak  
Wybity na świecie,  
Widział już któregoś z nas,  
Zawsze najlepszego z nas,  
Zawsze w pracy, aż po pas —  
Wszędzie nas znajdziecie.

---

<sup>1</sup>Nikt nam nie żałował trzcina — mowa o biciu uczniów trzciniową różgą, uważanym przez wieki za doskonały środek wychowawczy. [przypis edytorski]

A to dał nam każdy mąż  
Od ćwiczeń i słówek:  
Pracy zawsze wiernym bądź.  
Swe zadanie zawsze skończ,  
Bez żadnych wymówek.

Czy sztabowiec, czy też szpieg,  
Czy człowiek podkopów,  
Stał z królami twarzą w twarz,  
Rzekł: — mam szrapnel, co ty masz?  
Był to zawsze człowiek nasz,  
Co najętszy z chłopów!

Uczono nas w kraju wciąż,  
Niezliczone razy,  
Że najlepszą rzeczą jest  
I najprościej zawsze jest,  
Najzdrowiej, najmądrzej jest:  
Czcic wasze rozkazy.

Drudzy, w krajach obcych słońc,  
Mają większe sprawy,  
Służą dzierżąc ziem tych rząd,  
(Wierna służba — oto rząd!)  
Miłość, wierność dzierży rząd,  
Bez zysku ni sławy.

To wpoili mistrze nam,  
Nie wiem, jak i kiedy,  
Lecz poznałem z biegiem lat,  
Dojrzewając z biegiem lat,  
Że to owoc szkolnych lat,  
Że to było wtedy.

Przeto czcijmy mężów tych,  
Ducha Wspaniałego,  
Co wzgardzili swoim Dziś,  
Zapomnieli swoje Dziś,  
W pracy zdarli swoje Dziś,  
Dla Jutra naszego.

„Wielkich Ludzi, pieśni, chwal”  
Małego imienia,  
Bo ich dzieło rośnie wciąż,  
I ich dzieło rośnie wciąż,  
W głąb i wszere się krzewi wciąż,  
Ponad ich marzenia.

## W ZASADZCE

W lecie wszyscy chłopcy, jak się patrzy, budowali sobie za liceum chaty na wydmach porośniętych żarnowcem. Były to właściwie małe gniazdzka, wycięte kozikami w gąszczu kolczastych krzaków, pełne kikutow, splątanych korzeni i cierni, ponieważ jednak budowanie ich było surowo zakazane, uważano je za rozkoszne pałace. I przez pięć lat z rzędu Stalky, M<sup>r</sup>Turk i Beetle (było to w czasie, zanim jeszcze zaszczycono ich osobną pracownią) budowali jak bobry samotną świątynię dumania, w której palili fajki.

Jednakże Mr. Prout, dyrektor ich domu, nie miał o nich zbyt dobrej opinii, a także Foxy, szczywany, rudy sierżant szkolny, niezbyt im dowierzał. Nosił tenisowe pantofle, uzbrojony był w lornetkę, a zadaniem jego było krążyć jak jastrząb nad niegrzecznymi chłopcami. Gdyby on sam w pole wyruszył, chata zostałaby z pewnością osaczona, bo Foxy znał zwyczaj swej zwierzyny. Opatrzność jednak kazała Mr. Proutowi, którego przydomek szkolny, wywodzący się od kształtu jego nogi, brzmiał „Kopyciarz”, poprowadzić wywiad na własny rachunek i właśnie ostrożny Stalky znalazł olbrzymi jego ślad koło chaty pewnego pięknego popołudnia, gdy zagłębiony w tomie Surteesa i zajęty nową fajeczką z głogu gotów był zapomnieć o Proucie i jego czynach. Kruzoe na widok śladu stopy Karaiba nie działałby rychlej od Stalky’ego. Sprzątnął on natychmiast fajki, wymiół szczątki zapalek i pośpieszył ostrzec Beetle’a i M<sup>r</sup>Turka.

Charakterystyczne jednak dla tego chłopca było, iż nie zbliżył się do swoich towarzyszy, dopóki nie odnalazł i nie rozmówił się z małym Hartoppem, przewodniczącym Towarzystwa Nauk Przyrodniczych, instytucji, którą Stalky miał w pogardzie. Hartopp niewymownie się zdziwił, kiedy chłopak uprzejmie, jak to tylko on umiał, zaczął go błagać, aby mu pozwolił zgłosić siebie, Beetle’a i M<sup>r</sup>Turka jako kandydatów, zwierzył mu się z hamowanego od dawna zainteresowania kwiatami, wczesnymi motylami i nowymi zjawiskami i wreszcie okazał gotowość, o ile Mr. Hartopp uznałby za stosowne, rozpoczynając nowe życie od razu. Jako nauczyciel Hartopp był nieufny, równocześnie jednak był też entuzjastą, a jego dobra mała dusza nie była pozbawiona pewnego uprzedzenia do tej trójki, a już szczególnie do Beetle’a z powodu uwag, jakie od czasu do czasu pod jego adresem padały. Toteż, nie chcąc zrażać żalujących grzeszników, okazał się wobec nich miłościwy i wciągnął te trzy nazwiska do swej księgi.

Dopiero wtedy, nie wcześniej, odszukał Stalky, Beetle’a i M<sup>r</sup>Turka we wspólnej sali. Pakowali książki, nad którymi mieli zamiar spędzić spokojnie popołudnie w krzakach żarnowca, zwanych „puszczą”.

— Wszystko przepadło! — rzekł Stalky pogodnie. — Znalazłem po obiedzie lekkie ślady stópek Kopyciarza koło naszej chaty. Bogu dzięki, że je z daleka widać!

— Na-sy-pa-li — piasku! Fajki schowałeś? — zapytał Beetle.

— Gdzieżby! Zostawiłem je, rozumiem się, na samym środku chaty! Co za skończony idiota z ciebie, Beetle! Czy ci się zdaje, że oprócz ciebie nikt już nie myśli? Nie ma co, ta chata już dla nas na nic. Kopyciarz będzie jej pilnował.

— A to kłapa! Co za świństwo! — mówił zaskoczony M<sup>r</sup>Turk, wyrzucając książki zza pazuchy.

Chłopcy nosili swe biblioteki w bluzach, między kołnierzem a paskiem.

— Ładna historia! To znaczy, że z powodu tego podejrzenia do końca kursu będziemy pod bezustannym dozorem.

— Niby dlaczego? Kopyciarz znalazł jedną chatę. On i Foxy będą jej pilnowali. To nas przecie nic a nic nie obchodzi; idzie o to tylko, żebyśmy się w tych stronach przez jakiś czas nie pokazywali.

— Pewnie, ale gdzie się podziejemy? — rzekł Beetle. — Sam wybrałeś to miejsce, a ja... ja... ja chciałem dziś po południu czytać.

Stalky siedział na pulpicie, bębniąc piętami w ławkę.

— Beetle, ty jesteś skończone ciele. Czasami mam wrażenie, jak gdybym powinien was obu puścić kantem. Czy zdarzyło się kiedy, aby o was wuj Stalky zapomniał? *His rebus infectis*<sup>2</sup> — ujrawszy ślady Kopyciarza, okrążające naszą chatę, złapałem małego Hartoppa — *destricto ense*<sup>3</sup> — powiewającego siatką na motyle. Przebłągałem Hartoppa. Oświadczyłem mu, Beetle, że jeśli cię przyjmie, napiszesz odczyt dla Łowców Pluskiew. Zapewniłem go, Turkey<sup>4</sup>, że przepadasz za motylami. Krótko mówiąc, udobruchałem Kartofla i w tej chwili jesteśmy już Łowcami Pluskiew.

— I cóż z tego? — rzekł Beetle.

— Turkey, daj mu w tej chwili kopniaka.

Terytorium, wyznaczone uczniom liceum na małe wycieczki, było w interesie wiedzy znacznie rozszerzone dla członków Towarzystwa Nauk Przyrodniczych. Pod warunkiem,

<sup>2</sup>*His rebus infectis* (łac.) — nie ukończywszy tych spraw. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*destricto ense* (łac.) — z obnażonym mieczem. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Turkey* — przewisko M<sup>r</sup>Turka; *turkey* (ang.) — indyk. [przypis edytorski]

że nie będą wchodzili do domów, mogli się w rzeczywistości wałęsać, gdzie im się podobało; za przyzwoite zachowanie się ręczył Mr. Hartopp.

Beetle zrozumiał to, jak tylko M<sup>r</sup>Turk zaczął go kopać.

— Jestem skończonym osłem, Stalky! — wołał, zasłaniając atakowaną część ciała. — Pax<sup>5</sup>, Turkey, jestem osłem!

— Nie zważaj na niego, Turkey. Czy wasz wuj Stalky nie jest Wielkim Człowiekiem?

— Jest! Jest! — zgadzał się Beetle.

— Ale swoją drogą polowanie na pluskwy to plugawe zajęcie — zauważył M<sup>r</sup>Turk. — W jaki sposób się do tego zabrać?

— W ten sposób! — rzekł Stalky, sięgając do stojących za nim szafek mikrusów. — Mikrusy zawsze wariują za historią naturalną. Tu masz puszkę na rośliny małego Braybrooke'a.

To mówiąc, wyrzucił za okno mnóstwo gnijących, zrosniętych z sobą roślin i rozluźnił rzemień.

— Zdaje się, że to może człowiekowi nadać zupełnie zawodowy wygląd. A tu geologiczny młotek Claya młodszego. To może wziąć Beetle. Turkey, ty pewnie rwiesz się do jakiejś siatki na motyle?

— Niech mnie szlag trafi, jeśli to prawda! — wykrzyknął M<sup>r</sup>Turk po prostu, ale z głębokim przekonaniem. — Beetle, daj mi młotek!

— Dobrze! Ja nie jestem wcale dumny. Zdejm<sup>6</sup> mi tę siatkę, co tam wisi na górze, Stalky!

— Bardzo słusznie. Ty, to składany interes! Te kundle, mikrusy, mają bardzo luksusowe upodobania. Boga mego, to ci zrobione jak wędka! Na świętego Samiwela! Wyglądamy zupełnie jak Łowcy Pluskiew! A teraz słuchajcie, co wam powie wuj Stalky! Pójdziemy na motyle w nadbrzeżne skały. Mało kto tam chodzi. Ale to kawał nie lada. Radziłbym wam zostawić książki!

— Jeszcze czego! — rzekł Beetle stanowczo. — Ani mi się śni wyrzec się przyjemności dla paru parszywych motyli!

— Spocisz się strasznie! To już raczej weź mego Jorrocka. Od niego goręcej ci nie będzie.

Spocili się wszyscy trzej, albowiem Stalky pognał ich ostrym klusem daleko na zachód wzdłuż skał nadbrzeżnych pod zarosłe żarnowcem wydmy, na przełaj przez wąwozy pełne kolczastych krzaków. Nie zwracali najmniejszej uwagi na latające króliki ani cesarskie korony, zaś to, co Turkey mówił o geologii, w żaden sposób nie nadaje się do powtórzenia.

— Czy idziemy do Clovelly? — zapytał wreszcie zdyszany.

Rzucili się na krótką, sprężystą murawę, ogarnięci z jednej strony leniwą sennieścią morza pod nimi, a z drugiej — lekkim wietrzykiem letnim, buszującym wśród drzew w głębi łądy. Patrzyło się stąd w wąwóz pełen starego, wysokiego żarnowca, obsypanego żółtym kwieciami i biegnącego aż ku obramieniu z krzaków jeżyny, ostrokrzewia i ostów. Wyglądało to, jak gdyby pół wąwozu aż do brzegu skały było pełne złotego ognia. Dalej ciągnęło się już otwarte, trawą zarosłe pole, obficie najeżone tablicami z napisami.

— Co za okrutny stary piernik! — odezwał się Stalky, czytając napis na najbliższej tablicy. — *Pod grozą pociągnięcia do jak najsurowszej odpowiedzialności wobec prawa G. M. Dabney, Col., Sędzia Pokoju* i tak dalej. Nie zdaje mi się, żeby człowiek o zdrowych zmysłach chciał przejść tę granicę.

— Trzeba naprzód dowieść, że ktoś zrobił szkodę, bo nie można pociągnąć do odpowiedzialności za nic. Nie może skarżyć o przekroczenie granicy — rzekł M<sup>r</sup>Turk, którego ojciec miał większy majątek ziemski w Irlandii. — To wszystko bzdury!

— Dobrze wiedzieć, bo zdaje mi się, żeśmy właśnie tego potrzebowali. Ależ nie na przełaj, Beetle, ty ślepy wariacie! Toż by nas po pół mili złapano! Tędy! I zwin tę swoją głupkowatą siatkę na motyle.

Beetle wyjął pierścień, schował siatkę do kieszeni, zsunął kij, tak że zrobiła się z niego laska długości dwóch stóp, i opasał się trzciniową obręczą. Stalky poprowadził ich w głąb

<sup>5</sup>pax (łac.) — pokój; tu: proszę o pokój, pogódźmy się. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>zdejm — dziś popr.: zdejmij. [przypis edytorski]

lądu do lasku znajdującego się o jakieś ćwierć mili od morza i tu zatrzymał się u skraju jeżyn.

— Teraz możemy zejść prosto na dół przez krzaki i nie pokazać się więcej — mówił taktyk. — Beetle, sypanaj przed siebie teren. Fu! Gdzieś tu wściekle śmierdzi lisem.

Beetle na czworakach, wyjąwszy, kiedy łapał spadające okulary, zaczął się czołgać przez kolczasty gąszcz i wkrótce wśród jęków bólu oznajmił, iż znalazł bardzo piękny lisi przesmyk. Dobrze się to dla niego składało, bo Stalky szczyptał go *a tergo*<sup>7</sup>. Tym tunelem czołgali się na dół. Był to widocznie gościniec mieszkańców wąwozu, prowadzący, ku niewypowiedzianej radości chłopców, na sam skraj skały nadbrzeżnej i kończącej się kilku kwadratowymi stopami suchej murawy, ze wszystkich stron otoczonej ścianami nieprzeniknionych, kolczastych zarośli.

— Słowo daję, tu dopiero można się położyć! — rzekł Stalky, chowając nóż do kieszeni. — Patrzcie!

Rozsunął tęgie łodygi przed sobą i zdawało się, jak gdyby nagle otworzyło się okno na daleką panoramę Lundy. O dwieście stóp pod nimi falujące morze obwąchiwało leniwie żwir nadbrzeżny. Słychać było młode kawki pokrzykujące na rafach, poświstywanie i zgiełk jakiegoś niewidzialnego jastrzębiego gniazda; zaś Stalky z wielką powagą pluwał na grzbiet młodemu królikowi, wygrzewającemu się na słońcu daleko pod nim, tam gdzie tylko skalny królik może znaleźć dla swych stóp oparcie. Wielkie szare i czarne mewy skrzeczały, opędzając się od kawek; włóki aromatycznego kwiecia dokoła tętniły życiem nisko gnieźdzących się ptaków, śpiewających lub milczących, w miarę jak cień kołujących jastrzębi przybliżał się lub oddalał; a na otwartym polu po drugiej stronie wąwozu tarzały się i skakały wesoło króliki.

— Fi! Co za kącik! To ci dopiero historia naturalna! — odezwał się Stalky, nabijając fajeczkę. — Może tu nie byczo, co! Pocziwe, stare morze!

Splunął znowu z uznaniem i umilkł.

M<sup>r</sup>Turk i Beetle wyjęli książki i legli na brzuchach z brodami w dłoniach. Morze chrapało i gulgotało; ptaki rozproszone na chwilę przez przybycie tych nowych zwierząt wróciły do swych zajęć, zaś chłopcy czytali w bujnej, rozparzonej, sennej ciszy.

— Hallo, jakiś dozorca! — odezwał się Stalky, zamykając ostrożnie *Handley Cross*<sup>8</sup> i patrząc przez krzaki.

Po wschodniej stronie zjawił się na horyzoncie człowiek z fuzją.

— Bodaj go jasny piorun, on chce sięść!

— Przysiągłby pewnie, że jesteśmy kłusownikami! — rzekł Beetle. — Ale co komu po bażancich jajach! Są zawsze zgniłe.

— Ja myślę, że nieźle byłoby dać nogę w krzaki — zauważył Stalky. — Wcale nam nie jest potrzebne, żeby G. M. Dabney Col. , Sędzia Pokoju, tak prędko zaczął się nami zajmować. W puszczy i cicho! Kto wie, czy ten drab nie szedł za nami, rozumiecie?

Beetle był już daleko w tunelu. Usłyszeli, jak stęknął w jakiś dziwny, niebywały sposób; rozległ się trzask gałęzi łamanych przez ciężkie jakieś ciało, przedzierające się przez krzaki.

— Mam cię, ty mały, czerwony lotrze!

Gajowy złożył się nagle i wypalił z obu luf w ich kierunku. Śrut zaszumiał w suchych łodygach dokoła nich, że aż się kurz posypał, równocześnie zaś wielki lis przeleciał między nogami Stalky'ego i pomknął ku skrajowi skały.

Nie odezwali się ani słowem, póki nie znaleźli się w gąszczu, podrapani, rozczochrani, zgrzani, ale przecie nie dostrzeżeni przez nikogo.

— Omal że się nam nie dostało! — odezwał się Stalky. — Przysiągłbym, że kilka śrucin przeleciało mi między włosami.

— Widziałeś go? — mówił Beetle. — Mało brakowało, a byłbym na niego upadł. Ale to był ogrom! A śmierdział! Hallo, Turkey, co ci jest? Czyś ranny?

Chuda twarz M<sup>r</sup>Turka zrobiła się perłowo-biała; usta, zwykle na pół otwarte, były mocno zaciśnięte, a oczy aż się żarzyły. Nigdy go takim nie widzieli, wyjąwszy raz w bolesnym okresie wojny domowej.

<sup>7</sup>*a tergo* (łac.) — w plecy, z tyłu. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*Handley Cross* (1843) — książka R. S. Surteesa (1805–1864). [przypis edytorski]

— A czy wy wiecie, że to się równa morderstwu? — rzekł chrapliwym głosem, zgar-  
niając ciernie z głowy.

— Kiedy nam i tak nic nie zrobił! — wtrącił Stalky. — To przecie tylko szopa! No,  
gdzież ty idziesz?

— Idę do dworu, jeśli tu jakkolwiek jest — odpowiedział M<sup>r</sup>Turk, przedzierając się  
przez osty. — Powiem to pułkownikowi Dabneyowi!

— Czyś zwariował? Powie z pewnością, że się nam to słusznie należało. Zrobi na  
nas doniesienie. Dostaniemy publiczne lanie przed całą szkołą. Turkey, nie bądź osłem!  
Pomyśl o nas!

— Idioto jakiś! — zawołał M<sup>r</sup>Turk, odwróciwszy się gwałtownie. — Myślisz, że mnie  
idzie o nas? Idzie o gajowego!

— Zwariował! — rzekł Beetle żałośnie, idąc za nim.

W samej rzeczy, był to jakiś nowy Turkey — Turkey wyniosły, kanciasty, zadzierający  
nosa — za którym oni szli przez porzeczki i maliny w ogrodzie prosto ku trawnikowi, na  
którym stał z urzędnikiem starszy jegomość z siwizną u skroni, słuchając i klnąc zaciekle  
na przemiany.

— Czy pan pułkownik Dabney? — zaczął M<sup>r</sup>Turk swym nowym, chrapliwym głosem.

— Tak jest, ja, ja, a — oczy jego wędrowały po chłopcu od góry do dołu — kto...  
czego u diabła wy tu chcecie? Spłoszyliście mi bażanty. Nie próbujcie przeczyć. Nie ma  
się z czego śmiać! (Niezbyt piękne lica M<sup>r</sup>Turka skurczyły się w okropny grymas śmiechu  
przy słowie „bażanty”). Wybieraliście mi jaja z gniazd. Na próżno chowasz czapkę, wiem  
dobrze, że jesteś z liceum. Nie próbuj przeczyć! Jesteś z liceum. Proszę natychmiast o na-  
zwisko i numer, paniczu. Chciałeś ze mną mówić, co? Moje tablice z napisami widziałeś?  
Musiałeś widzieć! Nie próbuj przeczyć! Widziałeś! O, karygodne! Karygodne!

Pułkownik dusił się z gniewu. M<sup>r</sup>Turk tupał z lekka piętą w trawnik i jękał się trochę  
— dwie niezawodne oznaki, że traci panowanie nad sobą. Ale o cóż miał być zły, on,  
winowajca?

— Nie... niech pan posłucha, proszę pana. Czy... czy pan strzela lisy? Bo jeśli pan nie  
strzela, to pański gajowy strzela. Widzieliśmy na własne oczy. Ja... ja gwizdę na pań-  
skie wyzwiska — ale to okropność! To przecie uniemożliwia wszelkie uczucia sąsiedzkie!  
Męż... mężczyzna musi raz na zawsze powiedzieć, jakie stanowisko zajmuje wobec okresu  
ochronnego! To gorsze od morderstwa, bo przeciw temu nie ma legalnego środka!

M<sup>r</sup>Turk cytował chaotycznie słowa ojca, podczas gdy starszy jegomość wyprawiał  
dziwne hałasy w gardle.

— Czy wiesz, kto ja jestem? — zagulgotał wreszcie.

Stalky i Beetle zdrżeli.

— Nie, mój panie, i nic mi na tym nie zależy, choćby pan nawet był samym wicekró-  
lem! Proszę mi tu zaraz odpowiedzieć, jak gentelman gentelmanowi: czy pan strzelasz  
lisy, czy nie?

A przecież cztery lata temu Stalky i Beetle tak starannie wykopali M<sup>r</sup>Turka z jego  
irländzkiego dialektu! Najniewątpliwiej w świecie zwariował albo dostał porażenia słoń-  
ecznego i tak samo niewątpliwie dostanie różniętkę<sup>9</sup> — naprzód od starego gentelmana,  
a potem od dyrektora. Najmniejsze, czego się wszyscy trzej mogli spodziewać, to była  
chłosta publiczna. Jednakże — jeśli własnym oczom i uszom mogli wierzyć — starszy  
pan zmiękł. Mogła to być cisza przed burzą, ale...

— Ja nie strzelam!

Wciąż jeszcze gulgotał.

— To pan musi wylać swego gajowego. On nie godzien mieszkać razem z przywoitym  
lisem w jednym i tym samym hrabstwie. I w dodatku lisica w tej porze roku!

— Czy przyszedłeś rozmyślnie po to, żeby mi to powiedzieć?

— Rozumie się, że tak, dziwny człowieku! — odpowiedział M<sup>r</sup>Turk, tupiąc nogą.  
— Czyżbyś pan nie zrobił tego samego dla mnie, gdyby się panu zdarzyło zauważyć coś  
podobnego w moim majątku?

W niepamięć — w niepamięć poszło liceum i szacunek należny starszym. M<sup>r</sup>Turk  
znowu stąpał po jałowych, purpurowych górach dżdżystego wybrzeża zachodniego, gdzie

Kara, Pozycja społeczna

Szlachcic

<sup>9</sup>różniętka — tu: bicie, kara fizyczna. [przypis edytorski]

podczas ferii był wicekrólem czterech tysięcy akrów gołej ziemi, jedynym synem w trzysetletnim domu, panem dziurawej łodzi rybackiej i bożyszczem ubogich dzierżawców swego ojca. To ziemianin mówił do równego sobie — głębina wołała do głębin — i stary gentelman zrozumiał to wołanie.

— Przepraszam! — rzekł. — Przepraszam bez zastrzeżeń — pana i Stary Kraj. A teraz może pan będzie tak dobry i zechce mi opowiedzieć, jak to było?

— Byliśmy w pańskim jarze — zaczął M<sup>r</sup>Turk i opowiadał dalej na przemiany, to jak żak, to znowu, gdy niegodziwość gajowego wyprowadzała go z równowagi, jak oburzony obywatel wiejski. Wreszcie zakończył:

— Jak pan z tego widzi — musiało to już wejść u niego w zwyczaj. Ja... my... nigdy chętnie nie oskarża się służby sąsiada, ale w tym wypadku pozwoliłem sobie.

— Rozumiem. Oczywiście. I miałeś pan zupełną słuszność. Haniebne — och, haniebne!

Szli koło siebie razem po trawniku, a pułkownik Dabney rozmawiał jak z równym sobie.

— Oto skutki awansowania rybaka! Rybaka, którego osobiście wyciągnąłem z jego sieci na homary! Przecie tego dość, aby zepsuć reputację archanioła! Niech pan nie próbuje przeczyć! To fakt. Dobrze pana wychował ojciec. Tak jest. Cieszyłbym się bardzo, gdybym go mógł poznać. Tak jest, bardzo. A ci dwaj panicze? Anglicy. Niech pan nie próbuje przeczyć. Oni także z panem przyszli? Nadzwyczajne! Nadzwyczajne, doprawdy. Nigdy bym nie przypuszczał, żeby przy dzisiejszym stanie wychowania mogło się znaleźć trzech chłopców ze zdrowymi zasadami... ale prawda pochodzi z ust... Nie, nie! To się do was nie stosuje! Nie próbujcie przeczyć! Wy nie! Sherry chwyta mnie zawsze za wątrobę, ale — piwo, co? Ha? Co powiecie na piwo i mały podwieczorek? Dawno już temu, jak byłem chłopcem — straszne to szkodniki. Ale wyjątki potwierdzają tylko regułę. I w dodatku lisica!

Nakarmiła ich na tarasie siwowłosa gospodyni. Stalky i Beetle głównie jedli, ale M<sup>r</sup>Turk z szeroko otwartymi oczami prowadził swobodną, lekką rozmowę, a starszy pan traktował go jak brata.

— Ależ rozumie się, mój drogi, możecie przyjść znowu. Czyż nie powiedziałem, że wyjątki potwierdzają regułę? Dolna część wąwozu? Człowieku, gdzie się wam podoba, byleście mi nie ploszyli bażantów. Te dwie rzeczy nie są bynajmniej nie do pogodzenia. Nie próbujcie przeczyć. To fakt, a swoją drogą, nie pozwolę już gajowemu nosić strzelby. Przychodźcie i chodźcie sobie, gdzie chcecie. Ja was nie będę widział, wy nie potrzebujecie widzieć mnie. Jesteście dobrze wychowani. Jeszcze szklankę piwa, co? Powiadam ci — był rybakiem i dziś wieczór znowu rybakiem zostanie. Zostanie! Najchętniej utopiłbym go. Odprowadzę was do domku odźwiernego. Moi ludzie nie są szczególnie... e... uprzejmi dla chłopców w waszym wieku, ale *was* na drugi raz poznają.

Po wielu komplementach pożegnał ich przy domku odźwiernego, w wysokiej bramie u dębowych sztachet parku.

Chłopcy stali przez jakiś czas w milczeniu. Nawet Stalky, który grał drugie, jeśli nie nieme skrzypce, patrzył na M<sup>r</sup>Turka jak na człowieka nie z tego świata. Dwie szklanki mocnego, domowego piwa snadź usposobiły chłopca melancholijnie, bo idąc z rękami w kieszeniach zanucił z cicha:

Oh, Paddy drogi, zali<sup>10</sup> wiesz,  
co ludzie szepcą sobie?

Kiedy indziej Stalky i Beetle rzuciliby się na niego natychmiast, bo ta pieśń była ze względu na swą siłę czarodziejską wyklęta — *anathema*. Widząc jednakże, czego dokonał, tańczyli dokoła niego w milczeniu, czekając, aż raczy zstąpić na ziemię.

Dzwonek zwołujący na herbatę odezwał się, kiedy byli o pół mili od liceum. M<sup>r</sup>Turk drgnął i ocknął się ze swych marzeń. Opuściła go wakacyjna chwała majątku ziemskiego. Znowu był mówiącym po angielsku uczniem liceum.

<sup>10</sup>*zali* (daw.) — czy. [przypis edytorski]



— Turkey, to było niesłychane! — pochwalił go Stalky szlachetnie. — Nie wiedziałem, że to w tobie siedzi. Zdobyłeś dla nas na cały kurs chatę, w której po prostu nikt nie może nas złapać.

Wirowali dziko na piętach, jodlując według przyjętego zwyczaju długim okrzykiem zwycięstwa, zbliżonym do pieśni triumfalnej dzikich i zbiegli ze wzgórza ścieżką, prowadzącą od gazometru, na dół, właśnie w samą porę, aby się spotkać z gospodarzem, który całe popołudnie spędził na pilnowaniu ich opuszczonej chaty w „puszczy”.

Na szczęście, cała wyobraźnia Mr. Prouta skłaniała się ku ciemniejszej stronie życia, skutkiem czego bardzo kwaśno patrzył na tych cherubinów o niewinnym spojrzeniu. Chłopcy, jak Prout ich rozumiał, zajmowali się meczami klasowymi, do których ich też w każdej chwili można było zawołać. On jednak słyszał, jak Mr. Turk publicznie wyśmiewał palanta — nawet mecze klasowe; wiedział, że zapatrywania Beetle’a na „honor klasy” są wprost rewolucyjne, i nigdy nie mógł z całą pewnością powiedzieć, kiedy gładki i uśmiechnięty Stalky śmieje się z niego. A wobec tego — jako że natura ludzka jest taka, jaka jest — ci chłopcy musieli gdzieś nabroić! Spodziewał się, że to nic poważniejszego, ale...

— *Ta-ra-la-la-i-ti!* Oto ma pieśń zwycięska! Słuchajcie!

Stalky, wciąż jeszcze wirując na piętach, poleciał do jadalni jak tańczący derwisz.

— *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto ma pieśń zwycięska! Słuchajcie! — piruetował za nim Beetle z rozkrzyżowanymi ramionami.

— *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto pieśń mego zwycięstwa! Słuchajcie! — zaskrzeczał głos M<sup>r</sup>Turka.

Ale gdy go mijali, czy zalatywało od nich piwem, czy nie?

Nieszczęście tkwiło w tym, iż jego sumienie gospodarza<sup>11</sup> klasy kazało mu zasięgnąć rady u kolegów. Gdyby powędrował ze swą fajką i kłopotami do pokoju małego Hartoppa, byłby sobie może oszczędził wstydu. Bo Hartopp miał do chłopców zaufanie i niejedno o nich wiedział. Los skierował go do Kinga, również gospodarza klasy, ale niezbyt mu życzliwego, a nienawidzącego gorliwie Stalky’ego i Spółki.

— A — ha! — rzekł King, zacierając ręce po wysłuchaniu historii. — Ciekawe! *W mojej klasie nigdy nikomu coś podobnego na myśl nawet nie przyjdzie.*

— Widzi pan — prawdę mówiąc, nie mam dowodu!

— Dowodu? Dla naszego znakomitego Beetle’a! Jak gdyby go było potrzeba! Przypuszczam, że dostarczenie dowodu nie będzie niepodobieństwem dla sierżanta. Przynajmniej w mojej klasie uchodzi Foxy za niezwykłego w wyłapywaniu krętaczy. Z całą pewnością palili gdzieś i pili. Chłopcy tego typu zawsze to robią. Zdaje się im, że to po męsku.

— Ale oni mało z kim się w szkole wdają, a wobec młodszych są wyraźnie — no — brutalni — rzekł Prout, który widział z daleka, jak Beetle oddawał z procentem siatkę na motyle zapłakanemu mikrusowi.

— Oczywiście! Uważają się za wyższych ponad zwykle rozrywki. Małe zarozumiałe bydłatka! W tym szyderczym, celtyckim uśmiechu M<sup>r</sup>Turka jest coś, co mnie denerwowałoby trochę. A jak starannie oni się zawsze ze wszystkim kryją! Bezcelność wprost na zimno obmyślana, z góry ułożona. Jak pan wie, jestem bezwzględny przeciwnikiem wtrącania się do spraw cudzych klas, ale tym chłopcom trzeba dać nauczki, Prout, i to dobrą nauczki, jeśli chcemy poskromić bodaj tylko ich wybujałą pewność siebie. Gdybym był na pańskim miejscu, zająłbym się przez jakiś tydzień ich sprawkami. Chłopcy tego rodzaju — być może, że sobie pochlebiam, ale ja myślę, że chłopców znam — nie wstępują do Łowców Pluskiew bez kozery<sup>12</sup>. Niech pan powie sierżantowi, aby miał oczy otwarte; ja też będę uważał podczas swych wędrówek.

— *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto ma pieśń zwycięska! Słuchajcie! — zabrzmiało daleko w głębi korytarza.

— Wstrętne! — rzekł King. — Gdzie oni się nauczyli tego bezwstydnego wycia! Koniecznie potrzebują dobrej nauczki.

<sup>11</sup>gospodarz klasy — tu: wychowawca klasy. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>bez kozery — tu: bez powodu, bez jakiegось ukrytego celu. [przypis edytorski]

Ale chłopcy nie troszczyli się o nauzkę przez kilka następnych dni. Mieli do swego rozporządzenia cały majątek pułkownika Dabneya i przetrząsali go z ostrożnością Czerwonoskórych a dokładnością włamywaczy. Mogli wchodzić przez bramę koło domku odzwrotnego z górnej drogi — nie omieszkałi zaprzyjaźnić się z odzwrotnym i jego żoną — mogli, zszedłszy na dno wąwozu, wracać wzdłuż skał nadbrzeżnych albo też, zacząwszy od wąwozu, piąć się na górę aż ku gościńcowi.

Uważali starannie, aby nie wejść w drogę pułkownikowi — on swoje zrobił i nie należało nadużywać jego gościnności — nie pokazywali się też na horyzoncie, gdy mogli się poruszać w ukryciu. Najulubieńszym ich kątem była kryjówka w krzakach na brzegu skały. Beetle nazwał ją *Zaczarowaną Grotą*<sup>13</sup>, tak dla spokoju, jak i schronienia, jakie dawała. Gdy tu leżeli z fajkami i tytoniem umieszczonym wygodnie na długość ramienia, pozycja ich była prawie nie do zdobycia.

Albowiem, zapamiętajmy to sobie, pułkownik Dabney nie zaprosił ich do swego domu. Z tego powodu nie potrzebowali prosić o specjalne pozwolenie bywania u niego; a pod tym względem przepisy szkolne były bardzo surowe. On dał im tylko wstęp na swe grunta, ponieważ zaś byli regularnymi Łowcami Pluskiew, rozszerzone granice ich działalności obejmowały jego tablice w wąwozie i bramy jego parku na górze.

Byli olśnieni swą własną cnotliwością.

— Ale nawet gdyby tak nie było! — mówił Stalky, leżąc na wznak i wpatrując się w błękit. — Przypuśćmy nawet, że jesteśmy kilka mil za granicami szkolnymi, nikt, kto nie wie, gdzie tunel, złapać nas w tej puszczy nie może. Czyż to nie lepsze, niż leżenie tuż za budą<sup>14</sup> i pietranie się, ile razy chciało się zapalić fajkę? Czyż wasz wuj Stalky nie jest...

— Nie! — rzekł Beetle wyciągnięty na brzegu skały i polując w zamyśleniu. — Zawdzięczamy to Turkowi. Turkey jest Wielki Człowiek! Turkey, wiesz ty, kochanie, że do rozpaczy doprowadzasz Kopycińsia?

— Głupi, stary osio! — mruknął zaczytany M<sup>r</sup>Turk.

— Znowu zaczynają nas podejrzewać! — zaczął Stalky. — Kopytko stał się dziwnie podejrzliwy od jakiegoś czasu, a Foxy, ile razy urządził obławę, zawsze musi przynieść coś w rodzaju, w rodzaju...

— Skalpu! — rzekł Beetle. — Foxy jest durny Czinganguk<sup>15</sup>!

— Biedny Foxy! — rzucił Stalky. — Wyobraża sobie, że nas w tych dniach złapie. Powiedział mi wczoraj w sali gimnastycznej: „Mam panicza na oku, Mr. Corkran. Ostrzegam panicza tylko dla pańskiego dobra”. Odpowiedziałem mu na to: „Radzę wam dać temu spokój, bo wpadniecie. Ostrzegam was tylko dla waszego dobra”. Foxy był wściekły.

— Cóż, dla Foxy’ego to tylko wesoły sport! — rzekł Beetle. — Kopyciarski, to prawdziwy szpicel! I nie dziwię się, jeśli myśli, żeśmy się wstawili...

— Ja się urządziłem tylko raz, podczas świąt — mówił Stalky z namysłem. — Strasznie się potem przechorowałem. Ale, jak Boga mego, jak się ma za gospodarza klasy takiego bydlaka jak Kopytko, można się rozpić.

— Gdybyśmy chodzili na mecze i ryczeli: „Doskonale, panie profesorze!”, gdybyśmy stali na jednej nodze i wyszczerzali zęby, ile razy Kopytius powie: „Dalej, dziatki, żwawo”, a my mu na to: „Tak jest, prosz pampSORA<sup>16</sup>” lub: „Prosimy, prosz pampSORA”, jak to robi zgraja parszywych mikrusów, Kopytkowski wynosiłby nas pod niebiosa — rzekł M<sup>r</sup>Turk z drwiącym uśmiechem.

— Trochę za późno zaczynać.

— A po co? I tak wszystko w porządku. Kopyciański nie chce niczego złego. Ale on jest osioł. A my *dajemy mu do poznania*, że go uważamy za osła. *Dlatego* Kopyćcio nas nie kocha. Wczoraj po modlitwie powiedział mi, że on jest *loco parentis*<sup>17</sup>! — śmiał się Beetle.

<sup>13</sup>*Zaczarowana Grotą* — po ang. *Pleasant Isle of Aves*, Wyspa Rajskich Ptaków a. Cudowna Ptasia Wyspa, cytata z wiersza Charlesa Kingsleya *The Last Buccaneer*, opisującego wyspę Isla Aves na Morzu Karaibskim. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*buda* (daw. pot.) — szkoła (w żargonie uczniowskim). [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*Czinganguk*, własc. *Chingachgook* a. *Chingachgook* — imię ostatniego Mohikanina z powieści Jamesa Fenimore’a Coopera; tu: Indianin. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*prosz pampSORA* — uczniowski skrót zwrotu grzecznościowego: proszę pana profesora. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*loco parentis* (łac.) — zastępca rodziców. [przypis edytorski]

— Chorrroba! — wykrzyknął Stalky. — To znaczy, że knuje jakieś niesłychane łajdactwo! Ostatni raz mi to powiedział, jak mi dał trzysta wierszy do przepisania za tańczenie kaczczy w sypialni nr 10. *Loco parentis*, jak Boga mego! Ale co nas obchodzą te głupstwa, dopóki jesteśmy szczęśliwi. Nic nam zarzucić nie można.

Tak było i właśnie ta ich nienaganność wprowadzała w zakłopotanie Prouta, Kinga i sierżanta. Chłopcy mający coś na sumieniu zwykle się zdradzają. Cichaczem wymykają się pośpiesznie za bramę, a zapytani śmieją się nerwowo. Wracają w nieładzie tuż przed apelem. Dają sobie znaki głowami, rozmawiają na migi i chichoczą, rozpraszając się, jak tylko zauważą zbliżającego się nauczyciela. Ale Stalky i jego towarzysze dawno już wyszli z okresu tych młodocianych manifestacji. Wychodzili jakby nigdy nic i wracali w zupełnym porządku po lekkim podwieczorku z poziomek ze śmietaną w domku odzwiernego.

Ponieważ w miejsce krwiożerczego rybaka gajowym został mianowany odzwierny, żona jego miała dla chłopców wielki szacunek. Prócz tego odzwierny dał im wiewiórkę, którą oni znów ofiarowali Towarzystwu Nauk Przyrodniczych, dając tym równocześnie mata małemu Hartoppowi, już chcącemu zapytać, co też oni robią dla Wiedzy. Foxy sumiennie zbadał kilka głębokich stromych dróg dewońskich za pewną samotną oberżą na rozstaju, a ciekawą było rzeczą, że także Prout i King, rzadko obcujący z sobą przyjaźnie członkowie „ciała nauczycielskiego”, kroczyli razem w tym samym kierunku — to znaczy na północny wschód. A tymczasem Czarodziejska Grota leżała dobrze na południowy zachód.

— Oni są chytry — piekielnie chytry! — mówił Stalky. — Ale dlaczego nas aż tam szukają?

— Ja wiem! — odezwał się Beetle słodko. — Pytałem Foxy'ego, czy próbował kiedy w tej oberży piwa. To mu wystarczyło i dodało mu trochę ducha. On i Kopycio tak długo węszyli koło naszej starej chaty, że pomyślałem, iż nie będą mieli nic przeciw jakiejś zmianie.

— Dobrze, ale to przecie wiecznie trwać nie może — zauważył Stalky. — Kopytkowicz chodzi nadęty jak chmura gradowa, a King zaciera wciąż przednie łapy i szczyrzy zęby jak hiena. Na Kinga działa to okropnie demoralizująco. Jeszcze którego dnia pęknie...

Ten dzień przyszedł nieco wcześniej, niż się spodziewali — przyszedł, kiedy sierżant, którego obowiązkiem było zbieranie niepunktualnych, nie pojawił się przy zbiórce poobiedniej.

— Ma już dość marudów, co? Poszedł na górę, żeby nas wymacać stamtąd lornetką — rzekł Stalky. — Dziw, że dawniej o tym nie pomyślał. Widzieliście, jakie oko do nas zrobił stary Kopyto przy zbiórce? Kopycińsio też w tym palce umaczał. *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto mój śpiew zwycięski! Słuchajcie! Chodźmy!

— Do Groty? — zapytał Beetle.

— Naturalnie, tylko że ja nie palę *aujourd'hui*<sup>18</sup>. *Parce que*<sup>19</sup> *je*<sup>20</sup> zupełnie *slusnement*<sup>21</sup> *pense*<sup>22</sup>, że dziś będziemy *suivis*<sup>23</sup>. Pójdziemy sobie wzdłuż skał, powolutku, tak żeby Foxy mógł nam nadążyć<sup>24</sup> na gorze.

Skierowali się ku pływalni i nagle ujrzeli przed sobą Kinga.

— O, ja wam przeszkadzać nie będę! — wykrzyknął na ich widok. — Zajęci naukowymi badaniami, oczywiście? Jestem pewny, że się dobrze zabawicie, moi młodzi przyjaciele.

— Widzicie! — rzekł Stalky, kiedy King nie mógł ich już usłyszeć. — Nie potrafi dochować sekretu. Idzie, żeby nam przeciąć linię odwrotu. U łazienek zaczeka na Kopyciarza. Obsadzili wszystkie miejsca, wyjąwszy drogi wzdłuż skał, i teraz myślą, że nas zakorkowali jak w butelce. Nie ma się po co śpieszyć.

Szli powoli przez wąwozy, aż wreszcie stanęli na linii tablic.

<sup>18</sup>*aujourd'hui* (fr.) — dzisiaj. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*parce que* (fr.) — ponieważ; dlatego że. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*je* (fr.) — ja. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*slusne-ment* — żartobliwa stylizacja, dodanie do polskiego słowa fr. formantu przysłówka *-ment*: słusznie, z pewnością. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*penser* (fr.) — myśleć; *je pense* (fr.) — myślę. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*suiwi* (fr.) — śledzony; *suivis* (fr.) — śledzeni. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*nam nadążyć* — dziś: za nami nadążyć. [przypis edytorski]

— Posłuchajcie, chłopcy. Foxy nakręcony jest tak, że będzie musiał posypać się za nimi z góry na dół jak groch. Jak tylko usłyszycie, że się przedziera przez krzaki, walcie wprost do Groty. Oni chcą nas złapać *flagrante delicto*<sup>25</sup>.

Zanurzyli się w krzewiu pod prostym kątem do tunelu, otwarcie idąc przez trawę, i legli cicho w Grocie.

— Nie mówiłem?

Stalky schował starannie tytoń i fajki. Sierżant, bez tchu, oparł się o płot, próbując za pomocą lornetki przeszukać zarośla, ale z równym powodzeniem mógł próbować patrzeć przez worek z piaskiem. Wkrótce pojawił się za nim Prout i King. Naradzali się.

— Aha, Foxy'emu nie podobają się tablice, ale nie podobają mu się także i ciernie. No, to teraz sypmy tunelem na dół, pójdziemy do domu odźwiernego. Hallo! Oni posłali Foxy'ego w krzaki!

Foxy tkwił po pas w trzeszczącym, kołyszącym się krzewiu, z uszami pełnymi zgiełku własnych kroków. Chłopcy dotarli do lasku na górze i patrzyli na dół przez pas ostrokrzewiu.

— Hałas piekielny! — zauważył Stalky krytycznie. — Nie sądzę, aby się to pułkownikowi Dabneyowi spodobało. Powiadam wam, chodźmy do domku odźwiernego i sfrygajmy co tymczasem. Zobaczymy w sam raz koniec komedii.

Nagle przebiegł koło nich dozorca.

— Na miłość boską, kto tam jest na dnie wąwozu? Pan się wścieknie! — zawołał.

— Prawdopodobnie kłusownicy! — odpowiedział Stalky w szerokim dialekcie dewońskim<sup>26</sup>, który stanowił ich *langue de guerre*<sup>27</sup>.

— Już ja im dam kłusa!

Zleciał w lejkowaty wąwóz, który po chwili zaczął się napępniać wrzawą. Zwłaszcza wyraźnie słyhać było głos Kinga wołającego:

— Naprzód, sierżancie. Proszę mu dać spokój, panie! On spełnia mój rozkaz!

— A któż wy jesteście, żebyście tu rozkazywali, dziadu jeden! A wy pójdziecie ze mną do pana. Wyłazić z krzaków. (To do sierżanta). Ale jo, to sie wi, żeście przyszli za chłopcami. Ino że ci chłopcy mają długie uszy i białe brzuchy, a wy je chowacie do kieszeni, jak już nie żyją. Marsz do pana! On wam pokaże chłopców, że do końca życia popamiętacie. A wy tam — siedzieć za płotem!

— Wytłumaczcie właścicielowi! Możecie wytłumaczyć, sierżancie! — krzyczał King.

Widocznie sierżant poddał się przeważającej sile.

Beetle leżał jak długi na trawie za domkiem odźwiernego, literalnie gryząc ziemię w spazmie radości.

Stalky kopniakami przyprowadził go do przytomności. Na jego twarzy jak i na twarzy M<sup>o</sup>Turka nie było ani śladu wesołości; tylko muskuł jakiś drgał im czasem w policzku.

Zapukali do drzwi domku, w którym byli zawsze mile widzianymi gośćmi.

— Chodźcie ino i siadajcie, moi złoci! — przywitała ich żona dozorca. — Nic mojemu chłopu nie zrobią. Już on im pokaże! Świeże poziomki i śmietana. My, ludzie z Dartmoor, nie zapominamy nigdy o swych przyjaciółach. Ale ci bidefordzcy kłusownicy, to wszystko hołota. Może cukru jeszcze? Mój mąż złapał dla was borsuka, moi panicze. Jest tam w sianie, w skrzynce.

— Weźmiemy go, jak zjemy. Ale, jak widzę, pani przy pracy. My sobie tu posiedzimy, a — u pani dziś pranie, jak się zdaje — mówił Stalky. — My pani nie będziemy zawracali głowy. Niech pani na nas zupełnie nie zważa. Tak. Śmietany aż za dużo!

Kobieta odeszła, obcierając o fartuch czerwone ręce i pozostawiła ich samych w poczekalni. Dał się słyszeć odgłos kroków na żwirze za oprawnymi w ołów, szlifowanymi szybkami, po czym zabrzmiał głos pułkownika Dabneya, nieco donośniejszy od trąbki.

— Czytać umiecie? Macie oczy w głowie? Proszę nie próbować przeczytać! Macie!

Beetle zerwał jakąś serwetkę sztydelkową z ceratowej kanapy, wepchnął ją sobie w usta i zniknął, potoczywszy się w jakiś kąt.

Śmiech

<sup>25</sup>*flagrante delicto* (łac.) — na gorącym uczynku. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*dewoński* — pochodzący z hrabstwa Devon na Półwyspie Kornwalijskim w południowo-zach. Anglii. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*langue de guerre* (fr.) — język wojenny. [przypis edytorski]

— Pan widziałeś moje tablice! Pański obowiązek? Gwiżdżę na pański obowiązek! Podziwiam pańską bezczelność, mój panie! Pańskim obowiązkiem było trzymać się z dala od mych gruntów. On będzie mnie mówił o obowiązku! Jak to — jak to — jak to, zwyrodniały kłusowniku, pan mnie będziesz uczył? Ryczeć jak wół w tych krzakach w wąwozie? Chłopcy? Chłopcy? Chłopcy? To trzymajcie swych drągali w domu! Ja nie jestem za waszych chłopców odpowiedzialny! Ale zresztą ja temu nie wierzę — nie wierzę ani słowa! Pan masz w oczach to chytre spojrzenie — chytre, niskie, kłusownicze spojrzenie w oczach, wystarczające, wystarczające, aby popsuć reputację archaniola! Nie próbuj pan przeczyć! To fakt! Sierżant? Tym bardziej powinienes się pan wstydzić! Najgorszy interes, jaki kiedykolwiek zrobił Najjaśniejszy Pan! Sierżant latający po kraju i uprawiający kłusownictwo — na emeryturze! Karygodne! Oh, karygodne! Ale ja będę względny. Będę miłosierny. Na Boga, będę kwintesencją ludzkości. Widziałeś pan moje tablice czy nie? Nie próbuj pan przeczyć. Widziałeś! Milczeć, sierżancie!

Dwadzieścia jeden lat służby wojskowej wybiły na Foxy'm swe piętno. Umilkł.

— A teraz — marsz!

Wysoka brama szczęknęła, zamykając się.

— Mój obowiązek! Sierżant będzie mnie uczył obowiązków — parsknął pułkownik Dabney. — Boże! Znowu sierżanci!

— To King! To King! — dławił się Stalky z głową pod poduszką kanapy.

M<sup>r</sup>Turk pożerał dywanik przed niepokalanym kominkiem, a kanapa skrzypiała w takt konwulsyjnych drgawek Beetle'a. Przez grube szkło widać było niebieskie, powykręcane, groźne figury.

— Ja... ja protestuję przeciw tej zniewadze!

King widocznie biegł pod górę.

— Ten człowiek spełniał tylko swój obowiązek. Pan pozwoli, że mu wręcę swą kartę wizytową!

— On jest w tenisowym kostiumie! — Stalky znów wsadził głowę pod poduszkę.

— Na nieszczęście — ku memu najwyższemu zmartwieniu — nie mam przy sobie ani jednego biletu, ale nazwisko moje jest King, szanowny panie, nauczyciel liceum i jestem gotów — najzupełniej gotów — ponieść wszelką odpowiedzialność za postępowanie tego człowieka. Widzieliśmy trzech...

— Widzieliście panowie moje tablice?

— Przyznaję, że tak, ale w tych okolicznościach...

— Ja jestem tu *in loco parentis*<sup>28</sup> — przyłączył się do dyskusji niski głos Prouta.

Można było słyszeć, jak sapał.

— Co takiego?

Pułkownik Dabney z każdą chwilą mówił coraz to wyraźniejszym akcentem irlandzkim.

— Jestem odpowiedzialny za chłopców znajdujących się pod moją opieką.

— Tak? Jest pan odpowiedzialny? Zatem wszystko, co panu mogę powiedzieć, jest, że daje im pan bardzo zły przykład — aby tak rzec, przykład fatalny! Nie znam waszych chłopców, nie widziałem waszych chłopców, ale powiadam panu, że gdyby tu z każdego krzaka szczyrzył zęby chłopak, panowie mimo wszystko nie macie krzty prawa włączyć mi tu przez wąwóz, płosząc wszystko, co w nim żyje. Proszę nie próbować przeczyć! Panowie tak zrobili. Należało przyjść do domku odźwiernego i zobaczyć się ze mną, jak przystoi na przyzwoitych ludzi, a nie robić oblawy na chłopców wzdłuż i wszerz mej remizy. Pan jest *in loco parentis*? Doskonale, ja też łaciny jeszcze nie zapomniałem i powiem panu: *Quis custodiet ipsos custodes*<sup>29</sup>? Jeśli nauczyciele bezprawnie włączą na cudze grunta, jakże można ganić chłopców?

— Gdybym jednak mógł pomówić z panem prywatnie — odezwał się Prout.

— Nie mam z panem nic prywatnego. Może pan być tak prywatny, jak tylko się panu podoba, po drugiej stronie tej bramy; i — życzę panom dobrego popołudnia.

Brama znowu szczęknęła.

Nauczyciel

<sup>28</sup>*in loco parentis* (łac.) — na miejscu rodziców, w zastępstwie rodziców. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*Quis custodiet ipsos custodes* (łac.) — kto pilnuje strażników. [przypis edytorski]

Chłopcy zaczęli, aż pułkownik Dabney odejdzie do domu, a potem padli sobie w objęcia, z trudnością chwytając oddech.

— O, mój Boże! O, mój King! O, moje Kopytko! Och, mój Foxy! Gorliwość, wszystko przez gorliwość, panie Cymbalkiewicz!

Stalky obtarł oczy.

— Och! Och! Och! Aleśmy ich ubrali! Trzeba iść, bo się spóźnimy na herbatę.

— We... we... weźcie borsuka i uszczęśliwcie jeszcze małego Hartoppa. U... u... uszczęśliwcie już wszystkich! — łkał M<sup>r</sup>Turk, szukając po omacku drzwi i kopiąc rozciągniętego na ziemi Beetle'a.

Znaleźli zwierzę w śmierdzącej skrzynce, zostawili dwie półkorony jako zapłatę i zataczając się ruszyli ku domowi. Borsuk chrząkał w sposób tak dziwnie podobny do pułkownika Dabneya, że dwa czy trzy razy upuścili go, piszcząc z niepohamowanego śmiechu. Nie przyszli jeszcze zupełnie do siebie, gdy Foxy spotkawszy chłopców na dziedzińcu koło klasy, zawiadomił ich, że mają się udać do swej sypialni i czekać, póki się po nich nie pośle.

— Dobrze, wobec tego proszę zanieść tę skrzynkę do pokoju pana Hartoppa. Zrobiliśmy przynajmniej coś dla Towarzystwa Nauk Przyrodniczych! — rzekł Beetle.

— Obawiam się, panicze, że was to nie uratuje — odpowiedział groźnym głosem Foxy.

Czuł się w duchu boleśnie dotknięty.

— Nie ma strachu, Foxibus!

Czkawka Stalky'ego doszła do szczytu.

— My... my was nie opuścimy, Foxy. Ślusarz zawinił, a kowala powieszono, co...? Nie, wyście niczemu nie zawinili. Psy polujące na lisa w lesie zawsze trop gubią. Ja... ojej, niedobrze mi...

— Tym razem trochę się zagalopowali! — pomyślał Foxy. — Powiedziałbym nawet, że się bardzo zagalopowali i może gdzie co pili, choć nie czuć od nich trunkiem. A jednak — do pewnego stopnia jakby nie ci sami. Ale Kingowi i Proutowi dostało się nie gorzej ode mnie. Przynajmniej ta jedna pociecha...

— No, a teraz musimy się bronić! — rzekł Stalky, zrywając się z łóżka, na które się rzucił. — Jesteśmy, jak zwykle, uciśnioną niewinnością. Nie mamy najmniejszego pojęcia, dlaczego nas tu wysłano, nieprawdaż?

— Najmniejszego wytłumaczenia. Pozbawieni herbaty. Publiczna kompromitacja wobec całej klasy — mówił M<sup>r</sup>Turk, płacząc ze śmiechu. — To przecie nie żarty.

— Słuchajże, wytrzymaj, dopóki King nie straci panowania nad sobą — odezwał się Beetle. — Ten stary oszczerca pieni się pewnie z wściekłości i nie wytrzyma, żeby pierwszy nie zacząć. Prout jest na to za ostrożny. Uważaj głównie na Kinga i przy pierwszej sposobności odwołaj się do rektora. To ich zawsze do cholery doprowadza.

Zawezwano ich do gabinetu gospodarza domu, gdzie Proutowi asystowali King i Foxy, ten ostatni z trzema trzcinami pod pachą. King patrzył na nich triumfująco, bo na policzkach chłopców lśniły niewyschłe jeszcze łzy radości. Zaczęło się śledztwo.

Tak jest, szli wzdłuż skał. Tak jest, weszli na grunta pułkownika Dabneya. Tak jest, widzieli tablice graniczne z napisami — w tym miejscu Beetle zakał histerycznie. W jakim celu weszli na grunta pułkownika Dabneya?

— Tam był borsuk, prosz pampсора!

Tu King, który nie cierpiał historii naturalnej, ponieważ nie lubił Hartoppa, nie mógł już dłużej wytrzymać. Poprosił ich, aby do jawnego zuchwalstwa nie dodawali jeszcze kłamstw.

— Ależ borsuk znajduje się w mieszkaniu pana Hartoppa, prosz pampсора! Sierżant był tak grzeczny i sam go zaniósł.

W ten sposób została załatwiona kwestia borsuka, a ta chwilowa porażka doprowadziła podrażnienie Kinga do punktu wrzenia. Słysząc było, jak stukał nogą w podłogę, podczas gdy Prout układał swe niedołęzne pytania. Teraz już miała się zacząć walka na ostre. Oczy ich zgasyły, twarze stały się nieme, ręce zwisły wzdłuż boków bez ruchu. Kosztem rodaka mieli wziąć odwieczną lekcję swej rasy, polegającą na pozbyciu się wszelkiego podniecenia i zamknięciu przeciwnika w pułapce w odpowiedniej chwili. Jak dotąd, szło

wszystko dobrze. King coraz bardziej mieszał się do śledztwa, okazując mściwość tam, gdzie Prout był tylko obrażony. Czy znane im są kary grożące za przekroczenie granicy? Stalky z doskonale ułożoną miną niezdecydowania przyznał, że coś niecoś o nich słyszał, ale myślał... Zdanie było naciągnięte do ostateczności: Stalky nie chciał wygrywać swych atutów wobec takiego przeciwnika. Mr. King nie pytał o żadne „ale” i nie był zupełnie ciekaw wykrętów Stalky’ego. Za to z drugiej strony może być, iż ich zajmie jego skromne zdanie. Chłopcy, którzy wymykają się — przekradają — ukrywają poza granicami, nawet poza granicami zakreślonymi wielkodusznie przez Towarzystwo Nauk Przyrodniczych, do którego się podstępnie zapisali, aby mieć płaszczyk dla swych przestępstw — ich występki — ich łajdactwa — ich niemoralność...

— Trzaśnie w tej chwili! — rzekł do siebie Stalky. — A wówczas wlecimy na niego, zanim się będzie mógł wycofać.

— Tacy chłopcy, zepsuci, trąd moralny — prąd własnych słów poderwał Kingowi nogi i poniósł go — oszczercy, kłamcy, lenie, początkujący pijacy...

On zmagął się tylko ze zdaniem, chcąc dobrać do końca i chłopcy wiedzieli o tym; ale M<sup>r</sup>Turk przeciął ten szumny frazes i Stalky i Beetle powtórzyli za nim jak echo:

— Apeluje do pana rektora, panie profesorze.

— Apeluje do pana rektora, panie profesorze.

— Apeluje do pana rektora, panie profesorze.

Było to ich niezaprzeczone prawo. Za opilstwo groziła publiczna chłosta i wydalenie. To im zarzucano. Ta sprawa należała do rektora i do nikogo innego, jak tylko do niego.

— Odwołałeś się do Cezara i przed Cezarem staniesz!

Słyszeli już to zdanie raz czy dwa razy przedtem w ciągu swej kariery.

— Niemniej — ciągnął King zaniepokojony — radziłbym wam poprzestać na naszym wyroku, moi młodzi przyjaciele.

— Czy mamy trzymać się z dala od swych kolegów aż do widzenia się z panem rektorem? — zwrócił się M<sup>r</sup>Turk do swego gospodarza klasy, nie zwracając uwagi na Kinga.

To podniosło sytuację do punktu kulminacyjnego. Równocześnie oznaczało to też zwolnienie od nauki, bo parszywe owce surowo izolowano, zaś rektor sądził sprawy zawsze na zimno po dwudziestu czterech godzinach.

— Niestety, skoro zuchwale trwacie na swoim stanowisku — rzekł King, z żalem patrząc na trzciny pod pachą Foxy’ego. — Tu nie ma alternatywy.

W dziesięć minut później wieść obleciała już całą szkołę. Nareszcie „Stalky i Spółka” wyspali się dzięki picu. Pili. Pijani jak beły wrócili z chaty. Beznadziejnie urzędnicy leżą teraz na podłodze w sypialni. Paru śmielszych chłopców próbowało zajrzeć do nich ukradkiem przez okienko w drzwiach, ale zbrodniarze rzucali w nich butami.

— Złapaliśmy go — złapaliśmy go w kaudyńskie jarzmo! — rzekł Stalky, zmusiwszy ciekawych do ucieczki. — King pojedzie teraz na całego.

— I wpadnie! — odezwał się Beetle. — Nie mówiłem, że wystrzeli, jeśli się nie damy wyprowadzić z równowagi?

— A prócz tego nie robimy dziś korepetycji, o wy, początkujący pijacy! — dodał M<sup>r</sup>Turk — i mamy spokojną noc. Hallo! Nasz ukochany przyjaciel, Foxy! Nowe tortury, Foxibus?

— Przyniosłem paniczom coś zjeść! — rzekł sierżant spoza zastawionej tacy.

Wojny między nim a chłopcami prowadzone były bez złośliwości, a prócz tego Foxy nie mógł się obronić podejrzeniu, że chłopcy, którzy się dali tak łatwo wysledzić, mogą mieć coś w rezerwie. Foxy służył w Indiach w czasie Wielkiego Buntu, kiedy dokładna informacja w porę była dużo warta.

— Zauważyłem... — zauważyłem, że panicze nie mają co jeść, powiedziałem to Gumbly’emu, a on powiedział, że dowóz żywności dla paniczów nie jest odcięty. Więc paniczom to przyniosłem. To puszka z pańską szynką marynowaną, prawda, panie Corkan?

— Foxibus, wy jesteście dobry chłop! — wykrzyknął Stalky. — Nie przypuszczałem nawet, że macie tak dobre — Beetle, jak się to mówi?

— Flaki! — odpowiedział Beetle bez namysłu. — Dziękuję, panie sierżancie. Ale to szynka Cartera młodszego.

— Na puszcze jest C. Myślałem, że to pana Corkrana. Panowie, to bardzo poważna sprawa. Bardzo poważna. W końcu, ja nie wiem, ale może być, że panowie wiecie coś, czegoście nie chcieli powiedzieć Mr. Kingowi lub Mr. Proutowi, czy nie?

— Pewnie, że wiemy. Całą kupę, Foxibus! — rzucił Stalky ustami pełnymi jedzenia.

— Widzicie panowie, ja sobie od razu pomyślałem, że jeśli tak, to ja mógłbym to przedstawić spokojnie — że tak powiem — panu rektorowi, jak mnie o to będzie pytał. Mam mu dzisiaj wieczorem zanieść oskarżenie — bardzo brzydko wygląda!

— Paskudnie, Foxy. Dwadzieścia siedem kijów w sali gimnastycznej w obecności całej szkoły i publiczne wydalenie. „Wino to kpiny, ale wódka niszczy” — zacytował Beetle.

— Nie ma się z czego śmiać, proszę paniczów. Ja mam oskarżenie panu dyrektorowi zanieść. A... a panicze, może być, nie zauważyli nawet, że ja dziś za nimi szedłem... na podstawie pewnych podejrzeń.

— Widzieliście moje tablice? — zagrział M<sup>r</sup>Turk, naśladując ludzaco akcent pułkownika Dabneya.

— Macie oczy w głowie. Nie próbujcie przeczyć. Macie! — rzucił Beetle.

— Sierżant! Wałęsający się po kraju i uprawiający kłusownictwo — na emeryturze! Karygodne, o, karygodne! — ciągnął Stalky bez miłosierdzia.

— Rany boskie! — wykrzyknął sierżant, siadając ciężko na łóżku. — Gdziez... gdziez, do diabła, wyście siedzieli? Powiniennem się był domyśleć, że to podstęp!

— Ach, poczciwy wariacie! — zreasumował Stalky. — My mielibyśmy nie zauważyć, że wy za nami dziś po południu idziecie, no nie? Zdawało się wam, że nas wystawiacie, co? A tymczasem to myśmy was wciągnęli w zasadzkę, żebyście sobie wiedzieli! Pułkownik Dabney — co o nim powiecie, Foxy, byczy mąż<sup>30</sup>, co? — pułkownik Dabney jest naszym serdecznym, osobistym przyjacielem. Od tygodni już tam chodzimy. Sam nas zaprosił. Wasz obowiązek? Gwiżdżę na wasz obowiązek! Waszym obowiązkiem było trzymać się z dala od jego remizy.

— Nie będziecie teraz mogli nikomu w oczy spojrzeć, Foxy. Mikrusy was wygwizdzą! — podsunął Beetle. — Pomyślcie tylko o swojej wścieklej powadze!

Sierżant myślał — dłuższy czas.

— Niech panicze posłuchają! — odezwał się poważnie. — Panicze z całą pewnością nikomu o tym nie powiedzą, prawda? Nie było przy tym także Mr. Prouta i Mr. Kinga?

— *Foxibusculus* było. I to było — szczególnie okropne. Im dostało się gorzej niż wam. Słyszeliśmy każde słowo. Wam się jeszcze stosunkowo upiekło. Swoją drogą przysięgam, że gdybym był Dabneyem, kazałbym wam zapłacić grzywnę. Trzeba mu to będzie jutro podsunąć.

— I to wszystko pójdzie do pana rektora! O, mój Boże!

— Każde słóweczko, mój złoty Czinganguku! — mówił Beetle, wiodąc wesoły pług. — I dlaczegożby nie? Przecież my nie zrobiliśmy nic złego. My nie jesteśmy kłusownikami. My nie staraliśmy się oczerniać biednych, niewinnych chłopców — rozpowiadając, że oni piją.

— Tęgo ja nie powiedziałem! — zaprzeczył Foxy. — Ja... ja mówiłem tylko, że panicze byli niezwykle weseli, jak panicze przyszli z tym borsukiem. Może być, że Mr. King wyciągnął stąd fałszywy wniosek.

— Pewnie, że tak; i cały wstyd spadnie na niego, kiedy zobaczy, że nie miał racji. Wy Kinga nie znacie, ale my go znamy. Wstydzę się za was. Nie jesteście godni być sierżantem — rzekł M<sup>r</sup>Turk.

— Pewnie, że nie nad takimi przebiegłymi młodymi diablami jak panicze! Złapano mnie. Wpadłem w zasadzkę. Z kawalerią, piechotą i artylerią złapano mnie — i teraz już mikrusy nie dadzą mi spokoju. Prócz tego rektor pošle mnie z listem do pułkownika Dabneya z zapytaniem, czy to prawda, że paniczów zaprosił.

— Lepiej będzie, żebyście tym razem szli przez bramę, zamiast polować na swych przeklętych chłopców — o, ale to stosowało się do Kinga, tak. No i cóż, Foxy?

Stalky oparł brodę na dłoni i przyglądał się ofierze z niewypowiedzianą rozkoszą.

<sup>30</sup>byczy mąż (daw. pot.) — wspaniały facet. [przypis edytorski]



— *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto mój śpiew zwycięski! Słuchajcie! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk.  
— Foxy przyniósł nam herbaty, mimo że jesteśmy parszywymi owcami. Foxy ma serce. Prócz tego — był żołnierzem. Służył w armii.

— Chciałbym mieć paniczów w swej kompanii! — westchnął sierżant z głębi duszy.  
— Dałbym ja wam szkołę!

— Milczeć, kiedy bębnią na sąd wojenny! — zawołał M<sup>r</sup>Turk. — Ja stoję w obronie oskarżonego. Prócz tego ta cała historia jest za dobra, żeby się na niej te bałwany w budzie poznały. Oni tego *nigdy* nie zrozumieją. Oni grają w palanta i mówią: „Tak jest, prosz pampsora!” i: „Nie, prosz pampsora”.

— Jechał ich sęk. Ryp dalej.

— Otóż Foxy, jeśli się nie ma za wielkiego cwaniaka, jest bardzo dobry chłop.

— Nie wyjeżdżajcie z psami na polowanie w wietrzny dzień! — zaśpiewał Stalky. — *Ja* nie mam nic przeciw temu, żeby go uwolnić.

— Ani ja! — zgodził się Beetle. — Moja jedyna radość, to Kopycissimus<sup>31</sup> — Kopycissimus i King.

— Ja przecież musiałem! — rzekł sierżant żałośnie.

— Słusznie! Sprowadzony przez złe towarzystwo z drogi cnoty przy wykonywaniu obowiązku lub coś w tym rodzaju. Uwalniamy was, poprzestając na udzieleniu nagany, Foxy. Nikomu o was nic nie powiemy. Przysięgam, że nie powiemy! — zakończył M<sup>r</sup>Turk. — Wpłynęłoby to bardzo źle na dyscyplinę budy. Nadzwyczaj źle.

— Niech będzie! — odezwał się sierżant, zbierając przybory do herbaty. — Znając dobrze młodych diab... panów w liceum, cieszę się, że to słyszę. Ale co mam powiedzieć panu rektorowi?

— Co się wam żywnie podoba, Foxy. *My* nie jesteśmy przestępcami.

Powiedzieć, że rektor zgryzł się, kiedy po obiedzie zjawił się u niego sierżant z raportem dziennym o zbrodni, byłoby mało.

— Corkran, M<sup>r</sup>Turk i Spółka, rozumie się. Przekroczenie granic, jak zwykle. Hallo! A to co, do licha. Podejrzenie o używanie trunków. Czyje oskarżenie?

— Mr. Kinga, proszę pana rektora. Ja istotnie złapałem ich na przekroczeniu granic; przynajmniej tak to wyglądało. Ale o tym wszystkim dałoby się dużo powiedzieć.

Sierżant był najwyraźniej zmieszany.

— No, więc mówcie! — rzekł rektor. — Chcę słyszeć wasze zdanie.

On i sierżant pracowali już wspólnie najmniej siedem lat, a dyrektor wiedział, że doniesienia Mr. Kinga zależne są bardzo często od jego humoru.

— Myślałem, że oni tam, na skałach, przekroczyli granice. A tymczasem pokazało się, że nie, proszę pana rektora. Widziałem, jak wchodzili w krzaki na gruntach pułkownika Dabneya i... przyszedł Mr. King z Mr. Proutem... i... fakt jest, że służba pułkownika Dabneya wzięła nas przez omyłkę za kłusowników — Mr. Kinga, Mr. Prouta i mnie. Po obu stronach padło parę słów, proszę pana rektora. Panicze w jakiś sposób prześliznęły się i wrócili do domu nadzwyczajnie rozbawieni. Mr. Kinga skrzyczał sam pułkownik Dabney — pan pułkownik Dabney jest bardzo surowy. Wtedy chłopcy oświadczyli, że wolą odwołać się wprost do pana rektora — względem tego, co Mr. King mówił potem o ich zachowaniu się w kancelarii Mr. Prouta. Ja powiedziałem tylko, że byli bardzo rozbawieni, śmiali się, chichotali, trochę jakby niespełna zmysłów. A później, proszę pana rektora, oni mi powiedzieli, po swojemu żartując, że pułkownik Dabney sam ich zaprosił i pozwolił im chodzić po swoim lesie.

— Aha! I, oczywiście, gospodarzowi klasy o tym nie powiedzieli.

— Oni apelowali od Mr. Kinga, jak tylko zaczął mówić o ich zachowaniu się. Od razu odwołali się do pana rektora i zażądali, aby ich odesłano do sypialni, gdzie mają czekać, aż ich pan rektor zawoła. I tam znowu z ich żartów, jak to oni zwykle, poznałem, proszę pana rektora, że nie wiem już w jaki sposób, słyszeli do najmniejszego słówka wszystko, co pułkownik Dabney powiedział Mr. Proutowi i Mr. Kingowi, mając ich niby za kłusowników. — Ja... ja powinienem się być domyślić, kiedy zaczęli mnie wodzić za sobą, nie wypuszczając z rąk wewnętrznej linii komunikacji. Sprawa jest, proszę pana

<sup>31</sup>*Kopycissimus* — żart słowny; do przezwiska Kopytko Beetle dodał łaciński format *-issimus*, oznaczający najwyższy stopień przymiotnika, jak np. w słowie *sollertissimus*: najbieglejszy. [przypis edytorski]

rektora, zupełnie jasna — przynajmniej tak *mnie* się zdaje; teraz oni śmieją się tam jak wariaty w sypialni.

A rektor zrozumiał — rozumiał wszystko do najdrobniejszego szczegółu — i wargi mu zadrgały z lekka pod wąsem.

— Proszę ich zaraz przysłać do mnie, sierżancie. To można od razu załatwić.

— Dobry wieczór! — rzekł, ujrawszy trójkę pod eskortą sierżanta. — Potrzebuję na parę minut waszej niepodzielnej uwagi. Wy znacie mnie już pięć lat, a ja was — dwadzieścia pięć. I zdaje mi się, że się już rozumiemy doskonale. Otóż chciałbym poczęstować was jak należy. (Proszę, sierżancie, ta brunatna trzcinka, tak, dziękuję. Możecie odejść). Mam zamiar, Beetle, zagrać ci bez ładu i składu. Ja wiem, że wy chodzicie do lasu pułkownika Dabneya dlatego, że was sam zaprosił. Nie myślę nawet posyłać sierżanta z zapytaniem, czy to prawda, bo jestem pewny, że tym razem trzymacie się prawdy ściśle. Wiem także, żeście nie pili. (M<sup>r</sup>Turk, przestań robić tę cnotliwą minę, bo zacznę się obawiać, że mnie nie rozumiesz). Reputacja wasza jest nieposzlakowana. I oto dlaczego ja dopuszczę się teraz krzyżującej niesprawiedliwości. Uczyniono krzywdę waszej dobrej sławie, nieprawdaż? Skompromitowano was przed całą szkołą, czyż nie? Jesteście szczególnie dbali o honor swej klasy, prawda? Bardzo słusznie! A teraz weźmiecie wały.

To rzekłszy, wymierzył każdemu po sześć odlewanych.

— A to, sądzę — tu dyrektor położył na swoim miejscu trzcinkę i rzucił skargę do kosza — sprawę reguluje ostatecznie. Ile razy spotka was coś, co się uchyla od normy — zapamiętajcie sobie, bo to się wam przyda w późniejszym życiu — przyjmijcie to w sposób nienormalny. Ale to mi coś przypomniało. Tu na tej półce jest cały stos różnych romansidel. Możecie sobie je brać, potem położycie na swoim miejscu. Nie myślę, żeby im czytanie na świeżym powietrzu zaszkodziło, przeciwnie, czuć je tytoniem, więc nawet przydałoby się przewietrzyć. — Na korepetycje pójdziecie wieczorem jak zwykle. Dobranoc! — zakończył ten zdumiewający człowiek.

— Dobranoc i dziękujemy panu rektorowi!

— Przysięgam, że dziś wieczór zmówię za starego modlitwę — rzekł Beetle. — Dwa ostatnie uderzenia dostałem wprost na kołnierz. Na niższej półce jest *Monte Christo!* Widziałem na własne oczy. Zapowiadam, że to ja biorę następnym razem do Groty.

— Byyyczy gość! — zachwycił się M<sup>r</sup>Turk. — Ani mowy o kozie. Żadnego wiercenia dziury w brzuchu. Żadnych zadań za karę! Wszystko załatwione. Ale, ale! Po cóż to idzie do niego King — King i Prout!

Jakakolwiek była natura tej wizyty, nie poszła ona w smak ani Kingowi, ani Proutowi, albowiem kiedy wyszli z domu rektora, sześć oczu zauważyło, że pierwszy był aż po sam nos czerwony i niebieski z irytacji, zaś drugi pocił się obficie. Widok ten wynagrodził szczerze kazanie, jakim ich obaj nauczyciele zaszczyli. Dowiedzieli się — nikt nie był więcej od nich zdziwiony! — że zataili istotne fakty, byli winni tak *suppressionis veri*<sup>32</sup> jak *suggestionis falsi*<sup>33</sup> (dobrze znani bogowie, przeciw którym oni sami często grzeszyli); następnie, że mają złośliwe usposobienie, że są nieszczerzy, podstępni, że wywierają wpływ rewolucyjny, że opętał ich szatan swawoli, dumy i nieznośnej zarozumiałości. A po dziewiąte i ostatnie, aby się mieli na bacności i dobrze uważali.

Toteż mieli się na bacności i uważali tak dobrze, jak to potrafią tylko chłopcy, kiedy chcą komuś dokuczyć. Wyczekali cały przygnębiający tydzień, dopóki Prout i King nie odzyskali poczucia swego majestatu; wyczekali dzień meczu klasowego i to swej własnej klasy — w którym Prout brał udział; wyczekali wreszcie, kiedy się w pawilonie przygotował do zwycięskiego boju i miał już wyjść. King siedział w oknie, mając zapisywać punkty, zaś nasza trójka usiadła pod oknem na ławce.

A wówczas rzekł Stalky do Beetle'a:

— Czy nieprawda, Beetle, że *quis custodiet ipsos custodes*?

— Daj się wypchać! — odpowiedział Beetle. — Ja nie chcę z tobą mieć nic prywatnego. Możesz sobie być prywatnym, ile ci się podoba, na drugim końcu ławki. I życzę ci szczęśliwego popołudnia.

M<sup>r</sup>Turk ziewnął.

<sup>32</sup>*suppressionis veri* (łac.) — zatajenia prawdy. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*suggestionis falsi* (łac.) — sugerowania nieprawdy. [przypis edytorski]

— Dobrze, ale powinniście byli przyjść do domku odźwiernego i zobaczyć się ze mną, jak przyzwoci ludzie, zamiast uganiać się za swoimi — hem — chłopcami wszereż i wzdłuż po mej remizie. *Ja* myślę, że te wszystkie mecze klasowe są do Dunaju<sup>34</sup>. Chodźmy do pułkownika Dabneya zobaczyć, czy nie złapał znowu jakichś kłusowników.

Tego popołudnia radość panowała w Grocie.

## NIEWOLNICY LAMPY

### Część pierwsza

Sala muzyczna, znajdująca się nad pracownią Nr 5, pełna była aktorów zgromadzonych dla odbycia próby z *Aladyna*. Dickson Quartus, powszechnie znany jako Dick IV, był Aladynem, dyrektorem teatru, baletmistrzem, poławą orkiestry i po większej części librecistą, ponieważ scenariusz przerobiono i uzupełniono mnóstwem aluzji lokalnych. Spektakl miał być wystawiony za tydzień, na dole, w gabinecie Aladyna, Ebenezara i Cesarza Chińskiego. Niewolnik Lampy<sup>35</sup> zajmował wraz z księżniczką Badroulbador i wdową Kłepicką gabinet tuż naprzeciw gabinetu Nr 5, skutkiem czego trupa mogła się zbierać bez trudności. Podłoga aż się trzęsła od przytupywań i hołubców baletu, podczas gdy Aladyn, w czerwonych trykotach<sup>36</sup>, błękitnym, świecidełkami naszytym kaftanie i w kapeluszu z piórami, grał na zmianę to na pianinie, to na swym banjo. Był duszą całej zabawy, jak przystało na „seniora”, który zdał już wstępny egzamin do szkoły wojskowej i ma nadzieję dostać się z najbliższą wiosną do Sandhurst.

Nareszcie Aladyn odzyskał swoje, Ebenezar otruty leżał na podłodze, wdowa Kłepicka odtańczyła solo i wszyscy zadecydowali, że przedstawienie się uda.

— Tylko co weźmiemy na finał? — odezwał się Cesarz, wysoki, przystojny chłopak z cieniem wąsów, do których sięgał po męsku. — Przydałaby się jakaś bycza stara melodia!

— *John Peel?*, *Drink, Puppy, drink?* — poddawał Ebenezar, gładząc swą szeroką, bladolila piżamę.

Kicia Ebenezar wyglądał zawsze, jak gdyby się tylko na pół obudził, miał jednak ładny, pocziwy uśmiech, który doskonale nadawał się do roli Podstępnego Wuja.

— Zanadto oklepane! — skrzywił się Aladyn. — To już by można wziąć i *Jak to miło wieczór bywa!* Stalky, coś ty nucił wczoraj podczas korepetycji?

Stalky, Niewolnik Lampy, w czarnych trykotach i w kamizelce, w krótkiej masce z czarnego jedwabiu, zagwizdał coś leniwie, leżąc na górze, na pudle pianina. Była to skoczna melodia z music-hallu.

Dick IV potrząsnął krytycznie głową i spojrzał zezem ponad swój długi, czerwony nos.

— Jeszcze raz, może mi się uda złapać! — rzekł, brzdąkając na fortepianie. — Jakie słowa? Zaśpiewaj!

Arrah, Patsy, pilnuj dziecka! Patsy, swego dziecka patrz!

Pięknie otul je kołderką, bo znów będzie straszny płacz!

Arrah, Patsy, pilnuj dziecka; choć na chwilę na nie bacz,

Bo noc całą krzyczeć będzie! Patsy, dziecka swego patrz!

— Bycze, och, bycze! — pochwalił Dick IV. — Tylko że na przedstawieniu nie będziemy mieli pianina. Trzeba się tego nauczyć na banjo — równocześnie grać i tańczyć. Spróbuj, Tertius.

Cesarz odrzucił jasnozielone rękawy swego stroju monarszego i zaczął Dickowi akompaniować na ciężkim, wykładanym niklem banjo.

— Bardzo ładnie, ale zapominasz, że ja już wtedy nie żyję. I, w dodatku, leżę jak byk na środku sceny.

— Prawda, ale to nic, to Beetle może jakoś zrobić! — rzekł Dick IV. — No, Beetle, załatajże to! Prędyż, całą noc tu siedzieć będziemy? Musisz wyciągnąć jakoś Kicię ze światła i doprowadzić nas wszystkich, tańcząc, do końca.

<sup>34</sup>*do Dunaju* — tu: do niczego (w daw. żargonie uczniowskim). [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Niewolnik Lampy* — dzinn. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*trykoty* (daw.) — obcisły strój gimnastyczny. [przypis edytorski]

— Dobra. Więc zaczynajcie wy dwaj! — rzekł Beetle, który w szarym szlafroku i kasztanowej peruce z lokami jak kielbaski, włożonej na bakier na parę okularów uszlachetnionych starym sznurowadłem, reprezentował wdowę Klępicką. Zaczął kiwać jedną nogą do taktu wyrąbywanego na pianinie refrenu, a banja zabrzczały głośniej.

— Hm. Aha. „Aladyn odnalazł swą żonę” — zaśpiewał, a Dick IV powtórzył za nim.

— Wasz cesarz dał się przebłagać! — huknął Tertius dumnie wystawiając piersi.

— A teraz ty, Kiciu, wstawaj. Powiedz: „Sądzę, że lepiej będzie zmartwychwstać!”. Teraz wszyscy biorą się za ręce i idą ku przodowi sceny: „Zdaje nam się, że wszyscy są zadowoleni”. Kapujecie?

— Kapuję. Nieźle. A jeszcze chór do baletu „finale”? To cztery kopniaki i piruet! — mówił Dick Czwarty.

— Chór? Aha! Jest:

John Short spuszcza kurtynę  
I woła, że już dość;  
Wyrzucać nikogo nie trzeba,  
Sam pójdzie każdy gość!

— Byczo! Byczo! A teraz scena wdowy z księżniczką. Turkey, prędeży!

M<sup>r</sup>Turk w fioletowej, jedwabnej sukni i zgrabnym, błękitnym turbanie wysunął się naprzód nieśmiało, jak ktoś, kto się samego siebie niesłychanie wstydzi. Niewolnik Lampy zsunął się z pianina i skopał go z zimną krwią.

— Graj, Turkey! — zachęcał go. — To nie są żadne żarty!

Ale w tej chwili rozległo się w drzwiach pukanie władcy. Był to przypadkiem King, który w czarnym ubraniu i moździerzku na głowie wyprawił się na wieczorny podjazd przed obiadem.

— Drzwi zamknięte na klucz! Drzwi zamknięte na klucz! — warknął, marszcząc brwi. — Cóż to ma znaczyć? I jakiż cel — jeżeli mi wolno zapytać — ma to... to dziwaczne przebranie?

— Przedstawienie, prosz pampсора. Pan rektor dał nam pozwolenie — odpowiedział Ebenezar jako jedyny w zgromadzeniu uczeń szóstej klasy. Dick IV stał mężnie w dumnym poczuciu dobrze leżących trykotów, ale Beetle starał się ukryć za pianinem. Czarny szlafrok, wypożyczony od matki jednego z eksternistów, i pstrokaty, bawełniany gorset, niesymetrycznie wypchany papierem, może człowieka ośmieszyć. A i pod innymi względami miał Beetle także nieczyste sumienie.

— Zawsze ci sami! — zaśmiał się King szyderczo. — Czcze błazeństwa w chwili, kiedy kariery wasze, jakie by one tam już były, ważą się na szali. Oczywiście! Ach, rozumie się! Stara szajka zatwardziałych grzeszników — sprzymierzone siły anarchii — Corkran...

Niewolnik Lampy uklonił się grzecznie.

— M<sup>r</sup>Turk...

Irlandczyk uśmiechnął się.

— I, oczywiście, nieoceniony Beetle, nasz kochany Gigadibs.

Ebenezar, Cesarz i Aladyn cieszyli się względnie lepszą opinią, wobec czego King ich ominął.

— Chodź no tu, mój ty bufonie mały, pismaku jeden, wyłaż spoza tego instrumentu muzycznego. Jak się domyślam, jesteś dostawcą wierszydeł dla tej biesiady duchowej. Uważasz się, oczywiście, iż tak rzekę<sup>37</sup>, za poetę?

— Z pewnością znalazł jakiś wiersz! — pomyślał Beetle, zauważywszy rumieniec na kości policzkowej Kinga.

— Miałem właśnie rozkosz przeczytania jednej z takich twoich elukubracji pod mym adresem, elukubracji, która zdaje mi się, pretendowała do rymów. Zatem — zatem kpi się ze mnie, mistrzu Gigadibs, nieprawdaż? Ja doskonale rozumiem — nie potrzebujesz mi tego tłumaczyć — że to nie było przeznaczone dla mojego większego zbudowania. Toteż uśmiełem się do łez, czytając to — do łez! Takie papierowe, sztubackie pociski —

Poezja, Zemsta

<sup>37</sup>rzekę (daw.) — rzeknę, powiem. [przypis edytorski]

bo jesteśmy sztabakiem, to trudno, mistrzu Gigadbis — nie zdołają wyprowadzić mnie z równowagi.

— Ciekawy jestem, co to mogło być! — myślał Beetle.

Puścił on już niejedną paszkwil między wdzięcznych czytelników, od czasu jak zmierzał, że można wierszem wymierzać sobie sprawiedliwość.

Na dowód swego niezmaconego spokoju King w dalszym ciągu krajał na sztuki powoli Beetle'a, którego wciąż przezywał Gigadibsem. Poczawszy od niezawiązanych sznurowadeł u bucików, a skończywszy na jego uszlachetnionych okularach (życie poety w wielkiej szkole jest bardzo ciężkie!) wystawiał go na śmiech kolegów — ze zwykłym rezultatem. Dzięki kwiatki jego wymowy — sposób wyrażania się Kinga był bardzo przykry — przywróciły mu wreszcie dobry humor. Nakreślił ponury obraz końca Beetle'a jako karczemnego pamflicy, zdychającego na poddaszu, sygnął paru komplementami w stronę M<sup>r</sup>Turka i Corkrana i przypomniał Beetle'owi, że ma się zgłosić, jak będzie zawezwany w sprawie tych wierszy, udał się do wspólnej sali, gdzie w dalszym ciągu natrzasał się ze swych ofiar.

— A co najgorsze — wykladał głośno, pochylony nad talerzem zupy — to to, że marnuję takie perły sarkazmu na te zakute pałki! Głowę daję, że oni się na tym nie rozumieją.

— No, tego bym nie powiedział — wycedził z wolna kapelan. — Nie wiem, jak Corkran zapatruje się na pański styl, ale młody M<sup>r</sup>Turk czyta Ruskina<sup>38</sup> dla własnej przyjemności.

— Błaga! Udaje tylko! Absolutnie nie wierzę temu posępnemu Celtowi.

— Wcale nie. Wstąpiłem tam do nich raz wieczorem nieoficjalnie i widziałem, jak M<sup>r</sup>Turk pożerał cztery stare numery „Fors Clavigera<sup>39</sup>”.

— Ja tam ich życia prywatnego nie znam — odezwał się żywo nauczyciel matematyki — ale z własnego przykrego doświadczenia wiem, że pracownię Nr 5 najlepiej zostawić w spokoju. To młode diabły, absolutnie bez serca.

Zaczerwienił się, kiedy dokoła stołu rozległ się śmiech.

A tymczasem w sali muzycznej panował gniew i złorzeczenie.

Tylko Stalky, Niewolnik Lampy, leżał niewzruszony na pianinie.

— To pewnie ta świnią Manders młodszy pokazał mu ten twój kawałek. On się mu wciąż podlizuje. Idź i daj mu po łbie! — odezwał się naraz. — Co to był za kawałek, Beetle?

— Bo ja wiem! — odpowiedział Beetle, wyluskiwując się z trudem z szlafroka. — W jednym było o jego uganianiu się za popularnością wśród mikrusów, a drugie o tym, jak on siedzi w piekle i mówi Lucyferowi, że zawsze był wiernym sługą Beliala. Na mą duszę, przysięgam wam, że rymy w obu wierszach były dobre. Jak Boga mego! Może Manders młodszy pokazał mu oba wiersze? No, poprawię ja mu specjalnie cezury!

Zbiegł o dwa piętra niżej, wpadł na małego biało-czerwonego chłopca w sali znajdującej się koło pracowni Kinga, która znów znajdowała się tuż pod jego własną pracownią, i popędził chłopca korytarzem w górę ku sali wyznaczonej na uświęcone bankiety trzeciej przygotowawczej. Wynurzywszy się stamtąd silnie rozczochrany, wrócił do swej pracowni, gdzie zastał Stalky'ego, M<sup>r</sup>Turka i innych przy obfitym „korycie” — na które składała się kawa, kakao, babka, świeży chleb jeszcze gorący i parujący, sardynki, kiełbasa, pasztet z szynki i ozora, sardele, trzy rodzaje konfitur i tyleż funtów dewonszyrskiego kremu.

— Jak Boga kocham! — wykrzyknął, rzucając się na jedzenie. — Któż to funduje, Stalky?

Było tylko miesiąc do końca kursu, skutkiem czego w pracowniach od tygodni już panował błady głód.

— Ty! — rzekł pogodnie Stalky.

— Bodaj cię jasny piorun! Z pewnością zastawiłeś moje niedzielne portki!

— Nie irtuj się...! Tylko zegarek.

— Zegarek! Zgubiłem go — przed paru tygodniami na Burrows, kiedyśmy próbowali wystrzelić starą przybitkę — wtedy, co to nam pistolet rozerwało...

<sup>38</sup>John Ruskin (1819–1900) — ang. pisarz i krytyk. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Fors Clavigera — seria pamfletów politycznych Johna Ruskina. [przypis edytorski]

— Zegarek wypadł ci z kieszeni (jesteś cholerycznie roztargniony, Beetle) i M<sup>r</sup>Turk i ja przechowywaliśmy go dla ciebie. Nosilem go przez tydzień, a tyś nawet nie zauważył. Dziś po południu zanośłem go do Bideford. Dostałem trzynaście szylingów i siedem szóstek. Tu masz kartkę z lombiku<sup>40</sup>.

— Dziwnie gładko to u was idzie! — rzekł Ebenezar spoza góry kremu zmieszanego z marmoladą, ujrawszy, że Beetle, uspokojony co do swych spodni niedzielnych, nie okazuje ani zdziwienia, ani nawet żalu. Za to M<sup>r</sup>Turk, wpadłszy w pasję, zawołał:

— Tyś mu oddał kartkę, Stalky? Zegarek zastawiłeś? Ty podle bydlę! A zeszłego miesiąca toście mój wraz z Beetle'em sprzedali! Ani nawet nie powąchałem żadnej kartki!

— To co innego! To było dlatego, żeś ty zamknął na klucz swój kufer i myśmy prawie pół popołudnia stracili na odbijaniu go. Widzisz M<sup>r</sup>Turk, gdybyś się był zachowywał jak porządny człowiek, też byśmy zegarek zastawili.

— Jak babcię kocham! — wykrzyknął Ebenezar. — Wy jesteście komuniści! W każdym razie — dziękczynienia dla Beetle'a.

— To niesprawiedliwość — odezwał się Stalky — bo przecie cała robota z zastawieniem zegarka spadła na mnie. Beetle nawet nie wiedział, że ma zegarek. Ale, ale, Króliczy Bobek podwiózł mnie dziś do Bidefordu.

Króliczy Bobek był furmanem miejscowym — wykwit starej formacji dewońskiej. Stalky był autorem jego niepięknego przezwiska.

— Musiał być dobrze zalany, inaczej by tego nie zrobił. Ale Króliczy Bobek ma przede mną pietra. Zresztą przysiągłem mu, że między nami jest teraz *pax* i dałem mu parę szóstek. Przystawał przed dwiema karczmami przy drodze i będzie dziś wieczór pijany jak pień. Nie czytaj, Beetle, teraz jest rada wojenna. Co, do diabła, stało się z twoim kołnierzykiem?

— Zapędziłem Mandersa młodszego do jadalni trzeciej przygotowawczej. Wszystkie mikrusy rzuciły się na mnie! — odpowiedział Beetle spoza puszki sardeli i książki.

— Ośle głupi! Ostatni idiota mógł być zgadnąć gdzie Manders młodszy zastawi pułapkę — rzekł M<sup>r</sup>Turk.

— Nie myślałem o tym — powiedział Beetle bez najmniejszej urazy, wyławiając łyżką sardele.

— Pewnie, że nie. Ty w ogóle nie myślisz! — M<sup>r</sup>Turk poprawił kołnierzyk Beetle'a potężnym uderzeniem pięści. — Nie poplam mi oliwą mej „Fortis”, bo ci kości połamię.

— Kusz, ty irlandzki byku! To moja „Fors”, nie twoja!

Był to gruby, z brunatnym grzbietem tom z lat sześćdziesiątych, którym King rzucił raz w głowę Beetle'owi, aby Beetle mógł się dowiedzieć, skąd pochodzi nazwa Gigadibs. Beetle spokojnie anektował tę książkę i znalazł w niej — różne rzeczy. Nie rozumiejąc dobrze książki, spał i jadł z tymi wierszami, jak o tym świadczyły plamy na kartkach. Zapomniał o całym świecie i duch jego obcował z dziwnymi mężami i kobietami, kiedy naraz M<sup>r</sup>Turk zaczął go tłuc łyżką od sardeli po głowie, tak że aż zawarczał.

— Beetle! Jesteś skrzywdzony, znieważony i wykpiony przez Kinga. Czy tego nie widzisz?

— Dajcie mi spokój. Choćby i tak było, no to cóż? Mogę na niego napisać nowy wiersz.

— Wariat! Zupełny wariat! — mówił Stalky do gości, jak gdyby pokazywał jakieś nieznanne zwierzę. — Beetle czyta jakiegoś osła, nazwiskiem Browning, M<sup>r</sup>Turk czyta osła, nazwiskiem Ruskin, i...

— Ruskin nie jest żadnym osłem! — zaprotestował M<sup>r</sup>Turk. — Jest tak samo dobry jak *Zjadacz opium*<sup>41</sup>. Mówi, że jesteśmy „dziećmi szlachetnych ras, wyrobionymi przez otaczającą nas sztukę”. To się stosuje do mnie i do sposobu, w jaki udekorowałem nasz pokój, gdy wy, dwie pały, poprzybijalibyście tu półki i kartki z życzeniami świątecznymi. Dzieci szlachetnej rasy, wyrobione przez otaczającą cię sztukę, przestań czytać, jeśli nie chcesz, żebym ci nalał oliwy za kołnierz.

— Dwóch przeciw jednemu! — rzekł Stalky groźnie i Beetle natychmiast zamknął książkę, posłuszny prawu, dzięki któremu przeżyli wspólnie sześć wesołych lat.

<sup>40</sup>*lombik* — lombard. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*Zjadacz opium*, ang. *Confessions of an English Opium-Eater* (1821) — autobiograficzna książka Thomasa De Quinceya. [przypis edytorski]

Goście przyglądali się temu z zachwytem. Pracownia Nr 5 cieszyła się sławą większej i różnorodniejszej występcości niż cała szkoła razem wzięta; w tym stopniu jednak, w jakim prawa jej pozwalały na przyjaźnienie się z postronnymi, była uprzejma i szczerą wobec swych sąsiadów z tego samego piętra.

— I czegoż znowu, do ciężkiej choroby, chcecie? — zapytał Beetle.

— Wojny z Kingiem! — odpowiedział M<sup>r</sup>Turk, ruchem głowy wskazując na ścianę, gdzie wisiał mały, drewniany, zachodnioafrykański bęben wojenny, dar któregoś z wujów służących w marynarce.

— I znowu wyleją nas z pracowni! — rzekł Beetle, który lubił ten swój ką. — Za maleńkie gruchanie wylał nas przecie Mason.

Mason to był ów nauczyciel matematyki, który mówił o nich we wspólnej sali nauczycielskiej.

— Wy to nazywacie gruchaniem? O, rety! — wykrzknął Ebenezar. — Kiedyście zaczęli grać na tym piekielnym instrumencie, słowa jednego nie mogliśmy zrozumieć w naszej pracowni! I cóż wam z tego przyjdzie, że się dacie wylać?

— Cały tydzień mieszkaliśmy we wspólnej sali! — dorzucił Beetle tragicznie. — Marzliśmy jak psy.

— Te — ek. Ale odkąd nas wylano, mieszkanie Masona było co dzień pełne szcurków. Tydzień trwało, zanim się domyślił, o co idzie — rzekł M<sup>r</sup>Turk. — On nie cierpi szcurków. Jak tylko nas wypuścił, szczury zniknęły. Mason ma teraz przed nami trochę boja, ale dowodu nie było.

— Jeszcze by też! — odezwał się Stalky. — Skąd miał być dowód, skoro ja sam wlażem na dach i rzucałem mu te ścierwa przez komin wprost do jego kominka! Ale słuchajcie! Rzecz w tym, czy możemy sobie teraz pozwolić na wojnę domową?

— Mną się nie krępujcie! — oświadczył Beetle. — King twierdzi, że ja i tak przekroczyłem już wszelkie granice!

— Co, ty! — odpowiedział Stalky lekceważąco. — Ty, stara babo, do wojska nie idziesz! Ale ja nie chciałbym, żeby mnie wylano — a stary zaczyna na nas też już krzywo patrzeć...

— Guzik! — rzucił M<sup>r</sup>Turk. — Stary nie wylewa nigdy, chyba tylko za jakieś święstwo albo za kradzież. Ale zapomniałem wam powiedzieć: ty i Stalky *jesteście* złodzieje — prawdziwi włamywacze.

Goście aż jęknęli, ale Stalky z błogim uśmiechem zaczął im tłumaczyć, w czym rzecz.

— Fajno! Widzicie, ten pędrak Manders młodszy widział, jak Beetle i ja otwieramy kufer M<sup>r</sup>Turka w sypialni, zeszłego miesiąca, kiedyśmy to wzięli jego zegarek. Naturalnie, gwizdek Manders nałagał<sup>42</sup> Masonowi, zaś Mason paląc się do tego, żeby nam zapłacić za szczury, dał się zbujać.

— I wtedyśmy go dostali! — rzekł M<sup>r</sup>Turk pieszczotliwie. — Traktowaliśmy go bardzo elegancko, ponieważ był nauczycielem w naszej szkole nowym i pragnął pozyskać zaufanie chłopców. No, i z tego, co zobaczył, wyciągnął, niestety, bardzo smutne wnioski. Stalky był u niego, błagał go, udawał, że się strasznie boi i przysiągł mu, że rozpocznie nowe życie, jeśli mu Mason wybaczy i jakiś czas poczeka — ale Mason nie chciał. Powiedział, że musi pofagasować o wszystkim staremu.

— Mściwy gad! — odezwał się Beetle. — A wszystko przez te szczury! Wtedy i ja zacząłem go błagać, a Stalky wyznał, że dopuszczał się regularnie kradzieży przez sześć lat od samego początku, jak tylko przyszedł do szkoły i że ja go tego nauczyłem *à la Fagin*. Mason aż pozieleniał z radości. Był pewny, że już się mu nie wymkniemy.

— To bajkowe! Jak babcię Kocham! — wykrzyknął Dick IV. — A myśmy o tym nie wiedzieli!

— Pewnie, że nie. Mason się tym nie chwalił. Spisał wszystkie nasze zeznania na urzędowym papierze ze stemplem. Było tam wszystko, w co tylko mógł uwierzyć.

— A potem zaniósł to staremu, rozumie się nie bez mówki ze swej strony. Miało to około czterdziestu stron — mówił Beetle. — Sam mu pomagałem.

— I cóż dalej, wariaci wściekli? — zapytał Ebenezar.

<sup>42</sup>*nałagać* (daw. pot.) — donieść, naskarżyć. [przypis edytorski]

— Stary nas zawołał do siebie. Stalky poprosił o przeczytanie „zeznań”, ale stary rzucił je do kosza, a nam dał po osiem kijów — odlewanych — za bezczelne zbudowanie nowego nauczyciela. Widziałem, jak mu się trzęsły ramiona, kiedyśmy wychodzili. Czybyście pomyśleli — rzekł po chwili zastanowienia — że na następnej lekcji Mason nie mógł na nas spojrzeć, żeby się nie zaczerwienić? A my trzej gapiliśmy się na niego, że aż dygotał. To okropnie wrażliwy gad.

— On czytał *Eryka*<sup>43</sup> — odezwał się M<sup>r</sup>Turk — wobec czego daliśmy mu *Św. Winifreda*<sup>44</sup> czyli *Życie w kolegium*. Oni tam wciąż puszczają wszystko, co mogą ukraść w szkole św. Winifreda, o ile się nie modlą lub nie urzynają po szynkach. To było przed tygodniem i stary wścieka się trochę na nas. Nazwał to konstruktywnym łajdactwem. Stalky to wszystko wymyślił.

— Nie ma najmniejszego sensu zreć się z nauczycielem, dopóki się nie jest pewnym, że się go może wykiwać i zrobić z niego durnia — rzekł Stalky wyciągnięty wygodnie na dywanie przed kominkiem. — Mason nie znał Numeru Piątego — dziś już wie, z kim ma do czynienia, oto wszystko. A teraz moi drodzy słuchacze — Stalky podkurczył pod siebie nogi, usiadł i zwrócił się do całego towarzystwa — czeka nas bój z tym niezłomnym, upartym Kingiem. Na całe mile zбочzył ze swej drogi, byle tylko wywołać z nami konflikt. — Tu Stalky spuścił na twarz swą czarną jedwabną maskę i mówił tonem sędziego wydającego wyrok śmierci. — Krzywdził Beetle’a, M<sup>r</sup>Turka i mnie, *privatim i seriatim*, wszystkich razem i każdego z osobna, jak i gdzie mógł nas dopaść. Ale teraz znieważył cały Nr 5 w sali muzycznej, w dodatku w obecności tych podobnych do pomocników fryzjerskich mamusinych synków z Nr. 93! Chłopcy, my mu musimy dać taką szkołę, żeby krzyczał *capivi!*

Lektura Stalky’ego nie obejmowała ani Browninga, ani Ruskina.

— A oprócz tego — dorzucił M<sup>r</sup>Turk — on jest obrzydliwy filister, wywieszacz koszów. Nosi krawat w kratkę. Ruskin mówi, że człowiek, noszący krawat w kratkę, musi być na wieki potępiony.

— Brawo M<sup>r</sup>Turk! — wykrzyknął Tertius. — Ja myślałem, że to tylko zwykłe bydlę!

— On *jest* bydlę, rozumie się, ale to jeszcze gorsze. On ma zawieszony w swoim oknie kosz porcelanowy z niebieskimi wstążeczkami i czerwonym kotkiem i w tym koszu sobie hoduje muszkata. Pamiętacie? Kiedy to dostałem wszystkie te stare rzeźby dębowe z kościoła bidefordzkiego, jak go restaurowano (Ruskin mówi, że kto restauruje jakiś kościół, jest skończonym pacerem!), i pozalepiałem je tu kłajstrem — otóż widzicie, nadszedł King i zaczął pytać, czy ja tego nie zrobiłem przy pomocy piły otworowej! To król wywieszaczy koszów!

Tu czarny od atramentu wielki palec M<sup>r</sup>Turka zwrócił się ku dołowi, jak gdyby nad jakąś urojoną areną, pełną zbroczonych krwią Kingów.

— *Placetne*<sup>45</sup>, dziecię szlachetnej rasy? — zawołał do Beetle’a.

— *Cóż?* — zaczął Beetle z wahaniem. — To potomek Beliala, ale ja przecie dam mu jakąś szansę. Widzicie, zawsze przecie mogę mu kazać tańczyć, tak jak mi się w jakimś nowym wierszu zagrać podoba. Pofągasować staremu nie może, bo się przez to jeszcze bardziej ośmiesza. (Stalky ma słuszność). Ale niech i on ma jakąś szansę.

Beetle otworzył leżącą na stole książkę, przejechał palcem stronicę i zaczął na chybił trafił:

Lub też kto w Moskwie ku carowi  
Ostrożnym wielce krokiem  
Po białych idzie Kremlu płytach.  
Po serpentynach, syjenitach  
Z pięciu generałami...

— To nie ma sensu. Weź co innego — rzekł Stalky.

— Zaczekaj chwilkę; ja wiem, co jest dalej! — M<sup>r</sup>Turk czytał przez ramię Beetle’a:

<sup>43</sup>*Eryk*, ang. *Eric, or, Little by Little* (1858) — powieść Frederika W. Farrara (1831–1903). [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Św. Winifreda*, ang. *St. Winifred's* — powieść Frederika W. Farrara (1831–1903). [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*placetne* (lac.) — zgadza się? [przypis edytorski]



Co równocześnie, jak na złość.  
Pozorów na to było dość!  
Kichnąwszy, ze swych miękkich wstęg,  
Złożonych niby chustki w pęk —

— Rany moje! Co za wyrok!

Zrobili stryczek — no i tak  
Car padł — a nie pozostał znak!

— Nie rozumiem z tego ani słowa — rzekł Stalky.

— Tym gorzej dla ciebie! Zrozumiejsz! — tłumaczył mu M<sup>r</sup>Turk. — Tych sześciu drabów udusiło cara, a ponieważ szarfy były miękkie, śladów na szyi nie było. *Actum est*<sup>46</sup> z Kingiem.

— I w dodatku to on sam dał mi tę książkę! — odezwał się Beetle, oblizując wargi:

Galaci mają wielką księgę,  
Tylko ją trzeba znać,  
Dwadzieścia dziewięć w niej wyroków,  
Nie ten — to drugi snąć!

A potem ni stąd, ni zowąd:

Setebos! Setebos! I jeszcze raz; Setebos!  
Myślał, że mieszka na mroźnym księżycu...

— Właśnie wraca z obiadu! — rzekł Dick IV, spojrzawszy przez okno. — Manders młodszy idzie z nim razem.

— Istotnie, najbezpieczniejsze dla Mandersa młodszego w tej chwili miejsce — zauważył Beetle.

— Teraz lepiej, żebyście się już wynosili — rzekł Stalky grzecznie do swych gości. — Po co się macie mieszać do tej awantury. Prócz tego — my nie potrzebujemy świadków.

— Czy zaczynacie natychmiast? — zapytał Aladyn.

— Natychmiast, jeśli nie prędzej! — odpowiedział Stalky, skręcając gaz. — Twarde, uparte chłopsko, ten King. Ale my go nauczymy wołać *capivi!* No, dalej, Antki!

Towarzystwo pełne oczekiwania wycofało się do swego własnego, czystego i obszernego pokoju.

— Kiedy Stalky'emu zaczynają nozdrza latać jak koniowi — mówił Aladyn do Cesarza Chińskiego — to znaczy, że jest na ścieżce wojennej. Ciekawy jestem, jak się to skończy?

— King dostanie szkołę — odpowiedział cesarz. — W ogóle, z Nr. 5 żartów nie ma!

— Swoją drogą zastanawiam się nad tym, czy ja to mam przyjąć urzędowo do wiadomości, czy nie — rzekł Ebenezar, który przypomniał sobie naraz, że jest prefektem.

— To nie nasz interes, Kiciu. A prócz tego, gdybyś to zrobił, mielibyśmy w nich wrogów, a wtedy już nie można by wytrzymać — mitygował go Aladyn. — Oho, już zaczynają!

Zachodnioafrykański bęben zahuczał we wszystkich wyjściach i sieniach. Numerowi Piątemu zakazano powoływać do życia tę maszynę na odległość donośności głosu od liceum. Wbrew temu zakazowi głęboki, miazdzący grzmot nappełnił korytarze, kiedy M<sup>r</sup>Turk i Beetle z właściwą sobie znajomością rzeczy zaczęli masować środek bębna. Grom ten zmienił się wkrótce w dźwięk trąb — dzikich trąb, nawołujących do pościgu, po czym, gdy M<sup>r</sup>Turk zaczął uderzać w jedną stronę, gładką od krwi ofiar, przeszedł w urywane, porykujące wycie, jakie wydaje raniony goryl w swej ojczystej puszczy. Nastąpił natychmiast wybuch gniewu Kinga — zbiegł po trzy schody na raz na górę z suchym

<sup>46</sup>*actum est* (łac.) — tu: to samo stanie się. [przypis edytorski]

szelestem ubrania. Podsluchujący Aladyn i towarzysze pisnęli z emocji, kiedy drzwi z hasłem otwarto. King wtoczył się w ciemności, przeklinając koncertantów w imię Beliala i wszystkich bogów spokoju.

— Wyrzuceni na tydzień z pracowni — rzekł Aladyn, zaglądając przez uchylone drzwi. — „Klucz od pracowni przynieść w ciągu pięciu minut. Brutale, barbarzyńcy, dzikusy, smarkacze!” Jest bardzo zirytowany. „Arrah, Patsy, dziecka patrz!” — zanucił szeptem i wisząc u klamki, wykonał niedoszły taniec wojenny.

King natychmiast zbiegł na dół i Beetle wraz z M<sup>r</sup>Turkiem zapalili gaz, aby naradzić się ze Stalky’em. Ale Stalky zniknął.

— Zdaje się, że to jeszcze nie koniec — mówił Beetle, zbierając swe książki i pudełko z przyrządami do geometrii. — W każdym razie tydzień we wspólnej sali to żaden zysk.

— Pewnie, ale czy nie widzisz, że Stalky’ego tu nie ma, cymbale jeden? — rzekł M<sup>r</sup>Turk. — Zanieś klucz i udawaj, że jesteś bardzo zmartwiony. King będzie cię tylko piłował przez jakieś pół godziny. Ja tymczasem będę czytał w niższej sali wspólnej.

— Zawsze ja! — jęknął Beetle.

— Poczekaj, zobaczymy, co będzie dalej! — dodawał mu otuchy M<sup>r</sup>Turk. — Ja sam nie wiem, czego Stalky chce, ale on wie, co robi. Idź i ściągnij na siebie ogień Kinga. Ty jesteś już do tego przyzwyczajony.

Ledwo klucz przekreślił się w drzwiach, podniosło się powoli wieko skrzyni na węgiel, stojącej pod oknem, a służącej za fotel. Ciasna to była kryjówka nawet dla tak giętkiego chłopca jak Stalky, który musiał w niej siedzieć z głową między kolanami i z brzuchem przy prawym uchu. Z szuflady stołu wyjął starą procę, garść śrutu i drugi klucz od pracowni, potem podniósł po cichu okno i ukląkł przy nim, z twarzą zwróconą ku gościńcowi, drzewom poruszonym wiatrem, ciemnej równi królikami i białej linii fal kłębiących się wzdłuż płaskiego brzegu. Z daleka, z biegnącego urwistym wąwozem dewonszyrskiego gościńca słychać było chrapliwy pogłos rogu pocztyliona. Był w tym cień melodii, jak gdyby wiatr w butelce od wina próbował śpiewać: „Tak to jest w naszej armii”.

Stalky uśmiechnął się zaciśniętymi wargami i rozpoczął ogień z wielkiej odległości; stara szkapa aż się wykręciła w zaprzęgu.

— Ta co je, du chulery? — zawołał Króliczy Bobek głosem przerywanym przez czkawkę.

Znowu śrut ze złośliwym skomleniem gwizdnął przez zetłale boki płóciennej budy.

— *Habet*<sup>47</sup>! — mruknął Stalky, kiedy Króliczy Bobek klął w cierpliwą noc, przysięgając, że widzi przekłętę studenta, który go tak podstępnie napadł.

\*

— I tak — mówił King swym mózgowym głosem do Beetle’a, nad którym się znęcał w obecności Mandersa młodszego, wiedząc dobrze, jak ucznia piątej klasy boli, gdy się go wyśmiewa przed mikrusami — i tak, mistrzu Beetle, mimo wszystkich naszych wierszy, którymi się tak pysznimy, jak tylko ośmielimy się wejść w konflikt, choćby z tak nic nieznaczącym przedstawicielem władz szkolnych, jak na przykład ja, wylatujemy ze swej pracowni, czy tak?

— Tak jest, prosz pampсора! — odpowiedział Beetle z baranim uśmiechem na twarzy i wściekłością w sercu. Był już bliski utraty wszelkiej nadziei, ale pocieszał się jeszcze dobrze uzasadnioną wiarą, że Stalky nigdy nie jest tak niebezpieczny, jak wówczas, gdy go nie widać.

— Nikt się nie prosi ani o krytykę, ani o uznanie. Otóż — zostaliśmy wydaleny ze swej pracowni zupełnie jak pierwszy lepszy Manders *minor*<sup>48</sup>. To trudno! Nie jesteśmy niczym innym jak tylko smarkatymi sztubakami i musimy być odpowiednio, jako tacy, traktowani!

Beetle nadstawił uszu, bo Króliczy Bobek klął na gościńcu bez pamięci i niektóre jego wyzwiska trafiły przez lufcik do pokoju. King wierzył w wentylację. Podeszedł ku oknu majestatycznie, jak zwykle, w czarnym ubraniu, zupełnie widoczny w świetle gazu.

<sup>47</sup>*habet* (łac.) — ma; tu: dostał, trafiony. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*minor* (łac.) — mniejszy, młodszy. [przypis edytorski]

— Ja ci widzy! Ja ci widzy! — ryczał Króliczy Bobek rozwścieczony widokiem wroga — znowu salwa śrutu z ciemności na górze. — Ty, ty, z tą długą trąbą, żebrak kaprawy! Ta ty za stary na takie psie figle — aj! ja ci mówim, weź okład na swój nochal, weź okład na swój długi nochal!

A w Beetle’u serce aż zamarło. Gdzieś, w jakiś sposób, wiedział to już na pewno, za tymi manifestacjami krył się Stalky. Była nadzieja i prawdopodobieństwo zemsty. Radę dotyczącą nosa uwieczni w nieśmiertelnym wierszu. King podniósł okno i zgromił surowo Króliczego Bobka. Ale furman był bez trwogi i zmazy. Zlął z wozu i stanął przy drodze.

A potem przyszło jedno po drugim, wszystko jak we śnie. Manders młodszy z krzykiem złapał się za głowę, gdy kanciasty krzemień odbił się od trzech bogato w cięłą skórę oprawnych tomów na półce z książkami. Drugi krzemień szurnał przez całe biurko. Beetle z udaną gorliwością chciał go złapać, ale usiłowania jego zostały uwieńczone tylko przewróceniem lampy naftowej, z której nafta polalała się *via*<sup>49</sup> papiery Kinga na parę jego ulubionych książek i perski dywan na ziemi. Dużo było potłuczonego szkła dokoła krzesła pod oknem; porcelanowy kosz — awersja M<sup>r</sup>Turka — rozbity w strzępy, wysypał swój muszkat wraz z ziemią na czerwone, rypsowe poduszki; Manders *minor* krwawił obficie z ciętej rany na kości policzkowej, zaś King, używając okropnych słów, z których każde Beetle skwapliwie notował sobie w pamięci, wybiegł na poszukiwania sierżanta szkolnego, chcąc natychmiast osadzić Króliczego Bobka w więzieniu.

— Biedne dziecię! — odezwał się Beetle z fałszywym, udanym współczuciem. — Pozwól, aby się to trochę wykrawało. To najlepiej zapobiega apopleksji.

Tak prowadząc ku drzwiom wyjącego Mandersa, umiejętnie przytrzymywał jego oślepioną przez krew głowę to nad biurkiem, to nad zeszytami na biurku.

A wówczas Beetle, sam wobec całego pogromu, odwdzieczył się pięknym za nadobne. W jaki sposób w tym pokoju cały komplet „Gibbona<sup>50</sup>” miał grzbiety podarte jak gdyby ostrym krzemieniem; w jaki sposób takie mnóstwo czarnego i fioletowego atramentu zmieszało się na biurku z krwią Mandersa; w jaki sposób wielka butelka z gumą arabską, odkorkowana, potoczyła się półkolem po podłodze i w jaki sposób porcelanowa kłamka u drzwi pokryła się jeszcze obficie krwią Mandersa, to były rzeczy, których, oczywiście, Beetle nie tłumaczył, kiedy doprowadzony do wściekłości King wrócił i zastał go stojącego grzecznie na tłącym się dywanie, rozłożonym przed kominkiem.

— Pampsor nie kazał mi odejść — rzekł z miną Casabianki i King wysłał go w ciemności piekielne.

On jednak, chcąc wyładować radość, która go rozsadzała, podążył na parter ku małej szatni, gdzie czyszczono trzewiki. Ledwie jednak zaczerpnął oddechu, aby wydać pierwszy okrzyk triumfu, dwie ręce ścisnęły go za gardło, tak że ani głosu wydać nie mógł.

— Idź do sypialni i przynieś mi moje rzeczy. Przynieś je do łazienki piątej klasy. Ja jestem wciąż jeszcze w trykotach! — zasyczał Stalky, siedząc mu na głowie. — Nie leć! Idź powoli.

Ale Beetle wtoczył się do sąsiedniej klasy i wydelegował M<sup>r</sup>Turka, nie wiedzącego jeszcze o historycznym *precis* dotychczasowego przebiegu kampanii. Tak tedy to M<sup>r</sup>Turk o drewnianej twarzy przyniósł ubranie z sypialni, podczas gdy Beetle dyszał ciężko na ławce. A potem wszyscy trzej ukryli się w łazience piątej klasy, poodkręcali kurki, napełnili łazienkę parą i płacząc wskoczyli do wanien, gdzie opowiadali sobie szczegóły bitwy.

— *Moi! Je! Ich! Ego!* — sapał Stalky. — Czekałem, póki własnych myśli już słyszeć nie mogłem, kiedyście wy bili w bęben! A potem schowałem się w pace na węgiel — postrzeliłem Króliczego Bobka — a Króliczy Bobek zrobił Kingowi pogrom. Słyszeliście, jak szkło dzwoniło?

— Jakże, przecie on — on — on — piszczał M<sup>r</sup>Turk, drżącym palcem wskazuje na Beetle’a.

— Jakże, przecie ja — ja — ja byłem przez cały czas — zawył Beetle. — Byłem w jego gabinecie, urągał mi...

— O, rany boskie! — krzyknął Stalky i zniknął pod wodą.

<sup>49</sup>*via* (łac.) — przez, poprzez. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Edward Gibbon (1737–1794) — brytyjski historyk, autor książki *The History of the Decline and Fall of the Roman Empire* (*Dzieje i upadek Imperium Rzymskiego*). [przypis edytorski]

— Szkło — szkło, to jeszcze nic. Mandersowi młodszemu rozbił głowę. Na... na... nafta z lampy rozlała się po całym dywanie. Krew na książkach i papierach! Guma! Guma! Guma! Atrament! Atrament! Atrament! O, Boże!

Stalky, cały czerwony, wyskoczył z wanny i trzęsąc Beetle'em starał się doprowadzić go do równowagi; ale to opowiadanie znowu zbiło ich z nóg.

— Ja ukryłem się w komórce, jak tylko usłyszałem, że King biegnie na dół. Beetle wpadł na mnie. Drugi klucz jest schowany za tablicą. Nie ma cienia czegoś takiego, co by świadczyło przeciw nam — rzekł Stalky.

Przez chwilę śpiewali sobie wzajemne hymny pochwalne.

— I w dodatku on sam — sam — sam nas z pracowni wyrzucił! — odkreślił M<sup>r</sup>Turk. — Choćby chciał, nie może nas podejrzewać. Och, Stalky, to najpiękniejszy czyn, jakiegośmy kiedykolwiek dokazali.

— Guma! Guma! Ocean gumy! — wołał Beetle z okularami żarzącymi się spoza morza mydlin. — Atrament i krew, wszystko razem pomieszane. Potrzymałem przez chwilę głowę tego bydlaka nad łacińskim zadaniem szkolnym na poniedziałek — Boże, jak nafta śmierdziała! A Króliczy Bobek kazał Kingowi wziąć okład na nochal! Stalky, trafiłeś Króliczego Bobka?

— Ja myślę! Pociąłem go od stóp do głów! Nie słyszeliście, jak kłął. Ojej, skonam, jeśli nie przestaniecie!

Ubrali się z trudnością, bo M<sup>r</sup>Turk musiał przecie zatańczyć, dowiedziawszy się, iż kosz porcelanowy z muszkatem stłukł się, a prócz tego Beetle przytaczał różne wyrażenia Kinga z poprawkami i komentarzami.

— Okropność! — zawołał Stalky, omdlewając podczas szamotania się z na pół wciągniętymi spodniami. — I w dodatku w obecności tak niewinnych chłopców jak my! Co by o tym powiedziano w szkole *Św. Winifreda* lub w „Świecie szkoły”? Ale czekajcie no! To mi przypomina, żeśmy jeszcze nie zapłacili trzeciej przygotowawczej za napaść na Beetle'a, kiedy on się rozprawiał z Mandersem młodszym. To „alibi”, Samiwelu! A oprócz tego, jeśli im za to nie zapłacimy, staną się niemożliwi!

Trzecia przygotowawcza postawiła przed swą salą wartę, która stała całą godzinę, co dla małego chłopca znaczy wieczność. Teraz chłopcy zajęci byli swymi zwykłymi sobotnimi sprawami — jedni gotowali na gazie wróble z rdzawymi dziobami, drudzy warzyli w fajansowych słojach aptekarskich jakieś paskudne trunki, inni przy pomocy szczyrzyków ściągali skórę z kretów lub obserwowali swe jedwabniki, a jeszcze inni rozprawiali o niegodziwościach starszych ze swobodą, łatwością i dowcipem, który w podziw wprowadziłby ich rodziców. Cios spadł bez ostrzeżenia, Stalky przewrócił ławkę pełną mikrusów i wysypał ich na ich własne utensylia kuchenne; M<sup>r</sup>Turk szalał w niechlujnych szafach jak terier w jamie króliczej, podczas gdy Beetle skrapiał obficie atramentem wszystkie głowy, których nie mógł dosięgnąć *Klasycznym słownikiem* Smitha. Trzy krótkie minuty zrujnowały niemało jedwabników, ulubionych larw, wypracowań francuskich, czapek szkolnych, na pół spreparowanych czaszek i kości i z pół tuzina słoików pełnych własnego wyrobu konfitur z tarniny. Było to spustoszenie straszne, a sala wyglądała, jakby przez nią przeleciały trzy burze z trzech przeciwnych stron.

— Phi! — sapnął Stalky, odetchnąwszy głęboko, kiedy się znalazł za drzwiami (wśród jęków „Och, wy lotry, wam się zdaje, że to bardzo dowcipne” itd.). — Teraz jest wszystko w porządku. Niechaj słońce nigdy nie zachodzi nad naszym gniewem. A to cymbały, te mikrusy! Nie umieją jeszcze kombinować.

— A siadło mi ich na głowie sześciu, kiedym przyszedł po Mandersa młodszego! — odezwał się Beetle. — Przestrzegalem, że dostaną lanie!

— Zapłaciliśmy wszystkim, jak należało — co za cudne uczucie! — rzekł M<sup>r</sup>Turk zamyślony, kiedy szli korytarzem. — Zdaje mi się jednak, że o Kingu lepiej dużo nie mówić, no nie, Stalky?

— Nie za dużo. Nasza pozycja to, rozumie się, pokrzywdzona niewinność — tak samo jak wtedy, kiedy to stary Foxibus oskarżył nas o palenie w lokalu Łowców Pluskiew. Gdybym nie wpadł na myśl kupienia pieprzu i posypania nim naszych ubrań, byłby nas wyniuchał. King był wtedy straszliwie komiczny. Przez tydzień przezywał nas wypychaczami ptaszków.

Zemsta, Uczeń

— Ba, King nie znosi Towarzystwa Historii Naturalnej, dlatego że jego prezesem jest mały Hartopp. Wszystko, co się robi w budzie, powinno być ku większej chwale Kinga — zaznaczył M<sup>o</sup>Turk. — Ale swoją drogą, skończonym osłem trzeba być, żeby myśleć, że my w naszym wieku zaczniemy wypychać ptaki jak jakie mikrusy.

— Biedny, stary King! — westchnął Beetle. — Jego we Wspólnej Sali nie lubią i będą mu teraz wciąż Króliczy Bobek pod nos pchali. Boże! Co za rozkosz! Jak to cudnie! Jak wspaniale! Ach, żebyście go byli widzieli, jak pierwszy kamień wleciał! I ta ziemia!

I znowu śmiech na kilka minut ich obezwładnił.

Wreszcie udali się do pracowni Ebenezara, gdzie ich jednak przywitano chłodno.

— Co się stało? — zapytał Stalky, wyczuwszy w tej chwili nową atmosferę.

— Sami najlepiej wiecie! — odpowiedział Ebenezar. — Jeśli was złapia, wyleją was z pewnością. King to mściwa bestia.

— Co? Jak? Gdzie? Wylać? Za co? Cóżemy zrobili? Graliśmy tylko na bębnie i za to King już nas wylał z pracowni!

— A niby to nie wy spiliście Króliczego Bobka i podpłaciliście go, żeby zdemolował mieszkanie Kinga?

— Podpłacili? Co to, to nie, mogę przysiąc, żeśmy tego nie zrobili! — odpowiedział Stalky z ulgą, bo nie lubił kłamać. — Jakież ty masz niski sposób myślenia, Kiciu! Myśmy byli w łazience na dole i kąpaliśmy się. Czyżby istotnie Króliczy Bobek zdemolował mieszkanie Kinga? Niezlomnego, upartego Kinga? To straszne!

— Okropne! King aż się pieni! Dzwonią na modlitwę. Chodźmy.

— Zaczekaj chwilkę! — zawołał Stalky, prowadząc rozmowę dalej donośnym i wesołym głosem, kiedy schodzili po schodach. — I za cóż to Króliczy Bobek zdemolował Kingowi mieszkanie?

— Ja wiem — rzekł Beetle, gdy mijali otwarte drzwi pokoju Kinga. — Byłem właśnie w jego gabinecie.

— Cicho, ty osłe jeden! — syknął Cesarz Chiński.

— Och, on już poszedł na modlitwę! — mówił Beetle, obserwując cień nauczyciela na ścianie. — Króliczy Bobek, urżnięty trochę, kłął na swą szkapę. King zaczął mu urągać przez okno, a wtedy Króliczy Bobek zdemolował mieszkanie Kingowi.

— Jak to? — odezwał się Stalky. — To niby, twoim zdaniem, King zaczął pierwszy?

King znajdował się za nimi, a każde dobrze odważone słowo leciało klatką schodową jak strzała.

— Ja mogę przysiąc tylko na jedno — ciągnął Beetle — że King kłął jak mularz. — Po prostu — ohyda! Muszę o tym napisać do ojca.

— Lepiej powiedz o tym Masonowi — poddał Stalky. — On zna naszą wrażliwość na tym punkcie. Zaczekajcie chwileczkę, sznurowadło mi się rozwiązało.

Chłopcy z sąsiedniej pracowni pobiegli naprzód. Nie chcieli się dać wciągnąć w scenę tego rodzaju. Tak więc M<sup>o</sup>Turkowi przypadło w udziale dojść do ostatecznej konkluzji pod działaniem przeciwnika.

— Widzicie! — mówił Irlandczyk, wisząc na poręczy schodów. — Zaczyna naprzód z mikrusami. Potem zaczyna z chłopcami z wyższego gimnazjum, a potem zaczyna z ludźmi, którzy nie mają z budą nic wspólnego — a potem się z tym kryje. Dostał, co mu się należało. — Przepraszam pampсора. Nie widziałem, że pampсор idzie.

Czarny strój zaszumił jak chmura gradowa, a tuż za nim rzędem trupa Aladyna, wzięwszy się pod rękę, maszerowała wielkim korytarzem na modlitwę, śpiewając z jak najniewinniejszą intencją:

Arrah, Patsy, pilnuj dziecka! Patsy, dziecka swego patrz!

Pięknie otul je kolderką, bo znów będzie straszny płacz!

Arrah, Patsy, pilnuj dziecka, choć przez chwilę na nie bacz,

Bo noc całą krzyzczyć będzie! Patsy, swego dziecka patrz!

## NIESMACZNY EPIZOD

Któraś z ciotek Stalky'ego, stara panna, przysłała mu obie te książki z napisem: „Najdroższemu Artie w dzień ukończenia szesnastu lat”. M<sup>o</sup>Turk zażądał ich zastawienia; zaś

Beetle wróciwszy z Bideford, rzucił je na okno pracowni Nr 5 i oświadczył, że Bastable za obie książki nie chce dać więcej niż dziewięć szóstek, mówiąc, iż *Eryk* to taka sam piła jak *Św. Winifred*.

— Nie mogę powiedzieć, żebym miał zbyt wysokie wyobrażenie o twej ciotce i to właśnie teraz, kiedy nam prawie zupełnie wyszły naboje — Artie, złotko moje!

Wobec czego Stalky wstał, aby go nauczyć moresu, ale M<sup>r</sup>Turk siadł Stalky'emu na głowie i przezywając go „niewinnym chłopcem”, siedział tak długo, dopóki nie zawarli pokoju. A ponieważ mieli przykre zaległości w łacinie, ponieważ było właśnie wyiskrzone lipcowe popołudnie i ponieważ właściwie powinni byli być na meczu palantowym swej klasy, zaczęli odnawiać swą znajomość, znajomość zażyłą a wszeteczną z obu grubymi tomami.

— Otóż mamy! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk. — Kara cielesna wywierała na Eryku wpływ jak najgorszy. Nie wywołała w nim bynajmniej uczucia skruchy i żalu — zapamiętaj to sobie, Beetle — lecz uczucie wstydu i niesłychanego oburzenia. Zgrzytał zębami z gniewu — o, niepoczciwy Eryku! — weźmy teraz to miejsce, gdzie on idzie pić.

— Zaczekaj chwilkę. Tu jest drugi jeszcze przykład. „Szósta klasa — powiada — stanowi palladium każdej szkoły publicznej”. Ale ta hołota — tu Stalky zamknął głośno złoconą książkę — nie może zapobiec temu, żeby ich koledzy nie pili, nie kradli, nie wypuszczali w nocy mikrusów przez okno i — i nie robili, co się im podoba. Psiakrew, co za szkoda, żeśmy nie chodzili do Św. Winifreda.

— Przykro mi bardzo, że chłopcy z mej klasy tak mało interesują się swymi meczami!

Mr. Prout, jak chciał, umiał chodzić bardzo cicho, co w oczach chłopca nie jest żadną cnotą. Prócz tego otworzył szeroko drzwi do pracowni bez pukania — druga zbrodnia — i przyglądał się im podejrzliwie.

— Bardzo mi przykro, że muszę patrzeć, jak gnijecie w swoim pokoju.

— Byliśmy na spacerze zaraz po obiedzie, prosz pampsora — odpowiedział znużonym głosem M<sup>r</sup>Turk.

Mecze są do siebie podobne, jak dwie krople wody, a oni w ostatnim tygodniu zajmowali się przypadkiem strzelaniem królików z pistoletu flobertowego.

— Ja nie widzę, jak piłka leci, prosz pampsora! — tłumaczył się Beetle. — Tyle razy rozbijano mi przy siatce okulary, aż mnie wreszcie zwolniono. Jeszcze jako mikrus byłem w palancie do niczego, prosz pampsora.

— Wolelibyście, oczywiście, napychać się. Jeść i pić. Dlaczego was trzech nie obchodzi nic a nic honor klasy?

Słyszeli to zdanie często aż do znudzenia. „Honor klasy” był słabym punktem Prouta i chłopcy wiedzieli dobrze, gdzie mogą go ukłuć do żywego.

— Jeśli pan profesor każe nam iść na mecz, rozumie się, pójdziemy! — rzekł Stalky z irytującą uprzejmością.

Ale Prout wolał nie kazać. Kiedy raz tego spróbował podczas jakiegoś wielkiego meczu, trzej intryganci, odsunawszy się od swych kolegów, przez pół godziny stali w pozycji „bacność” wobec wszystkich zgromadzonych gości, podczas gdy podmówione mikrusy przedstawiały ich jako ofiary tyranii Prouta. A Prout był bardzo drażliwy.

Podczas niesłychanie jadowitych pogadank w sali nauczycielskiej King i Macréa, koledzy Prouta, przekonywali go stale, że jedynym zbawieniem chłopców jest tylko sport i nic jak sport. Uczniowie zaniedbani to uczniowie straceni. Musi się ich nagiąć do ram wspólnej dyscypliny. Gdyby Prouta pozostawiono w spokoju, dałby sobie z pewnością wcale dobrze radę ze swymi podwładnymi, na jego nieszczęście nie dawano mu nigdy spokoju, a jego uczniowie dzięki właściwemu młodzieży, szatańskiemu darowi jasnowidzenia, doskonale wiedzieli, komu zawdzięczają te jego napady gorliwości.

— Czy mamy iść na dół, prosz pampsora? — zapytał M<sup>r</sup>Turk.

— Nie mam bynajmniej zamiaru zmuszać was do robienia tego, co stanowi najwyższą przyjemność przyzwoitego chłopca. Bardzo mi przykro.

Wyszedł zakłopotany z niejasnym uczuciem, iż rzucał dobre ziarno na opokę.

— I powiedzcie mi, po kiego licha on to wszystko robi? Na co się to przyda? — rzekł Beetle.

— Po prostu — zbijano go! — wykrzyknął Stalky. — King urąga mu w sali nauczycielskiej za to, że nas za mało trzyma w korbach. Macréa bajdurzy o dyscyplinie, a Kopytko siedzi między nimi, pary z gęby nie puszcza i tylko się poci z całej siły. Niedawno temu, kiedy byłem w biurze po chleb, słyszałem jak Oke (gospodarz nauczycieli) rozmawiał o tym z Richardsem (jednym ze służących).

— I co mówił? — spytał M<sup>r</sup>Turk, rzucając *Eryka* w kąt.

— Mówił, że robią więcej hałasu niż całe gniazdo kawek — przeważnie mówią tak, jak gdybyśmy my, którzy ich obsługujemy, byli głusi. Obmawiają starego Prouta — krytykują wszystko, co zrobił dla swych uczniów, czego nie robi. Wychwalają swoich uczniów, a mówią, że Prouta uczniowie są do niczego. — Widzicie, takie głupstwa wygadywał Oke, a Richards tak się rozgniewał, że aż cały poczerwieniał. On Kinga z jakiegoś powodu nie znosi. Ciekawy jestem, dlaczego?

— Ty wiesz, że King wyśmiewa Prouta w klasie — odezwał się Beetle — robi wciąż jakieś przytyki, „witzę”, tylko że połowa jego klasy jest tak głupia, iż nie rozumie, czego on chce. A przypominasz sobie jego nocny przytułek dla bezrobotnych zeszłego wtorku? To było pite do nas. Chłopcy mówią, że on okropne rzeczy opowiada o nas w swojej klasie, wyśmiewając się z naszej.

— Słowo daję, nie jesteśmy tu po to, żeby się mieszać do ich kłótni — wykrzyknął z gniewem M<sup>r</sup>Turk. — Kto chce się kąpać po apelu? Apel ma King na placu palanta. Chodźmy!

M<sup>r</sup>Turk wziął swój słomiany kapelusz i wyszedł.

Trzej przyjaciele stanęli tuż przed apelem przed zalanym słońcem pawilonem niedaleko szarego, płaskiego, piaszczystego brzegu i nie pytając nikogo, po samym tylko głosie i ruchach Kinga poznali, iż jego klasa bliska jest zwycięstwa.

— Proszę! Proszę! — wykrzyknął, zwracając ku nim rozpromienione oblicze. — Nareszcie przyszły nasze ozdoby przytuliska nocnego. Jesteście wyżsi ponad palant, nieprawdaż?

Grający w ubraniach tenisowych roześmieli się drwiąco.

— Sądząc po tym, co dziś po południu widziałem, zdaje mi się, że nie wy jedni jesteście tego zdania w swej klasie. A czy wolno mi zapytać, co jaśnie wielmożni panowie raczą z sobą począć aż do herbaty?

— Pójdziemy się wykąpać, prosz pampsora — odpowiedział Stalky.

— I skądże to nagle umiłowanie czystości? Nie dostrzegam w was nic, co by o nim szczególnie świadczyło. Przeciwnie, o ile sobie przypominam — mogę się wprawdzie mylić — ale niedawno temu jeszcze...

— Przed pięciu laty! — wtrącił Beetle z oburzeniem.

King zmarszczył brwi.

— Jeden z was miał nawet przydomek śmierdziela wodnego. Tak jest, śmierdziela wodnego. Bał się wody. A teraz, mówicie, pragniecie się umyć? Bardzo słusznie. Czystość nigdy nie szkodzi ani młodzikom w waszym wieku.... ani ich klasie. A teraz do rzeczy.

To mówiąc, wziął listę nazwisk.

— W jaki sposób mogłeś naraz zgłupieć do tego stopnia, żeby mu odpowiadać! — wyrzucił ze złością M<sup>r</sup>Turk, kiedy szli ku łazienkom na wybrzeżu.

— To niesprawiedliwość — przypominać mi, że się bałem wody, gdy byłem w pierwszej klasie. Mikrusy zawsze boją się wody, póki nie umieją pływać.

— I cóż z tego, ośle głupi; ale on zobaczył, że ci tym dojechał. Nigdy nie trzeba odpowiadać Kingowi.

— Kiedy, Stalky, to była niesprawiedliwość!

— Jak Boga mego, jeśli ty po sześciu latach pobytu tutaj myślisz jeszcze, że znajdziesz tu sprawiedliwość, słowo daję, jesteś skończonym idiotą.

Kilku idących do kąpeli chłopców z domu Kinga okrzyknęło ich, błagając, aby się umyli — dla honoru swej klasy.

— Oto skutki głupkowatych rozmów z Kingiem — rzekł Stalky. — Tym bęcwałem nigdy w świecie nie przyszłoby coś podobnego na myśl, gdyby im ktoś nie podsunął. Teraz będą się tym bawili całymi tygodniami. Udajcie, że nie słyszycie.

Uczniowie Kinga zbliżyli się, krzyknęli jakieś przezwisko, po czym odeszli pod wiatr, zatykając z przesadą nosy.

— Fajno! — stwierdził Beetle. — Wkrótce złączą mówić, że cała nasza klasa śmierdzi.

Kiedy trzech przyjaciele porozpinani, z mokrymi włosami i spragnieni pokoju wrócili z kąpeli do domu, proroctwo Beetle'a spełniło się aż nadto prędko. W korytarzu wybiegł naprzeciw nim mikrus — nędzny mikrus z drugiej przygotowawczej — który podał im wysunięty daleko przed siebie, zawinięty starannie w papier kawałek mydła, „z ukłonami od klasy pana Kinga”.

— Stój! — zawołał Stalky, stawiając natychmiast czoło atakowi. — Kto cię przysłał: Nixon? Rattray i White? (Dwaj wielcy z domu Kinga). Dziękuję. Odpowiedzi nie będzie.

— Te głupie żarty są wstrętne! — jęknął M<sup>r</sup>Turk. — Co to ma znaczyć? Co w tym jest śmiesznego?

— To będzie już trwało aż do końca roku, możecie być pewni! — otrząsnął Beetle głową ze zmartwioną miną.

On sam nieraz przeciągał żarty aż do ostateczności.

W przeciągu kilku dni w liceum rozpowszechniło się przekonanie, że chłopcy z klasy Prouta nigdy się nie myją, skutkiem czego szerzą dokoła siebie nieznośny odór. Mr. King raczył się olśniewająco w klasie uśmiechnąć, widząc, jak jeden z jego uczniów odsuwa się od Beetle'a z pewnymi ruchami.

— Zdaje się, że jesteś dotknięty jakąś niemocą, mój kochany Beetle, dlaczegożby bowiem Burton starszy obawiał się dotknąć cię, że się tak wyrażę, rąbkiem swej sukni? Wyznaję, wciąż jeszcze nie rozumiem. Czy który z was nie raczyłby mnie oświecić?

Rozumie się, pół klasy go oświeciło.

— To nadzwyczajne! Niesłychane! A resztą — każda klasa ma swe tradycje, do których za nic na świecie nie chciałbym się wtrącać. Co do nas — to nasz nałóg stanowi mycie się. Dalej — Beetle! Od *Jughurta tamen* i — o ile to nie przekracza twoich sił — unikaj zgadywania w zbyt jaskrawy sposób!

Klasa Prouta szalała z gniewu, ponieważ chłopcy Macréi i Hartoppa przyłączyli się do klasy Kinga i wspólnie prowadzili przeciw niej haniebną kampanię. Wobec tego klasa Prouta zwołała pewnego popołudnia walne zgromadzenie. Zgromadzenie było bardzo burzliwe i tłumne; brakowało tylko prefektów, którzy wprawdzie żywo się tą całą sprawą zajmowali, ale którym poczucie godności na wzięcie udziału w zgromadzeniu nie pozwalało. Odczytywano źle zredagowane rezolucje, wygłaszano mowy zaczynające się od słów: „Panowie, zesłaliśmy się tu dziś”, a kończące się na okrzyku „hańba!”, zupełnie tak samo, jak się to robi we wszystkich liceach, odkąd świat jest światem i odkąd w ogóle licea istnieją.

Pracownia Nr 5 była również obecna, z właściwą sobie miną łaskawą i protekcyjną. Wreszcie M<sup>r</sup>Turk o zapadłych policzkach ulżył sobie.

— Gadacie, krzyczycie i hałasujecie, i oto prawie wszystko, co umiecie! Po co? Klasa Kinga będzie się tylko śmiała z tego, że was tak zbujała, i King także was wyśmieje. Oprócz tego ta rezolucja Orrina jest pełna błędów gramatycznych i King miałby jeszcze jeden powód do śmiechu.

— Ja myślałem, że ty ją wraz z Beetle'em poprawisz... a potem wywiesilibyśmy ją w korytarzu — rzekł pokornie autor.

— Ani mi się śni! Nie myślę mieszać się do tej awantury — odpowiedział Beetle. — To tylko powiększy triumf klasy Kinga. M<sup>r</sup>Turk ma najzupelniejszą słuszność.

— No to może ty, Stalky?

Stalky wyduł policzki na sposób Panurga, spojrział sobie zezem na koniec nosa i bąknął tylko:

— O, wy ohydne gaduły!

— Wy parchy obrzydliwe! — odpowiedziała natychmiast ludność, zasypując obelgami wychodzących.

— Wściec się można! — rzekł M<sup>r</sup>Turk. — Wiecie co? Weźmiemy pukawki i chodźmy na króliki.

Trzy pistolety flobertowe wraz z odpowiednią ilością amunicji schowane były w zamkniętym kufrze Stalky'ego. Kufer ten stał w sypialni trzech przyjaciół o trzech łóżkach, na samym końcu poddasza; ta mała sypialnia przylegała do większej, o dziesięciu łóżkach, która rozpoczynała znów wielką amfiladę sypialni, biegnącą z jednego końca liceum



na drugi. Po klasie Prouta szła klasa Macréi, potem Kinga, na samym końcu Hartop-pa. Starannie zamknięte na klucz i zaryglowane drzwi oddzielały poszczególne klasy, ale każda klasa była, co się tyczy swego rozkładu wewnętrznego — liceum składało się początkowo z dwunastu klas — dokładną kopią drugiego, zaś wszystkie znajdowały się pod jednym dachem.

Wszedłszy do sypialni chłopcy spostrzegli, że łóżko Stalky'ego, stojące po lewej stronie okienka, odsunięto, a z szerokiego na dwie stopy wycięcia w ścianie wystawał zad Richardsa.

— A to co? Nie zauważyłem jeszcze tej dziury. Co tam robisz, grubasie? — zawołał Stalky.

— Napelniam zbiorniki, panie Corkran...

Zduszony i zasapany głos Richardsa ledwo dolatywał do ich uszu.

— Ułatwili mi robotę, niech ich jasna cholera!

— Widać! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk. — Baczość! Uważaj, bo uwięzniesz w tej dziurze!

Richards sapiąc, wyciągnął głowę i ramiona.

— Nie mogę dostać. Tak jest, panie M<sup>r</sup>Turk, tam jest kurek. Przesunięto wszystkie wodociągi o piętro wyżej, aż pod sam dach, że tak powiem. To podczas ostatnich wakacji. Ale ja nie mogę dostać do kurka.

— Ja spróbuję! — rzekł Stalky, wchodząc w otwór.

— Na lewo, panie Corkran, niech się pan trzyma na lewo i niech pan spróbuje namacać kurek.

Stalky przecisnął się na lewo i ujrzał długą, ołowianą rurę, która uchodziła do trójkątnego tunelu. Dach tego tunelu stanowiły krokwie i belkowe wiązanie stropu liceum, podłoga składała się z desek źle dopasowanych, a całość opierała się o grube drewniane podpory muru z łat i podmurowań dachu pod luką.

— Śmieszna ta dziura. Jak daleko idzie?

— Prosto, jak rzekli, panie Corkran — prosto, z jednego końca gmachu aż na drugi, wciąż pod dachem. Czy pan znalazł kurek? Mr. King chciał nam oszczędzić trudu noszenia wody. Ale to za ciasne dla takiego grubasa jak stary Richards. Za gruby jestem, żebym mógł udawać łasicę. Dziękuję, panie Corkran!

Woda trysnęła spod kurka w szafie, a widząc to, Richard napelniał swe wiadra wodą i pokuśtykał dalej.

Chłopcy siedzieli na swych łóżkach zdumieni, rozważając wszystkie możliwości swego nowego odkrycia. Słyszeli wyraźnie, o dwa piętra niżej, huczenie rozgniewanego ula: nigdzie nie ma większej ciszy, jak w sypialni pięknego popołudnia podczas letniego kursu.

— To było aż do dziś zadekowane tapetą! — rzekł M<sup>r</sup>Turk, oglądając małe drzwiczki. — Gdybyśmy wiedzieli!

— Jak Boga mego, trzeba tam wleźć i zbadać! Teraz nikt nie przyjdzie. Nie ma strachu!

Wleźli za przewodem Stalky'ego w dziurę, zamknęli za sobą drzwiczki i czołgali się na czworakach ciemnym i brudnym przejściem, pełnym wapna, starych wiórów i innych odpadków, które robotnicy pozostawiają na strychu domu. Tunel mógł mieć trzy stopy szerokości, a światło przedostawało się doń tylko przez szpary z boku po obu stronach dymników.

— To klasa Marcéi — rzekł Stalky z wzrokiem utkwionym w odstęp trzeciego dymnika. — Widzę na kuferku Barnesa jego nazwisko. Ciszej, Beetle, nie rób takiego hałasu! Możemy się przedostać tędy na drugi koniec liceum. Naprzód! Jesteśmy teraz w klasie Kinga, widzę koniec kufra Rattraya. Och, jak od tych brudnych desek bolą kolana!

Słychać było, jak paznokciami drapał wapno.

— To sufit pod spodem — odezwał się Beetle. — Uważajcie! Gdybyśmy to trochę rozluźnili, wapno zleciałoby prosto do sypialni na dole.

— Jazda! — szepnął M<sup>r</sup>Turk.

— Żeby się dać złapać? Ani myślę. O, jak ja daleko mogę dostać ręką między deskami!

Stalky aż po łokieć wsadził rękę między belki.

— Nie ma tu po co siedzieć. Wracajmy, pogadamy o tym odkryciu. Śmieszna dziura. Muszę powiedzieć, że jestem wdzięczny Kingowi za te jego hydrauliczne prace.

Chłopcy wyleźli z tunelu, oczyścili się szczotką, ukryli pistolety w nogawkach spodni i pobiegli ku idącej stromym wąwozem drodze, jakich w Devonshire jest mnóstwo, a w pobliżu której można było czasem ubić młodego królika. Wyciągnąwszy się w cieniu bujnego krzaka bzu zaczęli się zwierzać ze swych pomysłów.

— Wiecie — rzekł wreszcie Stalky, mierząc do dalekiego wróbla — że moglibyśmy tam doskonale przechowywać pistolety?

— Och! — zawołał Beetle, parszkając; prawie że się dusił. Nie odezwał się ani słowem, odkąd wyszli z sypialni.

— Czy któryś z was czytał kiedy książkę pt. *Historia domu* lub coś podobnego? Ja wypożyczyłem sobie raz taką książkę z biblioteki. Napisała ją Francuzka, jakaś Violette i coś tam jeszcze. Jest to przetłumaczone, rozumiecie, i bardzo zajmujące: dowiadujecie się z tego, jak się buduje dom.

— Jeśli ci tak bardzo na tym zależy, nie potrzebujesz daleko szukać, a tylko idź po prostu do tych domków, które się tam buduje dla straży nadbrzeżnej.

— Jak Boga kocham, to święta prawda! — Daj mi który jaką szóstkę!

— Nie bądź idiotą! Siedź tu i nie lataj po słońcu!

— Dajcie mi szóstkę!

— Słuchaj, Beetle, ty przed nami przecież nic nie kryjesz, no nie? — zapytał M<sup>r</sup>Turk, dając mu szóstkę.

Mówił poważnie; Stalky działał często na własną rękę. M<sup>r</sup>Turk go czasem naśladował, ale w historii tego związku nie zdarzyło się ani razu, aby Beetle zrobił coś samodzielnie.

— Nie. Ja mam tylko myśl! — odpowiedział Beetle.

— Słuchaj, pójdziemy razem z tobą! — odezwał się Stalky, niby wódz, niedowierzający swym pomocnikom.

— Ja cię nie potrzebuję.

— Zostaw go — rzekł M<sup>r</sup>Turk. — Pewnie chce spłodzić jakiś poemat. Pójdzie teraz aż na brzeg morski układać go, a jak wrócimy do domu, od razu nam go wyrecytuje.

— Więc na co mu szóstki, Turkey? Bydlak zaczyna się robić zanadto samodzielny. Patrz, królik! Nie, tak, to kot, jak mamcię kocham! Strzelaj pierwszy!

W dwadzieścia minut później młody chłopiec w kapeluszu słomianym zsuniętym na tył głowy i z rękami w kieszeniach przyglądał się murarzom budującym nowy domek. Rozdawszy między nich garść strasznie czarnego tytoniu, otrzymał pozwolenie wejścia do domu, gdzie zaczął zadawać liczne pytania.

— Jazda! Ryp swoje wierszydła! — zawołał Turkey, wpadając wraz ze Stalkym do gabinetu.

Beetle pogrążony był w tomie Violet-le-Duca i przeglądał właśnie rysunki.

— Ale to ci była morowa szopa!

— Wiersze? Jakie wiersze? Ja przecie byłem w domku straży nadbrzeżnej!

— Nie ma wierszy? Kości ci połamiemy — rzekł Stalky, rozpoczynając ofensywę. — Widzę, że coś knujesz! Zgaduję po samym twym tonie!

— Wasz wuj Beetle — poeta starał się naśladować bojowy ton Stalky'ego — wasz wuj Beetle jest Wielkim Człowiekiem!

— O, przepraszam bardzo! To mu się tylko zdaje! Daleko ci do tego, Beetle! Wal go, Turkey!

— Wielki Człowiek! — charczał Beetle wyciągnięty na podłodze. — Wy — jesteście bezmózgie — uważajcie na krawatkę — bezmózgie gaduły. Ja jestem Wielki Człowiek! Uf! Słuchajcie pieśni mego triumfu!

— Beetle, moje złotko! — Stalky z całym rozmachem usiadł Beetle'owi na piersi. — My cię szczerze kochamy i ty jesteś naprawdę poetą. Jeżeli kiedykolwiek nazwałem twoje utwory ckliwymi bajdurzeniami, przepraszam cię, ale ty wiesz tak dobrze jak i my, że nic sam nie możesz zrobić, żebyś wszystkiego nie popsuł.

— Ja mam pomysły!

— I pokpisz całą sprawę, jeśli natychmiast nie powiesz wszystkiego wujowi Stalky'emu. No, wypluj to raz, skarbie mój, a my zobaczymy, co się da zrobić. Masz pomysły, ty błagierze jeden! Wiedziałem, że masz jakiś pomysł, jak tylko odszedłeś. Turkey mówił, że chcesz wiersze układać.

— Widziałem, jak się buduje dom. Dajcie mi wstać! Belki podłogi jednego pokoju, to belki sufitu pokoju, który się znajduje pod nim.

— Daj spokój tym głupim terminom technicznym!

— Ale kiedy to ten cieśla mi powiedział. Podłoga spoczywa na belkach, na tym poprzecznym wiązaniu, przez któreśmy peźli, ale zatrzymuje się u przepierzenia. Otóż, gdyby się szło wzdłuż tego przepierzenia, jak my na strychu, jasna rzecz, że można by wsunąć, co by się żywnie chciało pod podłogę, między deski podłogi ałaty i tynk sufitu sali znajdującej się pod spodem. Popatrzcie, jak to narysowałem.

Pokazał im plan narysowany niezręcznie, ale wystarczający do wyjaśnienia sytuacji. Program szkoły nowoczesnej nie zawiera nic, co by się odnosiło do architektury, toteż żaden z nich nawet nie zapytał nigdy, czy przestrzeń między podłogą a sufitem jest pusta czy nie. Poza tym, co go bezpośrednio obchodzi, wychowanek liceum jest takim samym ignorantem jak dziki, którego tak uwielbia; prawda, że posiada również i przebiegłość dzikiego.

— Rozumiem — rzekł Stalky. — Sam przecie włożyłem w ten otwór rękę. No więc?

— No więc...? Nazywają nas śmierdzielami, prawda? Moglibyśmy im tam coś podsunąć — siarkę albo coś takiego, co by porządnie śmierdziało; pokazalibyśmy im, co to prawdziwy smród.

Beetle patrzył na Stalky'ego, który bawił się rysunkami.

— Coś, co by bardzo śmierdziało! — mówił Stalky z namysłem. A naraz jego twarz rozpromieniła się. — Ach, moi złoci, już mam! Smród straszliwy! Turkey! — tu skoczył na Irlandczyka. — Dziś popołudniu, jak Beetle odszedł: to wystarczy.

— Pójdź na mą pierś, aniele jasny! — zaśpiewał M<sup>o</sup>Turk, po czym obaj padli sobie w objęcia i tańcząc, wyśpiewał: „Co za cudny dzień! Hura! Hura! To wystarczy! To wystarczy!”

— Zaraz! — zawołał Beetle. — Ja nie rozumiem!

— Ach, moje złotko, mamy, czego nam potrzeba. Mój Arturku miły, pacholę o duszy czystej, opowiedzmy naszemu słodkiemu Reginaldowi historię zdobycia tego morowego powietrza.

— Aż po apelu. Chodźcie!

— Słuchajcie! — oświadczył im szorstko Orrin, kiedy stawali do szeregu wzdłuż długiego muru sali gimnastycznej. — Uczniowie naszej klasy mają dziś jeszcze jedno zgromadzenie.

— A zgromadzajcie się, przyjaciele! — odpowiedział Stalky, myśląc o czym innym.

— Tym razem zgromadzenie jest w sprawie waszego zachowania się.

— Doskonale. Kłaniaj się im ode mnie... Jest! — huknął, usłyszawszy swe nazwisko i natychmiast galopem pognął korytarzem.

Stalky i M<sup>o</sup>Turk, skacząc jak kozy, w podskokach i susach poprowadzili zadyszanego Beetle'a ku drodze królików. Tam, spod kupy kamieni wyciągnęli zwłoki świeżo zabitego kota. Dopiero wówczas Beetle pojął i zrozumiał głęboki zmysł tego, co się miało stać, i podniósł swój głos, składając dzięki za to, iż są na świecie wojownicy tak mądrzy, jak Stalky i M<sup>o</sup>Turk.

— Tłusta jest ta stara kocica, co? — pysznił się Stalky. — Jak myślicie, długo potrwa, zanim się rozśmierdzi trochę w zamkniętej przestrzeni?

— Rozśmierdzi! Co za ordynarne wyrażenie! — wykrzyknął M<sup>o</sup>Turk. — Biedna kiciunia nie może wyzionąć ducha pod podłogą sypialni Kinga, abyś jej nie obsypał haniebnymi wyzwiskami.

— Ale dlaczego ona zdechła pod podłogą? — odezwał się Beetle, który myślał o przyszłości.

— Nie bój się! Nie będą o to pytali, jak ją znajdą!

— Kot może patrzeć na Króla. — M<sup>o</sup>Turk stoczył się ze wzgórza, śmiejąc się ze swego kalamburu. — Ty nie masz pojęcia, kiciuniu, jak olbrzymią usługę oddajesz trzem młodzieńcom o czystych duszach ożywionych wzniosłymi uczuciami.

— Będą musieli podłogę rozebrać, jak ją zechcą znaleźć — rzekł Beetle. — Jak to było, kiedy w numerze dziewiątym zdechł szcur. Zużyto całą kupę środków dezynfekcyjnych.

— To będzie dopiero smród! Morowy smród!

Uczeń, Dziki

M<sup>r</sup>Turk aż się wił, kiedy wrócił na swoje miejsce. Nadzwyczajny komizm sytuacji zbił ich z nóg i związał w jeden spłot.

— I pomyśleć, że to wszystko robimy — dla honoru klasy!

— A oni tam na zgromadzeniu sądzą teraz! — łkał Stalky, klęcząc w fosie, z głową zanurzoną w wysokiej trawie. — Słuchajcie! Trzeba wyciągnąć z kota kulę. Prędko. Im prędzej go podrzucimy, tym lepiej.

Natychmiast zabrali się przy pomocy scyzoryka do tej przykrej roboty; w trójkę (nie pytajcie, kto ukrył ścierwo pod swą kamizelką) ponieśli ofiarę, starając się jak najprędzej dostać do domu; Stalky w biegu układał dalszy plan kampanii.

Zachodzące słońce, rzucające szerokie plamy światła na dachy, widziało, jak w murze jednej z sypialń zniknęło trzech chłopców i jeden parasol. W pięć minut później chłopcy wrócili, oczyścili się starannie, umyli sobie ręce, uczesali się i zeszli na dół.

— Czy jesteś pewny, że wsunąłeś ją dość głęboko? — spytał naraz M<sup>r</sup>Turk.

— Powtarzam ci, wsunąłem ją na całą długość mego ramienia i parasola Beetle'a. To by było mniej więcej około sześciu stóp. Leży w samym środku tej wielkiej sypialni Kinga o dziesięciu łózkach. Pierwszorzędna pozycja centralna — powiedziałbym. Jak się dobrze rozgrzeje, wykurzy tych chłopców, i Macréi, i Hartoppa. Wasz wuj Stalky jest Wielki Człowiek, jak Boga mego. Beetle, czy ty możesz sobie wyobrazić, jaki on jest Wielki Człowiek?

— Jakże? Przecież to ja pierwszy miałem ten pomysł, a tylko...

— Tylko, że bez wuja Stalky'ego nie potrafiłbyś go wykonać, nieprawdaż?

— Przez cały tydzień przezywali nas śmierdzielami! — mówił M<sup>r</sup>Turk. — Będą się teraz mieli z pyszna.

— Śmierdziel! Fui! Śmierdziel! — doleciało z korytarza.

— A ona — już tam leży! — rzekł Stalky, opierając się na ramionach obu kolegów. — Leży — gotowa ich zaskoczyć. Naprzód zacznie do nich szeptać, jak gdyby im się tylko coś śniło, a potem zacznie cuchnąć! Rany Boga, co to będzie za smród! Zróbcie mi tę przyjemność i pomyślcie o tym przez dwie minuty!

Wrócili do pracowni, mało co mówiąc. A potem zaczęli się śmiać — jak tylko chłopcy śmiać się potrafią. Śmiali się, pokładając czoła na stołach, ześliznąwszy się ze stołków, przypadli twarzami do podłogi, śmiali się bez przerwy, wijąc się na krzesłach lub chwytając się półek z książkami; śmiali się do utraty tchu.

Na tę scenę nadszedł Orrin mający się z nimi rozmówić w imieniu całego domu.

— Nie zwracaj na nas uwagi, Orrin, siadaj. Nie wiesz nawet, jaką cześć i jaki podziw mamy dla twej osoby. Jest coś nieskończenie pociągającego w tym wysokim, czystym czole młodzieńczym, pełnym niewinnych, pacholących marzeń... Jak Boga kocham!

— Uczniowie mieszkający w naszej klasie polecieli mi oddać wam to — rzekł Orrin.

To mówiąc, położył na stole złożony we czworo arkusz papieru i wyszedł z surową miną.

— To ich rezolucja! — domyślił się Beetle. — Niech który z was przeczyta. Mnie się śmiać chce na sam widok tego papieru.

Stalky ostrożnie powąchał papier i rozłożył go.

— Phi! Phi! Słuchajcie!

*Klasa z bólem i pogardą dowiadyuje się o pełnym obojętności stanowisku kolegów z pracowni Nr 5 wobec zniewag i obelg rzucanych klasie Mr. Prouta na zgromadzeniu, które miało miejsce w sali Nr 12, i w myśl rezolucji uczniów klasy uchwała tej pracowni naganę.*

— A ona powalała mi krwią całą koszulę! — rzekł Beetle.

— Śmierdę wciąż kotem, mimo że dwa razy już się myłem! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk.

— A ja o mało nie złamałem parasola Beetle'a, wpychając kicię tam, gdzie ma dojrzeć!

Nie mieli już sobie nic więcej do powiedzenia, ale mogli się jeszcze śmiać. Tej nocy w sypialni próbowano manifestować przeciw nim; odpowiedzieli natychmiast.

— Widzicie — zaczął Beetle łagodnym głosem, zdejmując szelki. — Wszystko pochodzi stąd, że wy jesteście kupą skończonych osłów. Macie zupełnie ptasie mózgi. Powtarzaliśmy wam to chyba nieraz!

— A teraz my sprawimy wam lanie według zwyczaju sypialni. Uragacie nam zawsze, jak gdybyście byli prefektami! — wykrzyknął czyjś głos.

— Nie, kochaneczku, żadnego lania nam nie dacie — odpowiedział Stalky — a nie dacie dlatego, bo wiecie sami, że prędzej czy później dostałoby się wam jeszcze gorzej. *My mamy czas. My możemy ze swą zemstą poczekać.* A wy zrobiliście z siebie błaznów i przekonacie się o tym jutro, jak tylko King dowie się o waszej rezolucji. Jeśli was najdalej do jutra wieczór szlag z tego powodu nie zacznie trafiać, gotów jestem — gotów jestem zjeść własny kapelusz.

Ale zanim jeszcze na drugi dzień dzwonek zawołał na obiad, już uczniowie Prouta gorzko żalowali swego błędu. King witał poszczególnych członków tej klasy z udanymi objawami przerażenia. Czy zamierzali go może wypędzić z liceum za pomocą swej jednogłośnie uchwalonej rezolucji? Jakiegokolwiek byłyby ich poglądy na administrację szkoły, on, oczywiście, natychmiast się do nich zastosuje. Za nic w świecie nie zamierza ich obrazić, jednakże — obawia się... obawia się, że jego uczniowie, którzy nie uchwalają rezolucji (ale się myją), mogliby w tym wszystkim znaleźć powód do śmiechu.

King promieniał ze szczęścia, a jego uczniowie, rozkwitający w blaskach jego uśmiechu, zmienili to popołudnie w jedną długą torturę dla nieszczęsnych uczniów Prouta. Sam Prout, posępny i zaniepokojony, siłił się na skrupulatne rozważenie wszystkich *pro* i *contra*, a zakłopotanie jego tylko przez to wzrastało. Dlaczego chłopców z jego domu miano przezywać „śmierdzielami”? Prawda, była to drobnostka, ale Prout przywykł był wierzyć, iż lecące w powietrzu plewy wskazują na to, skąd wiatr wieje i że nie ma dymu bez ognia. Czując, że dzieje mu się krzywda, podszedł w sali nauczycielskiej do Kinga, chcąc się z nim rozmówić. King jednak był tym razem pełen wzniośle ironicznego sarkazmu i poprzestał na spowiciu Prouta w świetne sploty swej dialektyki.

— No i cóż? — pytał Stalky wieczorem, chodząc po sypialniach przed przybyciem prefektów. — Cóż teraz powiecie, Foster, Carton, Finch, Longbridge, Marlin, Brett? Fajno was King ubrał, już wiem — porobił z was skończonych wariatów — a wy nie mogliście zrobić nic innego, jak tylko kiwać się nad ławką i gęgać: „Tak jest, prosz pamp-sora” i: „Nie, prosz pamp-sora”, i: „Nie, bo prosz pamp-sora” — z całą swoją rezolucją! Idioci!

— Stalky, czy ty stulisz raz pysk?

— Ani mi się śni! Wszyscy do kupy razem jesteście kretyńcia banda rezolucjonistów. Wyszmażyliście byczy paszтет. Może być, nauczy was to nie zaczynać z nami na drugi raz!

Kilku się pogniewało, większość zaś głosów oświadczyła, że nigdy do tego by nie doszło, gdyby Nr 5 od samego początku pomagał w walce.

— Ale wam się zdaje, że wam nikt rady nie da! — drwił Orrin, zwolennik rezolucji. — Jakaście się zaczęli sadzić, jak tylko przyszlście na zgromadzenie! Myślałby kto, że my jesteśmy bandą idiotów!

— I żebyś sobie wiedział, że tak jest! — odrzekł Stalky. — Bóg wie odkąd już staram się wam to wbić w te wasze zakute pały, a wy wciąż jeszcze nie rozumiecie. Ale to nic, nie mamy wam tego za złe. Odwagi! To przecie nie wasza wina, że jesteście matolki!

Oskrzydlwszy w ten zręczny sposób nieprzyjaciela, Stalky skoczył do łóżka.

Tej nocy zdawało się, jak gdyby do radości uczniów Kinga domieszała się jakaś kropla goryczy. Z powodu przeciągów pod podłogą kotka nie zakłóciła spokoju sali, pod którą leżała, ale salę sąsiednią na prawo, wsączając się w powietrze raczej bladym tchnieniem niż jako realne wrażenie. Dość jednak najłżejszego odoru, aby zaniepokoić drażliwe powonienie i czyste podniebienie młodzieży. Przyzwoitość każe nam spuścić kilka zasłon dobrze zdezynfekowanych na pytania i odpowiedzi, wymienione między mieszkańcami sypialni a Mr. Kingiem. Mr. King naprawdę miał ambicję na punkcie swej klasy i dbał o wygodę swych wychowanków. Przyszedł, węszył, mówił. Na drugi dzień rano jeden z mieszkańców sypialni zwierzył się swemu zaufanemu przyjacielowi, mikrusowi z domu Macréi, że w jego klasie są jakieś nieprzyjemności, które King chciałby zataić.

Ale mikrus z domu Macréi miał też zaufanego przyjaciela w domu Prouta, rozczochranego i złośliwego smarkacza, który jak tylko wydarł przyjacielowi sekret, natychmiast rozgłosił go przenikliwym głosem, brzmiącym w długim korytarzu jak hukanie sowy.

— I... i przez cały tydzień nazywali nas śmierdzielami! A tymczasem mały Harland opowiada, że w ich sypialni jakiś wściekły smród spać im nawet nie daje! Chodźcie!

Wydawszy jeden jedyny okrzyk i jedno zawołanie, uczniowie Prouta rzucili się do boju... Podczas pauzy między pierwszą a drugą godziną z pięćdziesięciu dwunastoletnich urwisów walczyło na żwirze pod oknami Kinga wśród wyzwisk, których motyw przewodni stanowiło słowo „śmierdziel”.

— Słyszycie huk działa alarmowego na morzu? — rzekł Stalky.

Zbierali właśnie w swej pracowni książki potrzebne do lekcji łaciny, którą wykladał King.

— Widziałem dobrze, że jego jasne czoło chmurne było w czasie modlitwy:

Lecz otóż ona, nasza siostra Maria.

Patrz, oto ona...

— Jeżeli już teraz wyprawiają takie hałasy, to cóż będzie, kiedy się kotka naprawdę ożywi i ruszy z miejsca?

— Tylko bez żadnych trywialnych uwag, Beetle! My pragniemy tylko tego, aby wyjść z tej awantury, jak na przyzwoitych ludzi przystało...

— „To przecie tylko mały kwiat uwiędły”. Gdzie mój Horacy? Ale wiecie co? Nie rozumiem, co ona myśli przez to, że podkadza naprzód sypialnię Rattraya? Myśmy ją przecie wsunęli pod sypialnię White’a, no nie? — łamał sobie głowę M<sup>n</sup>Turk.

— Szelma kapryśna. Ja myślę, że ona wszędzie łązi.

— Jak ciocię kocham, da nam King szkołę na drugiej godzinie, a ja Horacego w rękach nie miałem! — wykrzyknął Beetle. — Chodźmy!

Stanęli przed klasą. Było pięć minut przed dzwonkiem i King mógł nadejść lada chwila.

M<sup>n</sup>Turk utorował sobie łokciami drogę wśród kohorty walczących mikrusów, wyłowił spośród nich Thorntona III (owego zaufanego przyjaciela Harlanda) i kazał mu powiedzieć, co wie.

Mikrus usłuchał. Była to krótka, płaczem przerywana historia. Wielu z kolegów sówicie już zapłaciło mu za jego niedyskrecję.

— Nic nadzwyczajnego! — zawołał M<sup>n</sup>Turk. — Mówi, że klasa Kinga śmierdzi. I już.

— Stara historia! — krzyczał Stalky. — Wiemy o tym od lat, tylko że my nie lataliśmy z tym, jak kot z pęcherzem i nie wołaliśmy „śmierdziele”. Ma się przecie bodaj szczyptę dobrego wychowania, o którym drugim ani się nawet nie śniło. Turkey, złap jakiego mikrusa, przekonamy się sami.

Długie ramię M<sup>n</sup>Turka spadło na kark bojaźliwej, wystraszonej ozdoby drugiej przygotowawczej.

— M<sup>n</sup>Turk, proszę cię, puść mnie! Ja nie śmierdę, przysięgam Bogu, że nie śmierdę.

— Nieczyste sumienie! — wykrzyknął Beetle. — Któż ci mówi, że śmierdzisz?

— No, i cóż ty powiesz? — zapytał Stalky, popychając malca ku Beetle’owi.

— Hm, hm, śmierdzi, słowo honoru! To będzie trąd lub parchy — może jedno i drugie razem. Zabierzcie go!

— Doprawdy, panie Beetle — zwykle po dzwonku King przechadzał się przez parę minut przed klasą — jesteśmy panu serdecznie zobowiązani za pańską diagnozę, która nie mniejszy zaszczyt przynosi pańskiej chorobliwej fantazji, jak też i oplakanej ignorancji, z jaką pan tak wymownie rozprawia o tych chorobach. Teraz zaś wystawimy pańską wiedzę na próbę na innym polu.

Godzina była wesoła, ale Beetle nie narzekał tak bardzo, ponieważ King tak się śpieszył złożyć go w całopaleniu na ołtarzu swej zemsty, że zapomniał zadać mu *pensum*, równocześnie zaś dostarczył mu mnóstwo przymiotników wartości niesłychanej, które Beetle mógł wykorzystać należycie na trzeciej godzinie. Była to lekcja algebry, którą wykladał Hartopp, i Beetle z całą powagą przystąpił natychmiast do układania poematu pod tytułem *Dom Łazarza*.

Po obiedzie King zaprowadził swych chłopców do kąpieli w Pebbleridge. Obiecał im to już dawno, teraz jednak dużo by dał za to, żeby móc się z tego wykręcić, bo wszyscy uczniowie Prouta wylegli na podwórze przy swym domu i ustawiwszy się w szereg, rozmyślnie oklaskiwali go gorąco. Podczas jego nieobecności co najmniej połowa liceum wtargnęła do zakażonych sypialń, chcąc się przekonać, co jest w tym wszystkim prawdy.

Przez ostatnich dwanaście godzin kot zaczął się już na dobre rozkładać, ale pole bitwy po pięciu dniach nie mogłoby cuchnąć tak strasznie, jak to opisywali wysłani wywiadowcy.

— Słowo daję, pięknie się kotka spisuje! — rzekł Stalky. — Czy który z was czuł kiedy w życiu podobny smród? Boże, a wciąż jeszcze nie sięga sypialni White'a!

— Nic się o nią nie bój! Daj jej tylko czas! — odpowiedział Beetle. — Te perfumy rozejdą się po całym domu jak bluszcz! Cóż to za żałośni łazarze! Żadna klasa nie ma prawa robić z siebie cuchnącego kanału tuż pod nosem przyzwoitych, niewinnych młodych ludzi o czystych duszach i wzniosłym sposobie myślenia. Czy płoniesz żalem i skrucą? — pytał M<sup>r</sup>Turk, kiedy biegli na spotkanie klasy wracającej z kąpieli.

Ponieważ King klasę swą opuścił, rozprawiano się z sobą bez najmniejszych ceremonii. Naokoło czoła maszerującego domu uganiał się tłum harcowników — ze wszystkich klas — goniąc, przeganiając się, wykrzykując obelgi. Po udręczonych bokach klasy maszerowali hoplici, starsi uczniowie, rzucający bezustannie dowcipami — ciężkimi i pierwotnymi dowcipami z okresu kamiennego. Trójka przyłączyła się do nich bez najmniejszego podniecenia, prawie smętna.

— A oni mimo wszystko zdrowo wyglądają! — zauważył Stalky. — To chyba nie może być, Rattray! Rattray!?

Nie było odpowiedzi.

— Rattray, złotko, cóż ci to? Coś go widać gryzie! Słuchaj, chłopie, my się wcale nie gniewamy na ciebie za ten kawałek mydła, coś go to nam przysłał zeszłego tygodnia! Dajże spokój! Głowa do góry, Rat! Wszystko będzie jeszcze dobrze! Ja mówię, że to tylko paru mikrusów. Prawda, że u was się tak mało uważa...

— Nie myślicie chyba wracać do klasy! — wykrzyknął M<sup>r</sup>Turk. Ofiary tylko tego pragnęły. — Ależ wy nie macie pojęcia, jak tam szalenie czuć padło! Prawda, sami przesiąknięci tym odorem, nie zdawaliście sobie z niego sprawy, ale teraz, po kąpieli i pobycie na czystym, świeżym powietrzu nawet was to z nóg zwali! Lepiej już rozbijcie namioty na wydmach! Możemy wam dać trochę słomy, chcecie?

Klasa pobiegła w takt pieśni *Ciało Johna Browna*, śpiewanej przez kochających kolegów, po czym zabarykadowała się w swej wspólnej sali. Stalky natychmiast namalował kredą na drzwiach wielki krzyż z napisem „Boże, zlituj się nad nami”, tak aby King mógł go zobaczyć.

Tej nocy wiatr zmienił kierunek i zaniósł odór padliny do sypialni Macréi; chłopcy jego domu, w koszulach nocnych, pukali do zamkniętych drzwi oddzielających oba domy, namawiając chłopców Kinga, aby się umyli. Pracownia Nr 5 zjawiała się na następnej lekcji z więcej niż pół funtem kamfory w ubraniu na każdego, zaś King, zbyt sprytny, aby żądać od nich wytłumaczenia, zbeształ ich i wyrzucił za drzwi. Dzięki temu Beetle mógł spokojnie w pracowni wykończyć drugi poemat.

— Oni używają teraz karbolu. Mówił mi Malpas — obwieścił Stalky. — King myśli, że to wszystko z wychodków.

— To mu wyjdzie na to dużo karbolu! — zaśmiał się M<sup>r</sup>Turk. — Nie szkodzi! Niech się zabawi!

— Jak Boga kocham, myślałem, że mnie zabije, jak zacząłem teraz węszyć w klasie! Kiedy Burton starszy przed paru dniami mnie obwąchiwał, on nie miał nic przeciw temu. Ani razu nie zakazał ryczeć Aleksandrowi do naszej klasy „śmierdziele!” — póki — póki nie wsunęliśmy mu tej piguły. On się z tego tylko śmiał! — mówił Stalky. — Ty, Beetle, o co on się znów na ciebie ciskał?

— A, to już był mój fajny kawał! Dałem mu zeca! Wiecie, że on wiecznie rozplywa się nad uczyńnym Lipsiusem...

— Co to mając ledwie lat cztery — to *ten* kretyn?

— Żebyś wiedział. Jak tylko się dowie, że ja piszę jakiś wiersz. Dziś, siadając w ławce, szepnąłem do starszego Burтона: „Jak się ma nasz uczyńny Lipsius?”. Stary Butt śmiał się jak koń, nie wiedział, czego ja chcę, ale King wiedział doskonale, prawdę mówiąc, za to wyrzucił nas z klasy. Nie jesteście mi wdzięczni? A teraz przestańcie gęgać. Muszę napisać balladę o „uczyńnym Lipsiusie”.

— Uważaj tylko, żebyś nie używał wyrażeń wulgarnych — napominał go Stalky. — Nie chciałbym się spospolitować w tych szczęśliwych dniach...

— Za żadne skarby świata! Nie ma który z was dobrego rymu do „kanał”?

Walka

Podczas lunchu we wspólnej sali King przez dłuższy czas jadłowicie perorował pod adresem Prouta na temat chłopców zepsutych, nadużywających swych nędznych zdolności do podkopywania dyscypliny i demoralizowania swych kolegów, aby tylko dać folgę swej awanturniczej wyobraźni i unicestwić wszelki autorytet.

— Zdaje mi się jednak, że pan nie brał tego pod uwagę, kiedy *pańska* klasa zaczęła nas przezywać... e... śmierdzielami. Gdyby pan nie zapewniał mnie tyle razy, że pan nigdy nie zamierza mieszać się do spraw cudzej klasy, musiałbym dojść do przekonania, że kilka przypadkowych pańskich uwag dało początek całej tej głupiej historii.

Prout wycierpiał dużo, bo King zawsze przynosił do jadalni swe złe humory.

— Wszakże pan sam odezwał się raz w tym sensie do Beetle'a, czyż nie? Mówił pan coś o niekapaniu się, o śmierdzielach wodnych? — wtrącił kapelan szkolny. — Przypadkiem zapisywałem właśnie tego dnia punkty w pawilonie.

— Być może — żartowałem. Nie mam bynajmniej pretensji do zapisywania sobie każdego słowa rzuconego wśród sztabaków; a prócz tego wiem dobrze, że Beetle'a w żadnych uczuciach urazić nie można.

— Przypuśćmy. Ale on — albo też właściwie oni, co ostatecznie na jedno wychodzi — mają szatański dar odgadywania w człowieku jego słabych stron. Co się mnie tyczy, to wyznaję, że wolę zejść czasem z drogi pracowni Nr 5. Niech się to nazywa słabością, ale dzięki temu, zdaje się, jestem tu jedynym człowiekiem, którego oni nie doprowadzili do szału swymi — no — swymi względami.

— To wszystko nie ma nic do rzeczy. Pochlebiam sobie, że umiem dać sobie z nimi radę, jak trzeba. Jeśli jednak oni czują, że posiadają moralne poparcie ze strony tych, których sprawiedliwość powinna być bezwzględna i szczerą, to muszę powiedzieć, że zadanie moje staje się nadzwyczaj trudne. Co do mnie osobiście, to wyznaję, że najbardziej potępienia godną między nami rzeczą byłaby w moich oczach nielojalność.

Sala nauczycielska spojrzała na siebie spod oka, a Prout zaczerwienił się.

— Stanowczo się przeciw temu zastrzegam — rzekł. — To raczej — ja osobiście tych trzech chłopców nie lubię. Dlatego niesprawiedliwą rzeczą byłoby zarzucać...

— Jak długo pan to zamierza tolerować? — spytał King.

— Ależ doprawdy — wykrzyknął Macréa, opuszczając swego zwykłego sojusznika — cały wstyd, jeśli tu w ogóle o wstydzie jakim mówić można, spada na pana Kinga. Nie możesz pan na nich zwać odpowiedzialności za to, że — niewątpliwie wolisz pan stare, proste, dobre słowo — że *pańska* klasa śmierdzi. Teraz już moi chłopcy zaczynają się na to uskarżać.

— Czegóż chcecie? — odezwał się Hartopp. — Znacie chyba chłopców. Naturalnie, że chwytają się wszystkiego, co w ich oczach uchodzi za okazję zesłaną przez samo niebo. Cóż tam jest właściwie w tych pańskich sypialniach, King?

Mr. King oświadczył, że podobnie jak on postanowił sobie niezłomnie nie mieszać się do cudzych klas, spodziewa się, że nikt nie będzie się zbyt otwarcie mieszał do jego spraw. Panowie zechcą prawdopodobnie łaskawie przyjąć do wiadomości — kapelan westchnął ciężko w tym miejscu — że poczynił wszelkie kroki, jego skromnym zdaniem, potrzebne w tym wypadku. Nie dość na tym, on sam wyłożył, nie licząc bynajmniej na zwrot, sumy, których nie wymieni, a za które zakupił środki dezynfekujące. A uczynił to dlatego, iż z własnego gorzkiego — nader gorzkiego — doświadczenia wie, iż administracja liceum jest niedbała, zacošana, niedostateczna. Mógłby dodać jeszcze, tak niedbała jak zarząd pewnych klas, których kierownicy pozwalają sobie teraz krytykować jego działalność. Na zakończenie nakreślił piękny szkic swej kariery naukowej z dokładnym wyszczególnieniem swych talentów i katalogiem stopni uniwersyteckich, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami za sobą.

— Ech! — westchnął kapelan. — Nędzne to nasze życie, bracia! Jak my w nim karlejemy! Niech Bóg pomoże wszystkim nauczycielom! Bardzo tego potrzebują.

— Nie lubię tych chłopców, przyznaję się — Prout z pasją dziobał widelcem obrus — i jak panowie wiecie, nie uważam się za silnego, twardego człowieka, ale faktycznie nie widzę najmniejszej przyczyny stosowania wobec Stalky'ego i Spółki jakichś represji tylko dlatego, że Kinga do pasji doprowadza to... to...



— Iż wpadł w dołek, który sam wykopał — wtrącił mały Hartopp. — Rozumie się, Prout. Toteż panu nikt nie zarzuca, żebyś pan z czczej próżności podjudzał jedną klasę przeciw drugiej.

— Karlejemy — karlejemy!

Kapelan wstał.

— Pójdę poprawiać zadania francuskie. Podczas obiadu King zgębi swymi kalamburami jakiegoś trzynastoletniego mikrusa, potem opowie nam swe dowcipy i wszystko znów będzie dobrze.

— Ale cóż ja zrobię z tą trójką? Czy oni istotnie są tak zepsuci?

— Nonsens! — rzekł mały Hartopp. — Gdybyś pan choć chwilę o tym pomyślał, zobaczyłbyś pan, że cała ta *przedwcześnie dojrzała bujność bezwstydnego wyobraźni*, na jaką King się uskarża, pochodzi wyłącznie od niego. Jak to powiada poeta: „Sam wyhodował pióra, które nadają lot strzale”. Naturalnie, nigdy tego nie przyzna. Chodźcie na chwilę do pokoju do palenia. Nieładnie podsłuchiwać chłopców, ale oni z pewnością gnębią teraz dom Kinga od zewnątrz. Małe rzeczy podobają się małym umysłom.

Brudnej jaskini za salą nauczycielską używano tylko jako garderoby. Szyby jej były z matowego szkła; nie było przez nie nic widać, za to można było słyszeć prawie wszystko, co mówiono przed domem. Odezwały się lekkie, ostrożne kroki od strony Nr. 5.

— Rattray! — wołał ktoś stłumionym głosem — okna pracowni Rattraya wychodziły na tę stronę. — Nie wiesz, czy Mr. King jest w domu? Ja dostałem... — M<sup>r</sup>Turk urwał dyskretnie.

— Nie. Wyszedł! — odpowiedział Rattray nieostroźnie.

— Aha, Wyszedł! Uczony Lipsius poszedł się przewietrzyć. Jego Królewska Wysockość poszła się trochę okadzić!

M<sup>r</sup>Turk wdrapał się na kratę, której uczepił się jak wrona.

— A w całym liceum nigdy nie było takiego smrodu, jak smród w domu Kinga, albowiem dom ten cuchnął straszliwie, a nikt nie wiedział, co na to poradzić. Wyjąwszy Kinga. Tedy on mył mikrusów *privatim et seriatim*. Mył ich w sadzawkach Heszbonu w fartuchu dokoła łędźwi.

— Stul pysk, ty wściekły Irlandczyku!

Słychać było, jak piłka od golfa odbiła się od żwiru.

— Nie ma się o co wątrobić, Rattray. Przyszliśmy pogawędzić z tobą. Chodź, Beetle, wszyscy są w domu, nie czujesz?

— Gdzie Pomposo Stinkadore<sup>51</sup>? Niezbyt bezpieczna to rzecz dla chłopców o czystych duszach i wzniosłych uczuciach dać się dziś widzieć w pobliżu tych murów. Wyszedł? Nic nie szkodzi. Postaram się zrobić wszystko, co tylko jest w moich siłach, Rattray. Jestem właśnie *in loco parentis*<sup>52</sup>.

— (To dla was, Prout! — szepnął Macréa, ponieważ było to jego ulubione zdanie).

— Mam ci kilka słów do powiedzenia, mój młody przyjacielu; pogawędzimy chwileczkę.

Prout parsknął śmiechem. Beetle zmieniając głos, użył ulubionego zwrotu Kinga.

— Powtarzam Mr. Rattrayowi, że musimy pogawędzić, a tematem naszej pogawędki nie będą żadne smrody, ponieważ jest to słowo trywialne i sprośne. Zajmiemy się za twoim pozwoleniem, którego śmiem się chyba spodziewać — zajmiemy się tym haniebnym — że się tak wyrażę — wzrostem tajnej demoralizacji. Co sprawia na mnie wrażenie najprzykrzejsze, to nawet nie krzycząca do nieba nieprzyzwoitość, z jaką się puszcycie pod swoim brzemieniem nieczystości (należy sobie wyobrazić tę orację z interpunkcją piłek od golfa, rzucanych przez Rattraya, który jednak był kiepskim strzelcem), ale ta cyniczna niemoralność, z jaką możecie ucztować i bawić się pośród tych swoich okropnych aromatów. Daleką jest ode mnie wszelka myśl mieszania się do spraw cudzej klasy...

(— Na miły Bóg! — rzekł Prout. — Ależ to cały King!

— Wiersz w wiersz, słowo w słowo. Słuchajcie! — mówił mały Hartopp).

— Powiedzieć jednak, że wy cuchniecie — jak to twierdzą niektóre bezwstydnne i nikczemne indywidua — to przecie nic, nawet mniej niż nic. W nieobecności waszego uko-

<sup>51</sup>*Stinkadore* — żart słowny od ang. *stink*: odór, smród. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*in loco parentis* (łac.) — na miejscu rodziców, w zastępstwie rodziców. [przypis edytorski]

chanego nauczyciela, o którym nikt nie jest ode mnie wyższego mniemania, spróbuję, jeśli mi pozwolicie, wykazać wam całą potworność — cały nieprześcigniony bezmiar — całą miazdzącą zabójczość smrodów (obstają przy tym poczciwym, prostym, starym słowie), jakimi pono zdołaliście zapowietrzyć swój dom. — Och, dość! Zapomniałem już reszty, ale ręczę wam, że była bardzo piękna. Rattray, nie dziękujesz nam za to wszystko, co dla was robimy, za cały nasz trud? Innym ani by się nawet nie śniło zadawać sobie tyle pracy, ale my umiemy być wdzięczni...

— Tak jest, my jesteśmy okropnie wdzięczni! — rzekł M<sup>r</sup>Turk. — Nie zapomnieliśmy tego kawałka mydła. My jesteśmy grzeczni. Dlaczego ty jesteś niegrzeczny, Rat?

— Hallo! — nadbiegł cwałem Stalky z kaszkietem nasuniętym na oko. — Prawicie kazanie śmierzdiom? Obawiam się, że oni posunęli się zbyt daleko, aby móc żałować. Rattray! White! Perosone! Malpas! Nie chcą się odezwać. To smutne, okropnie smutne! Wynieście swych nieboszczyków, wy, zadżumieni trędowaci!

— Zdaje się wam, że jesteście nadzwyczajnie dowcipni, nieprawdaż? — odezwał się Rattray, ukłuty do żywego tym ostatnim zdaniem. — A to z pewnością tylko szczur lub coś podobnego pod podłogą. Jutro się dowiemy.

— Nie próbujcie zrzucić winy na biedne, bezbronne zwierzątko, w dodatku nieżywe. Brzydę się adwokackimi wykrętami. Na mą duszę, Rattray...

— Stój! Kartoflarz nigdy, w całym swoim krótkim życiu nie powiedział „na mą duszę” — rzekł Beetle krytycznie.

(— Słyszycie — trącił Prout Hartoppa).

— Słowo honoru, mój panie, słowo honoru, mój panie, spodziewałem się po tobie czegoś lepszego, Rattray. Dlaczego nie chcesz się przyznać do swych postępów, jak mężczyzna? Czy *ja* okazywałem ci kiedy brak zaufania?

(— To nie brutalność — mruczał Hartopp, jak gdyby odpowiadając na pytanie, którego nikt nie zadawał — to chłopcy, tylko chłopcy!)

— I oto ten dom — tu skaczący, drwiący głos Stalky’ego przybrał brzmienie tragiczne — ta... ta otwarta gnojówka śmiała *nas* przeżywać śmierzdielami! A teraz — teraz próbuję się schować za zdechłego szczura! Rattray, ty mnie wyprowadzasz z równowagi, ty mnie doprowadzasz do ostateczności, ty mnie prowokujesz w niesłychany sposób! Bogu dzięki, że mam dość zimnej krwi...

(— To pod pańskim adresem, Macréa — rzekł Prout.

— Zdaje się! Zdaje się!)

— Inaczej nie byłbym w stanie zapanować nad sobą na widok twej wyzywającej miny.

— *Cave*<sup>53</sup>! — rzucił Beetle cichym głosem, spostrzegłszy Kinga, wychodzącego z korytarza.

— I cóż wy tu robicie, moi mali przyjaciele — zaczął nauczyciel. — Miałbym dorywcze wrażenie — zechciejcie mnie wyprowadzić z błędu, o ile się myślę — (podsluchujący parsknęli śmiechem) — że ile razy zastaję was w pobliżu swej klasy, powinien bym zastosować wobec was kary i plagi.

— Właśnie szliśmy na przechadzkę, prosz pampsora! — rzekł Beetle.

— I zatrzymaliście się, aby pogawędzić z Rattrayem *en route*<sup>54</sup>?

— Tak jest, prosz pampsora. Rzucaliśmy trochę piłkami.

(— Rat jest większym dyplomatą, niż myślałem — odezwał się Hartopp. — Jak widzicie, trzyma się ściśle prawdy. Niech pan uzna etykę tej dyplomacji, Prout!)

— Czyżby? Zabawiłeś się z nimi? No, muszę powiedzieć, że nie zazdrościsz ci wyboru towarzyszy zabaw. Podejrzewam, że mieli zamiar uszczęśliwić cię jedną z tych ohydnych oracji, na jakie sobie tak bezczelnie pozwalali w ostatnich czasach. Zapowiadam wam surowo, abyście dobrze uważali na siebie w przyszłości. Pozbierać te piłki!

Poszedł dalej.

\*

<sup>53</sup>*cave* (łac.) — strzeż się, uważaj. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*en route* (fr.) — po drodze. [przypis edytorski]

Następnego dnia Richards, który służył w marynarce jako cieśla i którego obarczono różnymi dziwnymi zadaniami, otrzymał rozkaz rozebrania desek podłogi w sypialni, albowiem Mr. King był przekonany, że jakieś stworzenie musiało tam zdechnąć.

— Nie możemy zaniedbywać swych prac dla tak błahej przyczyny. Jednakże wiem, iż drobnostki zajmują małe umysły. Prawdą jest, iż poleciłem rozebrać po śniadaniu deski pod doświadczonym dozorem Richardsa. Nie wątpię ani chwili, że akcja ta zajmie żywo pewne inteligencje (o ile je tak można nazwać), zwrócone w pewnym kierunku; z drugiej strony jednak każdy uczeń mej klasy, który by w tym czasie pojawił się na schodach wiodących do sypialni, *ipso facto*<sup>55</sup> jest winien trzysta wierszy kary.

Chłopcy nie zebrawi się na schodach, ale czekali przed klasą Kinga. Richards miał donieść o wszystkim z dymnika i — jeśli by to było możliwe — pokazać trupa.

— To kot, zdechły kot!

W oknie pokazała się purpurowa twarz Richardsa. Biedak przez dłuższy czas czołgał się na kolanach w świątyni śmierci.

— Kot? Co za blaga! — krzyczał M<sup>r</sup>Turk. — To z pewnością mikrus, który umarł zeszłego kursu. Trzy „hura!” dla zmarłego mikrusa Kinga.

Rozległy się trzy potężne „hura!”.

— Pokażcie go! Pokażcie go! My go chcemy zobaczyć! — wrzeszczały mikrusy. — Dajcie go Łowcom Pluskiew! Kot spojrzał na Kinga (króla) — i zdechł z tego! Niii, ksss, miauuuuu — słychać było najrozmaitsze okrzyki.

Richards pojawił się jeszcze raz.

— Ta kotka — zawahał się na chwilę — ta kotka zdechła już dawno temu.

Szkoła wyła ze śmiechu.

— No, chodźmy się trochę przejść! — rzekł Stalky po dobrze wytrzymanej pauzie. — To wszystko jest wstrętne i jestem pewien, że teraz trędowaci nie zaczną znowu...

— Nie zaczną znowu czego? — krzyknął z wściekłością jeden z uczniów Kinga.

— Mordować kotów za każdym razem, kiedy się chcą wymigać od kąpieli. I tak trudno już odgadnąć, kto bardziej śmierdzi. Jak Boga kocham, ja już wolę kota. Jego woń nie jest tak przenikliwa. Co myślisz robić dziś popołudniu, Beetle?

— Ja? Ja chcę śpiewać pieśń triumfu, śpiewać pieśń triumfu przez całe popołudnie. Nigdy jeszcze nie śpiewałem swej pieśni triumfu tak, jak ją dziś śpiewać będę. Chodźmy do naszej dziury.

Z całą rozkoszą uczynili zadość jego życzeniu.

\*

W suterrenach, gdzie migoce gaz i stoją długie rzędy trzewików, Richards perorował wśród swych szczotek wobec Okego z sali nauczycielskiej, Gumbly’ego z sal jadalnych i przystojnej Leny, praczki.

— Tak. Była już w bardzo kiepskim stanie położenia. Aż mi się niedobrze zrobiło, mówię wam. Ale ja ją ciągnąłem i ciągnąłem, póki nie wyciągnąłem, chociaż śmierdziała jak słona woda na dnie statku.

— Zdechła pewnie, łapiąc myszy, biedactwo! — westchnęła Lena.

— W takim razie, Lena, muszę powiedzieć, że łapała myszy zupełnie inaczej, niż wszystkie koty na świecie. Podnoszę wam deskę — a ta leży na wznak, obracam ją miotłą, a ta ma cały grzbiet powalany wapnem i tynkiem z łat. Żebyście wiedzieli. A pod głową to wam miała taką małą poduszczkę gruzu, który się zebrał pod nią, jak się sunęła do ziemi. Żaden kot nigdy jeszcze nie łapał myszy czołgając się na grzbiecie. Lena, ktoś ją tam wsunął pod deski, tak daleko, jak tylko mógł dostać. Koty nie robią sobie poduszek, gdy mają zdychać. Wsunęto ją z całą pewnością i to prawdopodobnie już zdechła.

— Za złośliwy jesteście, stary, żebyście mogli długo pociągnąć — odezwała się Lena, która była zaręczona z Gumbly’em. — Nabralibyście rozumu, gdybyście się ożenili.

— Nauczyłem ja się wielu rzeczy, zanim się niejedna dziewczyna urodziła. Służyłem w marynarce, gdzie mnie nauczono, po co człowiek ma oczy w głowie. Patrz swego nosa, Lena!

<sup>55</sup>*ipso facto* (łac.) — przez sam fakt. [przypis edytorski]

— Więc to prawda, co mówicie? — spytał Oke.

— Nie pytaj, to ci nie będę kłamał. Dostała postrzał, który jej wyszedł drugim bokiem i złamał dwa żebra równo jak dwie gałązki chrustu. Widziałem jedno, gdy ją przewracałem na drugi bok. O, oni są chytry, ale starego Richardsa nie wezmą na bas... Miałem to już na końcu języka, ale — oni mówili, że my się nigdy nie myjemy, prawda? Pozwalali, żeby ich chłopcy przezywali nas śmierdzielami? Dostali, co się im należało, jak Boga kocham.

To rzekłszy, plunął na nowy but i śmiejąc się sam do siebie, zabrał się do roboty.

## IMPRESJONISCI

Wieczorem, pewnej soboty, wszyscy czterej gospodarze klas wpadli do pracowni kapelana na fajeczkę, a miesząc się zgodnie dym z trzech fajeczek z głogu i jednego cygara świadczył dobrze o dyplomatycznych zdolnościach wielebnego Johna Gilleta. Od czasu znalezienia kota pod podłogą King dopatrywał się chętnie obrazy nawet tam, gdzie jej nie było, a wielebny John, „państwo buforowe” i generalny powiernik, przez cały tydzień pracował nad pogodzeniem nauczycieli. Był tłusty, czysto ogolony — wyjąwszy zawieszisty wąs — niezrównanie łagodnego usposobienia, a mniej życzliwi nazywali go żartobliwym jezuitą. W tej chwili uśmiechał się dobrodusznym na widok dokonanego dzieła — czterech ciężko doświadczonych mężczyzn, rozmawiających z sobą bez szczególniejszej złośliwości.

— Słuchajcie, moi panowie! — odezwał się w odpowiedniej chwili. — Ja nikogo nie obwiniam! Ale ile razy któryś z was uczynił jakiś bezpośredni krok przeciw pracowni Nr 5, wynik był dla strony zaczepnej zawsze mniej lub więcej upokarzający.

— Nie zgadzam się z tym — odpowiedział King. — Dzień w dzień rozbijam w puch naszego znakomitego Beetle’a dla jego dobra, a i tamtych dwu wraz z nim.

— Pozwól pan, King, zastanówmy się choćby tylko nad panem i cofnijmy się o parę lat wstecz. Przypomina sobie pan, jakeście to ich wraz z Proutem tropili — posądzając ich o ukrywanie się w chacie i przekraczanie granic. Czy pan zapomniał pułkownika Dabneya?

Rozległ się śmiech. King nie myślał chełpić się swą karierą kłusownika.

— To jeden wypadek. Drugi: kiedy pan miał pracownię pod nimi — a zawsze mówiłem, że to znaczyło wchodzić w jaskinię lwa — wyrzucił ich pan z ich pracowni.

— Za obrzydliwe hałasowanie. Gillet, chyba pan nie ma zamiaru usprawiedliwiać...

— Ja mówię tylko, że ich pan wyrzucił. I tegoż samego wieczoru zdemolowano panu gabinet.

— To Króliczy Bobek... pijany jak sztok... z ulicy! — mówił King. — Cóż to ma wspólnego...

Wielebny John ciągnął dalej:

— Ostatnio widzą, iż podaje się w wątpliwość ich czystość osobistą — niesłychanie drażliwa historia dla każdego chłopca. Bardzo słusznie. Niechże pan patrzy, jak w każdym wypadku zemsta odpowiada obrazie. Pańscy chłopcy zaczynają ich nazywać śmierdzielami — a w tydzień później niesłychane jakieś wyziewy przepełniają pański dom i znajduje się zdechłą kotkę właśnie w tym miejscu, gdzie mogła najbardziej dać się we znaki. Znowu dziwnie długie ramię zbiegu okoliczności. *Summa*. Oskarża ich pan o przekroczenie granic — lichy wie w jaki sposób, pan i Prout zostajecie oskarżeni o przekroczenie granic. Wyrzuca ich pan z pracowni — przez dłuższy czas nie ma pan do własnej pracowni dostępu. Paralelę w ostatnim wypadku już przeprowadziłem. Więc?

— Kotka leżała w samym centrum sypialni White’a — odpowiedział King. — Deski są podwójne, żeby zagłuszyć wszelki hałas. Ani jeden chłopak, choćby z mego własnego domu, nie mógłby ich podnieść, nie pozostawiając żadnego śladu — a Króliczy Bobek był owego wieczoru zalany na śmierć.

— Toteż to! Dziwnie im szczęście sprzyja — zawsze to powtarzam. Ja osobiście nadzwyczaj tych chłopców lubię i mam wrażenie, że do pewnego stopnia posiadam ich zaufanie. Wyznaję, że lubię też, jak mnie nazywają „Padre”. Żyją ze mną w przyjaźni, skutkiem czego nie zwierzają mi się też z rzekomych kradzieży.

— Ma pan na myśli wypadek Masona? — rzekł twardo Prout. — Ja miałem go zawsze za szczególnie skandaliczny. Byłem przekonany, że dyrektor znacznie ostrzej weźmie się do rzeczy. Prawda, Masona wyprowadzono w pole, w każdym razie jednak jest on na wskroś szczerzy i bardzo gorliwy.

— A ja panu powiem, Prout, że się z panem nie zgadzam — odparł wielbny John. — Wdepnął w zmyśloną przez nich historię o kradzieży; przyjął świadectwo drugiego chłopca, o ile wiem, nic nie sprawdzwszy i szczerze mówiąc, zasłużył na to, co go spotkało.

— Oni rozmyślnie dotknęli Masona w jego najlepszych uczuciach — odezwał się Prout. — Gdyby mi powiedzieli choć słówko, nie byłoby tej całej historii. Ale oni woleli wciągnąć go w pułapkę, skorzystać z jego nieznajomości ich charakterów.

— Może być — wtrącił King — ale mnie się Mason nie podoba właśnie przez to, co Prout uważa za jego zaletę. Jest faktycznie zbyt gorliwy.

— Ostatecznie, mówiąc między nami, kradzież nie leży w tradycji przestępstw naszego zakładu! — zauważył mały Hartopp.

— Nieźle to brzmi w ustach dyrektora, którego uczniowie uprowadzili niewinnym wyborcom z Northam siedem sztuk bydła! — trącił Macréa.

— Rozumie się — odpowiedział Hartopp z zimną krwią. — To, plus przełazenie przez bramę, odrobina kłusownictwa i polowanie na jastrzębie na brzegu morskim, to całe nasze zbawienie.

— Ale to wyrządza niesłychaną krzywdę szkole... — zaczął Prout.

— Większą niż skandal, który musiałyby się ukryć? Pewnie! Nie cieszymy się wśród włóścian dobrą sławą, ale ja stanowczo wolę dowcipne kawały tego rodzaju niż... inne historie.

— Być może, że nie robią nic złego, jednakże nie zachowują się, jak na chłopców przystoi, są nienormalni i, według mego zdania, zepsuci! — obstawał przy swoim Prout. — Powodzenie moralne ich sprawek ośmiela ich i toruje im drogę do rzeczy znacznie gorszych. Nie wiem po prostu, jak z nimi postępować. Najchętniej bym ich rozdzielił.

— To by można zrobić, rozumie się — rzekł Macréa — ale trzeba pamiętać, że oni chodzą razem do szkoły już sześć lat. Ja bym tego nie robił.

— Oni używają redakcyjnego „my” — zaznaczył naraz King. — To mnie faktycznie wyprowadza z równowagi. „Gdzie twoje zadanie domowe, Corkran? — Proszę pana profesora, nie skończyliśmy go jeszcze. Zaraz je przyniesiemy” — i tak dalej. Tak samo z innymi!

— W tym *my* jest wielka siła — przyznał mały Hartopp. — Ja im wykładam trygonometrię. M<sup>r</sup>Turk ma może jakieś wyobrażenie o tym przedmiocie, ale dla Beetle’a *sinus* i *cosinus* to śmierć — nie rozumie ani w ząb! Najspokojniej w świecie odpisuje wszystko od Stalky’ego, który celuje w matematyce.

— I dlaczegoż pan na to pozwala?

— Wszystko się wyrównuje podczas egzaminów. Beetle nie pisze zadania i liczy na to, że go uratuje angielski. Na mojej godzinie pisze przeważnie wiersze.

— Dałby Bóg, żeby z taką samą pilnością pisał dla mnie wiersze łacińskie! — rzekł King, prostując się żywo. — Wyjąwszy jedynie Stalky’ego, Beetle układa najbardziej barbarzyńskie heksametry, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Oni sobie pracę zorganizowali — tłumaczył kapelan. — Stalky robi zadania matematyczne, M<sup>r</sup>Turk łacińskie, a Beetle angielskie i francuskie. Przynajmniej, kiedy zeszłego miesiąca leżał w lazarecie...

— Symulując! — wtrącił Prout.

— Być może. Otóż kiedy leżał w lazarecie, zauważyłem, że Stalky i M<sup>r</sup>Turk znacznie gorzej tłumaczyli *Roman d’un jeune homme pauvre*<sup>56</sup>.

— Jest to, moim zdaniem, do najwyższego stopnia niemoralne — świadczył Prout. — Zawsze byłem przeciwny systemowi oddzielnych pracowni.

— Nie ma pracowni, w której by sobie nie pomagano, ale pracownia Nr 5 doprowadziła to do systemu — wtrącił mały Hartopp. — Zresztą oni wszystko robią systematycznie.

— I wcale się z tym nie kryją — odezwał się wielbny John. — Widziałem jak Beetle i Stalky, chcąc iść grać w piłkę nożną, ganiłi po korytarzu za M<sup>r</sup>Turkiem, żeby przełożył za nich elegię Graya wierszem łacińskim.

— To zorganizowana szacherka! — mówił Prout coraz niższym głosem.

<sup>56</sup>*Roman d’un jeune homme pauvre* (1858) — powieść fr. pisarza Octave’a Feuilleta (1821–1890). [przypis edytorski]

— Gdzież znowu! — odpowiedział mały Hartopp. — Nikt nie nauczy krowy grać na skrzypcach!

— Oni wiedzą, że to szacherka!

— Ale my mówiliśmy tu o tym pod tajemnicą spowiedzi, nieprawdaż? — przypomniał wielebny John.

— Jednakowoż pan sam na własne uszy słyszał, jak się umawiali między sobą, Gillet! — upierał się Prout.

— Wielki Boże! Niechże pan też mnie nie bierze na świadka, mój drogi! Hartopp też zawinił. Jeśli się dowiedzą, że to ja ich wydałem, nasza przyjaźń gotowa na tym ucierpieć, a ja ją sobie cenię.

— Takie stanowisko w tej sprawie ja nazwałbym słabością — oświadczył Prout, szukając wzrokiem poparcia. — Zdaje mi się, że byłoby dobrze rozdzielić ich, przynajmniej na jakiś czas. Jak panowie myślicie?

— I owszem, niech ich pan rozdzieli — zgodził się Macréa. — Zobaczymy, czy Gillet ma rację.

— Miej pan rozum, Prout! Zostaw ich pan w spokoju, jeśli pan nie chce mieć nieprzyjemności, a co gorsza, chłopcy obrażą się na mnie. Jestem, niestety, za tłusty, aby się móc opędząć takim łapserdakom! Gdzie pan idziesz?

— Nonsens! Nie ośmieliliby się — idę pomyśleć nad tym wszystkim — rzekł Prout. — To wymaga zastanowienia. Oni odpisywali z całą świadomością i ja muszę pomyśleć o swym obowiązku.

— Gotów zażądać od chłopców słowa honoru! Co za głupiec ze mnie! — wielebny John rozglądał się dokoła z żalospną miną. — Nigdy więcej nie zapomnę, że nauczyciel nie jest człowiekiem. Zapamiętajcie sobie moje słowa — zwrócił się do nauczycieli. — Będą z tego grube nieprzyjemności.

\*

Ale nad żółłym Tybrem  
Panował zgiełk i zamieszanie.

Z jasnego nieba (wciąż jeszcze triumfowali z powodu kociej wojny) spadł na nich naraz Prout, wypalił im kazanie o potworności odbijania i kazał im od poniedziałku przenieść się do wspólnej sali. Klęli wszyscy razem i każdy z osobna przez cały cichy czas sabatu, albowiem ich grzech był mniej lub więcej grzechem każdej pracowni.

— I cóż nam przyjdzie z tego wymyślania? — rzekł wreszcie Stalky. — Jesteśmy mimo wszystko w kupie. Trzeba będzie wrócić i pogodzić się z klasą. Szafa we wspólnej sali podczas nauki, miejsce w sali Nr 12.

Z żalem wodził wzrokiem po ścianach wygodnego pokoju, który M<sup>r</sup>Turk, szef wydziału artystycznego, ozdobił boazeriami, ornamentami i firankami z kretonu.

— Tak! A Kopyciarz będzie co chwila wlaził do sali, jak stary kudłaty pies, żeby zobaczyć, co my robimy. W ostatnich dniach nie daje nikomu ani chwili spokoju — jęknął M<sup>r</sup>Turk. — To będzie straszne.

— Dlaczego nie widzę cię przy palancie? Chłopak powinien być tęgi i zdrow. Nie trzeba gnić ciągle we wspólnej sali. Dlaczego nie zajmujecie się zupełnie swą klasą? — zacytował Beetle.

— A wiecie co? Dlaczego nie mielibyśmy się trochę zająć tą klasą? Zajmijmy się! Zajmijmy się sprawami klasy. Zajmujmy się nimi bez końca. Cały rok nie miał nas we wspólnej sali. Nauczyliśmy się niejednego przez ten czas. Zobaczycie, my mu zrobimy ładną klasę! Jak się nazywa ten drab w *Eryku* czy w *Świętym Winifredzie* — Belial, nie? Otóż ja będę Belialem! — śmiał się chytrze Stalky.

— Cudownie! — wykrzyknął Beetle. — A ja będę Mammonem. Będę pożyczał pieniądze na procent. B. O. P.<sup>57</sup> pisze, że lichwiarstwo rozgałęzione jest we wszystkich

<sup>57</sup>*Boy's Own Paper* — „Gazeta Chłopca”, bardzo rozpowszechnione w Anglii pismo dla chłopców. [przypis tłumacza]

szkołach. Szóstka tygodniowo od szylinga — wystarczy, aby wstrząsnąć słabym umysłem Kopycińsia. Ty, Turkey, możesz być Lucyferem.

— A co mam robić? — uśmiechnął się M<sup>r</sup>Turk.

— Głównie sprzysiężenia, intrygi, bojkoty. Oddaj się tym czarnym intrygom, o których Kopytko zawsze mówi. Chodźmy!

Klasa przyjęła chłopców w ich upadku z tym samym drwiącym współczuciem, z jakim zwykle spotykają się chłopcy wyrzuceni z własnej pracowni. Znana wyniosłość trójki robiła ją jeszcze bardziej zajmującą.

— Wszystko jak za dawnych czasów, co?

Stalky wybrał szafkę i wrzucił do niej książki.

— Przyszliśmy pobawić się trochę z wami, moi młodzi przyjaciele, ponieważ ukochany gospodarz domu wykurzył nas z naszej nory.

— Co się wam słusznie należało, odbijacze! — zawołał Orrin.

— O, tak to nie pójdzie! W żaden sposób nie moglibyśmy zachować swej powagi, kochany Orrinie, gdybyśmy puszczali płazem takie uwagi.

Trójka z miłością opasała chłopca ramionami, przyciągnęła do otwartego okna i spuściła mu dolną jego część na sam kark. Z niemniejszą szybkością związali mu na plecach sznurkiem wielkie palce obu rąk, a ponieważ kopał jak opętany, zdjęli mu trzewiki.

Tak w kilka chwil później znalazł go Mr. Prout, niemal zgilotynowanego i bezsilnego, a otoczonego wijącym się ze śmiechu tłumem, z którego jednak nikt nie myślał mu pomóc.

W oczekiwaniu zemsty Stalky zebrał wszystkich swych przyjaciół w drugiej sali wspólnej na górze. Orrin wpadł tam natychmiast na czele kolumny szturmowej; sala napełniła się obłokami kurzu, wśród których przeciwnicy walczyli, skakali, wyli i piszczeli. W zamieszaniu wojennym zniknął jeden pulpit, skłębiona grupa wojowników połamała na drzazgi drzwi, jedno okno wybito, strącono jeden klosz z lampy gazowej. Korzystając z zamieszania, trójka wymknęła się na korytarz, gdzie ich okrzyki ściągnęły nowych kombatanów, którzy natychmiast rzucali się w bój.

— Na pomoc, King! King! King! Sala numer dwunasty! Na pomoc Prout — Prout! Na pomoc Macréa! Na pomoc, Hartopp!

Mikrusy, niby rojące się pszczoły, wypadały, nie pytając o żadne wyjaśnienia, biegly jak szalone po schodach i rzucali się w tłum walczących.

— Jak na pierwszy wieczór to niezłe — mówił Stalky, poprawiając kołnierzyk. — Zdaje mi się, że Prout nie będzie bardzo zadowolony. Postarajmy się o alibi.

Aby je uzyskać, siedzieli aż do korepetycji na poręczy klasy Mr. Kinga.

— A widzicie! — tłumaczył Stalky, kiedy powoli szli wraz z nikczemnym pospółstwem do klasy. — Ile razy popchnie się przeciwko sobie uczniów z różnych klas, można się założyć, że zawsze znajdzie się głupiec, na którym wszystko się skrupi. Hallo, Orrin, a tobie kto tak buzię przefasonował?

— To wszystko twoja wina, ty bydlę jedno! Wyście pierwsi zaczęli. Myśmy dostali po dwieście wierszy, a was Kopytko szuka. Popatrz, co ta świnią Malpas zrobiła z moim okiem!

— Myśmy zaczęli? A to mi się podoba! A któż to nazwał nas odbijaczami? Czy twój dziecięcy umysł wciąż jeszcze nie umie się dopatrzeć związku między przyczyną a skutkiem? Kiedyż wreszcie zrozumiesz, że z pracownią Nr 5 żartów nie ma?

— Oddaj mi mój szyling! — rzekł nagle Beetle.

Mimo że Stalky Prouta za sobą nie widział, odpowiedział natychmiast:

— Ja ci jestem przecie winien tylko dziewięć szóstek, ty stary lichwiarzu!

— Zapomniałeś o procencie! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk. — Beetle bierze szóstkę od szylinga na tydzień. Ty musisz być cholernie bogaty, Beetle!

— Czekać, Beetle pożyczyl mi sześć szóstek.

Stalky urwał nagle i udawał, że liczy na palcach.

— To było przecie dziewiętnastego, nieprawda?

— Tak, ale zapominasz, że mi nie zapłaciłeś procentu od tego szylinga, co ci go przedtem pożyczylem.

— Ale dałem ci zegarek w zastaw!

— To nic nie znaczy! Zapłać mi procent, inaczej doliczę ci procent od procentu. Pamiętaj, że ja mam twój weksel.

— Ty Żydzie bez serca! — jęknął żałośnie Stalky.

— Cicho! — zawołał bardzo głośno M<sup>r</sup>Turk, drgnąwszy niby, gdy Prout się do nich zbliżył.

— Nie zauważyłem was podczas tej obrzydliwej awantury przed chwilą w sali. — rzekł.

— Jakiej awantury, prosz pampсора? My przecież dopiero teraz wracamy z klasy pampсора Kinga — odpowiedział Stalky. — Proszę pampссора, co ja mam zrobić z preparacją? Wyłamano pulpit w tej ławce, którą mi pan profesor wyznaczył, a cała ławka po prostu pływa w atramencie.

— Znajdź sobie miejsce gdzie indziej — znajdź sobie miejsce gdzie indziej. Czy ja jestem twoją boną<sup>58</sup>? Chciałbym wiedzieć, Beetle, czy pożyczasz kolegom na procent pieniądze?

— Nie, prosz pampссора, nie zawsze.

— Jest to zwyczaj bardzo brzydki. Byłem przekonany, że przynajmniej mój dom jest od niego wolny. Przy całej opinii, jaką mam o tobie, nie przypuszczałem, abyś się kałał podobnym występkiem.

— Przecież w pożyczaniu pieniędzy nie ma nic złego?

— Nie myślę marnować drogiego czasu na prowadzenie z tobą dyskusji o moralności. Ile pożyczyleś Corkranowi?

— Ja... ja nie wiem dobrze — odrzekł Beetle.

Nielatwa to rzecz zaimprovizować w jednej chwili całe przedsiębiorstwo.

— Mnie się zdaje, dwa szylingi i cztery szóstki — bąknął M<sup>r</sup>Turk, rzucając Beetle'owi pogardliwe spojrzenie.

W beznadziejnej sytuacji finansowej, w jakiej znajdowała się pracownia Nr 5, do takiej właśnie sumy rościli sobie pretensje Beetle i M<sup>r</sup>Turk, jako do należnego im działu z kwoty uzyskanej przez Stalky'ego przez zastawienie drugiej pary swoich spodni do wyjścia. Stalky przez pół roku odmawiał wydania tej sumy, twierdząc, że ona mu się należy jako wynagrodzenie za fatygę; swoją drogą wydał te pieniądze na wspólną ucztę z przyjaciółmi.

— Zapamiętajże sobie. Nie wolno ci w dalszym ciągu prowadzić swych lichwiarskich operacji. Powiadasz, dwa szylingi i cztery szóstki, Corkran?

Stalky, który nic nie powiedział, milczał w dalszym ciągu.

— Zły wpływ, jaki wywierasz na swych kolegów, jest już i tak dość wielki, żebyś potrzebował jeszcze uzależniać ich od siebie finansowo.

To mówiąc, poszukał w kieszeniach i (o, radości!) wyjął dwa szylingi i cztery szóstki.

— Przynies mi natychmiast to, co nazywasz wekslem Corkrana, i dziękuj Bogu, że na tym poprzestaję. Te pieniądze potrączę ci z pensji miesięcznej, Corkran. Proszę mi natychmiast przynieść do mego gabinetu weksel.

Mało im na tym zależało! Dwa szylingi i cztery szóstki na raz znaczą zawsze więcej niż wypłacane ratami.

— Ale co to do diabła jest weksel! — mówił Beetle. — Ja tylko czytałem o nim!

— Wszystko jedno, jakoś to zmagstrujemy.

— Tak, ale nasz atrament tak prędko nie wysycha! Co będzie, jeśli on się pozna, że to weksel świeżo napisany?

— Nie pozna się. Jest zanadto zmartwiony! — odpowiedział M<sup>r</sup>Turk. — Stalky, poderżnij się na tym stemplowanym papierze na dole i pisz: „Jestem ci winien dwa szylingi i cztery szóstki”. Nie jesteś mi wdzięczny, Beetle, za to, że te hopy wyostałem od Prouta? Stalky nie oddałby... Co robisz, osłe jakiś!

Beetle, nie myśląc nawet o tym, oddał pieniądze Stalky'emu, który był skarbnikiem pracowni. Długoletnie przyzwyczajenie Nielatwo przelamać.

Prout, otrzymawszy weksel, przedstawił Beetle'owi całą potworność lichwiarstwa, które jak wszystko inne w ogóle, wyjąwszy obowiązkowego palanta, szerzy w klasach zepsucie i wpływa fatalnie na uczucia koleżeńskie, robi młodzież zimną i wyrachowaną

<sup>58</sup>bona (daw.) — opiekunka, prywatna nauczycielka. [przypis edytorski]



i jest źródłem wszystkiego złego. Wreszcie — czy Beetle zna może jakieś inne jeszcze wypadki pożyczania pieniędzy na lichwę? Jeśli tak, obowiązkiem jego jest, w dowód skruchy i żalu, poinformować o tym gospodarza swej klasy, bez wymieniania nazwisk.

Beetle nie wiedział — przynajmniej nie miał zupełnej pewności. I jakże mógłby świadczyć przeciw swym przyjaciółom? Może być, że klasa — tu udał zakłopotaną delikatność — jest lichwy pełna. On jednak nie jest w stanie powiedzieć. Co się jego tyczy, to z konkurencją żadną nigdy się nie spotkał. Jeśli jednak Mr. Prout sądzi, że to mogłoby przynieść ujmę honorowi klasy (Mr. oświadczył, że właśnie to, a nie co innego miał na myśli), to może by lepiej prefekci klasowi...

Przewlekał śledztwo, tak że zajęło połowę czasu przeznaczanego na preparację.

— A teraz — mówił Shylock<sup>59</sup>-amator wróciwszy do klasy i usiadłszy obok Stalky'ego — jeżeli on nie dałby głowy za to, że cały dom uprawia lichwę, jestem małpa, rozumiesz...? Ja byłem w pokoju pana profesora Prouta, prosz pampsora! — odpowiadał nauczycielowi czuwającemu nad chłopcami. — Powiedział, że mogę sięść, gdzie chcę, prosz pampsora. — Aż kapąło z niego, tak się tym wszystkim przejął... — Tak jest, prosz pampsora, ja prosiłem tylko Stalky'ego, żeby mi pozwolił maczać pióro w swoim kałamarzu...

Kiedy szli po modlitwie do sypialni, spotkali ich dwaj starsi prefekci domu, Harrison i Craye, bardzo gorliwi w pełnieniu swych obowiązków. Pienili się z gniewu.

— Słuchaj, Beetle, coś ty znowu nagadał Kopyciarzowi? Piłował nas przez cały wieczór!

— I z jakiegoż to powodu raczyła was inkomodować<sup>60</sup> Jego Wysokość? — spytał M<sup>r</sup>Turk.

— Z powodu pożyczania Stalky'emu pieniędzy przez Beetle'a — zaczął Harrison — a potem Beetle przyszedł i nafagasował<sup>61</sup> mu, że tu się masę pożyczka na lichwę.

— Co to, to grubo się mylisz! — rzekł Beetle, siadając na koszu, do którego wrzucano trzewiki. — Ja powiedziałem zupełnie co innego i powiedziałem tylko prawdę. Pytał mi się, czy w jego klasie dużo pożyczka się na lichwę; odpowiedziałem, że nie wiem.

— On myśli, że wy jesteście bandą parszywych Shylocków — trącił M<sup>r</sup>Turk. — Całe szczęście jeszcze, że was nie uważa za włamywaczy. Jak ten sumienny, poczciwy człowiek raz sobie co wbije w głowę, niełatwo mu wytłumaczyć.

— Och, on jest ożywiony jak najlepszymi zamiarami! Robi wszystko dla naszego dobra! — mówił Stalky, wyginając się wdzięcznie dokoła poręczy schodów. — Pod pewnym względem rura, a w lewym bucie ma zawsze pełno tkliwych wyznań, co się jednak tyczy honoru domu — klasa!

— Stulisz pysk? — krzyknął Harrison. — Ile razy zwraca się wam na coś uwagę, zachowujecie się tak, jakbyście to wy byli prefektami...

— Szarpiecie się trochę zanadto! — wtrącił Craye.

— Nie wiem, kto się tu szarpie, my czy wy, którzy wtrącacie się do sprawy prywatnej między mną a Beetle'em, załatwionej już przez Prouta.

Stalky mrugnął wesoło do swych przyjaciół.

— Teraz widzicie, co znaczą tak zwani „pierwsi celujący” — wtrącił M<sup>r</sup>Turk zapatrzony w płomień gazu. — Robi się ich prefektami, zanim jeszcze mogą nauczyć się taktu, a potem mszczą się na wszystkich, którzy naprawdę mogliby dopomóc im w podtrzymaniu honoru klasy.

— Wcaleśmy was o to nie prosili! — skoczył Craye.

— Więc czego nam włazicie w drogę? — zdziwił się Beetle. — Sądząc po tym, coście sami powiedzieli, do tego stopnia zaniedbaliście się w dozorowaniu domu, że Prout uważa go za gniazdo lichwiarzy. Ja osobiście powiedziałem mu, że pożyczyłem coś tam Stalky'emu, a nie nikomu innemu. Nie mam najmniejszego wyobrażenia, czy on mi wierzy, ale *moja* sprawa na tym się kończy. Reszta — to *wasza* rzecz.

— I zdaje się — mówił Stalky, podnosząc głos — że prawdopodobnie w całym tym domu jest rozkrzewiona, doskonale zorganizowana konspiracja. Bardzo możliwe, że mikrusy pożyczają sobie wzajem sumy przekraczające znacznie ich środki. *My* za to żadnej odpowiedzialności nie ponosimy. Jesteśmy zwykłymi uczniami!

<sup>59</sup>Shylock — lichwiarz, postać z *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare'a. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>inkomodować (z łac.) — niepokoić, przeszkadzać. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>nafagasować (daw. pot.) — donieść, naskarżyć. [przypis edytorski]

— I wy się dziwicie, że my nie chcemy utrzymywać żadnych stosunków z klasą! — odezwał się z godnością M<sup>r</sup>Turk. — Żyliśmy sobie cicho w swej pracowni, dopóki nas z niej nie wyrzuciono, a teraz — teraz nagle jesteśmy wmieszani w takie kawały. To po prostu skandal!

— A wy napadacie nas na schodach i robicie nam awantury w sprawach — mówił Stalky — które w zupełności do was należą. Wiecie chyba, że my prefektami nie jesteśmy.

— I jeszcze groziliście nam laniem! — wtrącił Beetle, łącz swobodnie na widok zmieszania przeciwników.

— Lecz jeżeli sobie wyobrażacie, że w ten sposób dojdziecie z nami do ładu, to się grubo mylicie. Basta! Dobranoc!

Poskoczyli na górę, z urażoną godnością w każdym calu swych grzbietów.

— Ale... ale... cośmy im, do choroby ciężkiej, zrobili? — spytał osłupiały Harrison Craye'a.

— Nie mam pojęcia! Ale to się zawsze tak kończy, gdy ich to zaczepia. To morowcy<sup>62</sup>!

A Mr. Prout znowu zawezwał do swej pracowni pocziwych chłopaków i zdołał po wielu usiłowaniach pogrzyźć ich niewinne dusze, a zarazem i swoją w odmętach dziesięć razy większego zamieszania. Mówił o krokach i środkach, o tonie i lojalności w klasie i wobec klasy i zażądał od nich, aby się z odpowiednim taktem wzięli do rzeczy.

Wobec tego prefekci zwrócili się do Beetle'a z pytaniem, czy on nie działał w porozumieniu z jakąś inną osobą. Beetle pośpieszył natychmiast do swego dyrektora<sup>63</sup>, prosząc o wyjaśnienie, jakim prawem Harrison i Craye rozpoczynają znowu śledztwo w sprawie już załatwionej między nim a dyrektorem jego klasy. Nikt lepiej od Beetle'a nie udawał obrażonej niewinności.

A wtedy Proutowi przyszło na myśl, że może przecie był niesprawiedliwy wobec winowajcy, który nie próbował ani wypierać się, ani ukryć swej winy. Wezwawszy Harrisona i Craye'a, wytknął im bardzo łagodnie ton, jakiego użyli wobec żalującego grzesznika, tak że prefekci wrócili do swej pracowni zrozpaczeni. A potem na łeb na szyję rzucili się w otchłań śledztwa, które rozciągnęli na cały dom, doprowadzając mikrusów do histerycznego płaczu i odgrzebując w rezultacie z niesłychaną pompą i paradą przeważającą wśród małych chłopców naturalny i nieunikniony system małych pożyczek.

— Widzisz, Harrison, Thornton młodszy pożyczył mi zeszłej soboty szóstkę, bo miałem zapłacić karę za rozbicie szyby, i ja tę szóstkę przejadłem u Keyte'a. Nie wiedziałem, że to nie wolno. A Craye starszy pożyczył dwie szóstki ode mnie, kiedy mi wuj przysłał pięć fajgli przez Keyte'a, ale on z pewnością odda przed świętami. Myśmy nie myśleli, że to co złego.

Prefektom całe godziny mijały na tych drobiazgach, mimo wszystko jednak nie mogli odkryć ani lichwy, ani niczego, co świadczyłoby o niesłychanych procentach Beetle'a. Starsi — zgodnie z tradycjami szkolnymi, które poza zakresem gier i sportu nie wymagały żadnego posłuszeństwa dla prefektów — mówili im po prostu, aby się nie wtrącali do nie swoich spraw. Nikt za żadną cenę nie chciał nic powiedzieć. Harrison jest jednym idiotą, a Craye drugim; ale największym idiotą był, ich zdaniem, gospodarz klasy.

Jak tylko się rzuci zarzewie jakiegoś zamieszania w klasę — bez względu na to, czy ona ma sumienie czyste czy nie — natychmiast rozpada się na grupy, stronnictwa, urządziła małe zgromadzenia o zmroku, organizuje komitety po komórkach i latające mityngi na korytarzach. A jeśli jeszcze wówczas trzech złośliwych chłopców skrada się od jednej grupy do drugiej z tajemniczymi minami, wołając *cave!*, gdy nie ma żadnego powodu do ostrożności, lub też szepcząc: „Nie mówcie nikomu” i opowiadając improwizowane naprędce fantastyczne historie, całą klasę zaczyna ogarniać nastrój konspiracji i intryg.

Po kilku dniach Prout zauważył, że żyje w atmosferze bezustannej zasadzki. Ze wszystkich stron otaczały go tajemniczo-ostrzegawcze okrzyki, wyprzedzały jego ciężki krok, gdy przechodził, za plecami jego mruczano hasła mające oznaczać, iż niebezpieczeństwo już minęło. M<sup>r</sup>Turk i Stalky skomponowali mnóstwo niedorzecznych i pustych frazesów, słów, które ogarniały klasę, jak ogień słomę. Jedynym realnym wynikiem komisji przeciw lichwie był rozkoszny żart. Chłopak mówił do swego kolegi z nadzwyczaj poważną

<sup>62</sup>morowcy (daw. pot.) — tu: ludzie honorowi, których nie można bezkarnie obrażać. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>dyrektor — tu: wychowawca klasy. [przypis edytorski]

miną: „Jak sądzisz, czy u nas jest tego dużo?”, na co kolega odpowiadał: „Nie można być dość ostrożnym!”. Łatwo sobie wyobrazić, jak to działało na sumiennego, ludzkiego i jak najlepszej woli gospodarza klasy. Z drugiej strony, człowiekowi, który faktycznie starał się pozyskać szacunek wszystkich swych podwładnych, nie może być nadzwyczaj przyjemnie, gdy słyszy — choćby z daleka — jak smagły, czarnowłosy Celt o wartkim języku opisuje go jako „Popularnego Prouta”. Takiego człowieka, oczywiście, musi zaniepokoić pogłoska, iż chłopak niecieszący się jego zaufaniem opowiada o zmroku jakiegoś dziwnego, niesłychanego historii, i nawet wyrafinowana a subtelna uprzejmość — uprzejmość, z jaką wyrozumieli dorośli traktują lęklive dzieci, a jakiej Stalky używał wobec Prouta — nie mogła przywrócić mu spokoju umysłu.

— Mam wrażenie, jak gdyby ton klasy zmienił się — zmienił się na gorsze — zwrócił Prout uwagę Harrisonowi i Craye’owi. — Nie zauważyliście tego? Ja bynajmniej nie imputuję<sup>64</sup>...

On nigdy w ogóle niczego nie imputował, z drugiej strony jednak nic innego nie robił i ożywiony zresztą jak najlepszymi zamiarami doprowadził prefektów swego domu do takiego zdenerwowania, do jakiego tylko można zdrowych chłopców doprowadzić. Co gorsza, zaczęli chwilami przemyślać nad tym, czy jednak Stalky nie ma racji, nazywając Prouta *smutnym ostem*.

— Wiecie dobrze, że nie należą do ludzi, wyskakujących ze skóry z lada powodu. *Ja* wierzę, że klasa sama własnymi siłami dojdzie do równowagi — oczywiście, wspomagana dłonią lekko trzymającą cugle — zdaje mi się jednak, jak gdyby dawało się odczuć pewne rozluźnienie — niższy ton w sprawach dotyczących honoru klasy, coś w rodzaju pewnej zatwardziałości.

Och, Prout to wielki pan, wielki pan, wielki pan,  
Kopytko wielki pan —  
Ma z tej przyczyny dużo do roboty —  
Bo jego popularność,  
Bo jego popularność,  
Bo jego po — pu — larność  
Zależy od tej cnoty.

Drzwi pracowni były otwarte i z klasy słabo dolatywał śpiew nucony przez dwadzieścia czystych głosów. Mikrusom podobał się refren; słowa były Beetle’a.

— Rozumny człowiek nie może mieć, oczywiście, nic przeciw temu — rzekł Prout z zakłopotanym uśmiechem — ale... po lecącej plewie poznać, skąd wiatr wieje. Czy możecie przypisać to jakiemuś bezpośredniemu wpływowi? Mówię do was w tej chwili jako do przewodników całej klasy.

— Dla mnie to nie ulega żadnej wątpliwości! — wybuchnął Harrison. — Domyślam się, co pan przez to rozumie, panie profesorze! Wszystko zaczęło się od chwili, kiedy Nr 5 przeniesiono do wspólnej sali. Co mrugasz, Craye! Ty sam wiesz to równie dobrze jak ja.

— Faktycznie, czasem zalewają nam sadła za skórę — odezwał się Craye. — Harrison ma, oczywiście, na myśli głównie ich sposób zachowania się.

— Czyżby wam przeszkadzali w wykonywaniu obowiązków?

— Prawdę mówiąc — nie, proszę pana profesora. Oni się tylko przyglądają, uśmiechają i na każdym kroku kpią sobie z nas.

— Więc to tak? — rzekł Prout z współczuciem.

— Mnie się zdaje, panie profesorze — mówił Craye, śmiało przystępując do rzeczy — że byłoby znacznie lepiej odesłać ich do ich pracowni — znacznie lepiej dla klasy. Za starzy są, żeby się włóczyli po wspólnych salach.

— Są przecież młodszy niż Orrin, Flint i tuzin innych, o ile sobie przypominam.

— Zapewne, proszę pana profesora, ale to nie to samo. Oni wywierają pewien wpływ. Mają dar przewracania wszystkiego do góry nogami w taki sposób, że im ani słowa za to powiedzieć nie można. Przynajmniej, jeśli się chce...

<sup>64</sup>imputować — sugerować, wmawiać. [przypis edytorski]

— Więc wy myślicie, że byłoby lepiej odesłać ich z powrotem do pracowni?

Tak Harrison, jak Craye podtrzymywali ten wniosek z zapalem. Jak to później tłumaczył Harrison Craye'owi:

— Podkopywali naszą powagę. Za starzy są, żeby im można dać w skórę. W tej głupiej historii z lichwą wykiwali nas na wariatów i cała szkoła dziś się z nas śmieje. Ja i tak na przyszy kurs już idę do szkoły wojskowej w Sandhurst. Połowa czasu, który mi zostawał na naukę, przepadła mi wskutek ich... ich kawałów. Jak się wyniosą do swej pracowni, będziemy mieli trochę spokoju.

— *Servus*<sup>65</sup>, Harrison! — wyskoczył nagle zza rogu M<sup>r</sup>Turk, gotów zawsze korzystać z każdej sposobności. — Trzymasz się ciepło? To byczo. Tylko się nie poddawać! Tylko się nie poddawać!

— Czego chcesz?

— Masz trochę zmartwioną minę! — mówił M<sup>r</sup>Turk. — Pewnie zawiadywanie honorem klasy to rzecz bardzo wyczerpująca. Dużo wysypaliście już zbrodniarzy?

— Słuchaj! — odezwał się Harrison, licząc na natychmiastową wdzięczność. — Doradziliśmy Proutowi, aby was odesłał z powrotem do pracowni.

— A żeby was szlag trafił! Jakim prawem stajecie między nami a naszym gospodarzem klasy? Jak Boga mego, wy dwaj dajecie nam szkołę — ale tak, nie ma co gadać! Nie wiemy, do jakiego stopnia nadużyliście swego stanowiska, aby uprzedzić do nas Mr. Prouta, ale jeżeli rozmyślnie zatrzymujecie mnie, żeby mi powiedzieć, że poza naszymi plecami — w tajemnicy — układacie się z Proutem — doprawdy... doprawdy... nie wiem już, co mamy zrobić.

— To już ostatnia niegodziwość! — zawołał Craye.

— Ale! — M<sup>r</sup>Turk zrobił nadzwyczaj poważną minę, która znakomicie licowała z jego smagłą, chudą twarzą. — Dajcie się wypchać! Ja myślałem zawsze, że co innego prefekt, a co innego belfer — ale u *was* to, zdaje się, wszystko jedno. Wy polecacie to, polecacie tamto, wy mówicie, dlaczego i kiedy my mamy wracać do swej pracowni...

— Ależ, Turkey, my myśleliśmy, że tego chcecie, jak Boga kocham. Myśmy myśleli, że wam tam będzie znacznie wygodniej.

Głos Harrisona był nabrzmiały łzami.

M<sup>r</sup>Turk odwrócił się, aby ukryć wzruszenie.

— Rozbici w puch! — opowiadał, złapawszy Stalky'ego i Beetle'a w jakiejś komórce. — Mają tego po szyję! Prosimi Kopyciarza, żeby nas odesłał do sali Nr 5. Aż mi się ich żal zrobiło! Biedacy!

— Gałązka oliwna! — tłumaczył Stalky. — Nie ma co gadać, to biała flaga. Chodźmy naradzić się nad tym, przefasonowaliśmy ich trochę.

Jeszcze tego samego dnia, zaraz po herbacie, Mr. Prout zawołał ich do siebie i oświadczył im, że o ile cel ich stanowi zupełne zwichnięcie sobie karier przez zaniedbanie studium<sup>66</sup>, jest to ich własną rzeczą. Chciałby jednak bardzo, aby zrozumieli, że ich obecność we wspólnej klasie nie może być już ani godziny dłużej tolerowana. On osobiście daruje im czas, jaki teraz będzie musiał obrócić na zacieranie śladów ich złych wpływów. Do jakiego stopnia Beetle nadużył złych skłonności młodocianej wyobraźni, zostanie ustalone później i Beetle może być pewny, że jeśli Mr. Prout wpadnie na ślad jakichś następstw zepsucia duchowego...

— Następstw czego, prosz pampсора? — spytał Beetle szczerze zdziwiony tym razem, podczas gdy równocześnie M<sup>r</sup>Turk nieznacznie kopnął go w kostkę nogi za to, że „dał się porwać” Proutowi.

— Beetle — mówił dalej gospodarz domu — wie bardzo dobrze, co należy przez to rozumieć. Tak jak on — Mr. Prout — mógł rzeczy obserwować, kariery ich są krótkie i oplakane, wobec czego, znajdując się *loco parentis* w stosunku do ich nietkniętych jeszcze tą zarazą kolegów, obowiązany jest do przedsięwzięcia pewnych środków ostrożności.

Orację zakończyło zwrócenie klucza do pracowni.

— Ale co mogła znaczyć historia z nadużyciem złych skłonności młodocianej wyobraźni? — niepokoił się Beetle na schodach.

<sup>65</sup>*servus* (łac.: służa) — tu daw. pot.: cześć, witam (skrót od daw. zwrotu grzecznościowego: „jestem pańskim uniżonym służą”). [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*studium* — tu: studiów, nauki. [przypis edytorski]

— Nie przypuszczałem nigdy, że będziesz osłem do tego stopnia, aby się chcieć usprawiedliwiać — mówił M<sup>r</sup>Turk. — Zdaje mi się, że fajno obdrapałem ci kostkę ze skóry. Czemu idziesz z lada idiotą w tany?

— Daj się wypchać tanami! Rozumiesz, musiałem mu czymś dogodzić, a nie wiem czym — i to mnie boli! Gdybym wiedział, wspaniałym mu jeszcze więcej — ale teraz już za późno. To ci dopiero szkoda! Nadużycie złych skłonności. Co on przez to rozumiał?

— Nic sobie z tego nie rób! Ja wiem tyle tylko, że przecie potrafiliśmy zupełnie uszczęśliwić jedną małą klasę. Przepowiadałem to — przypominacie sobie — ale, Boga mego, nie przypuszczałem, że nam się to tak prędko uda.

— Nie! — mówił Prout stanowczo we wspólnej sali nauczycielskiej. — Twierdzą w dalszym ciągu, iż Gillet jest w błędzie. Z drugiej strony prawdą też jest, że kazałem im wrócić do pracowni.

— Mimo swych znanych poglądów na odbijanie? — wykrzyknął mały Hartopp. — Co za niemoralny kompromis!

— Chwileczkę! — odezwał się wielebny John. — Ja — wy — my wszyscy przez blisko dziesięć dni zachowywaliśmy absolutne, rozdzierające serce milczenie. Ale teraz chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć. Niech pan powie otwarcie — czy miał pan choć jedną chwilę szczęśliwą od czasu, gdy...

— Jeśli idzie o moją klasę, to, faktycznie, nie miałem — odpowiedział Prout — mimo wszystko jednak utrzymuję, że pan zupełnie błędnie ocenia tych chłopców. Chcąc być sprawiedliwym wobec drugich — w samoobronie...

— Ha! Przepowiadałem, że na tym się skończy — mruknął wielebny John.

— ...byłem zmuszony wyprawić ich z powrotem do pracowni. Ich wpływ moralny był wprost nie do opisania — nie do opisania!

Powoli opowiedział całą historię, rozpoczynając od lichwiarstwa Beetle'a, a skończywszy na prośbie prefektów.

— Beetle w roli Shylocka jest dla mnie nowy! — wtrącił King. — Słyszałem wprawdzie niejasne pogłoski...

— Przedtem! — wykrzyknął Prout.

— Nie, później, kiedy już pan miał z nimi to zajście. Ale nie pytałem o nie nikogo. Jestem zasadniczo przeciwny mieszanemu się...

— Co się mnie tyczy — wtrącił mały Hartopp — to z całą przyjemnością dałbym mu pięć szylingów, gdyby mi potrafił bez trzech grubych błędów zrobić jedno zadanie z zakresu procentu składanego.

— Ależ... ależ... ależ... — Mason aż się zaciął z dzikiej radości — wyprowadzili pana w pole tak samo jak mnie!

— I pan kazałeś przeprowadzić śledztwo? — pytanie Hartoppa padło tak szybko po uwadze Masona, że Prout nie pochwycił jej sensu.

— Beetle sam dał mi do zrozumienia, że w klasie dużo pożyczano — bronił się Prout.

— On jest mistrzem w tego rodzaju insynuacjach! — rzucił kapelan. — Co się jednak tyczy honoru klasy...

— Poziom w przeciągu tygodnia obniżyli. A ja przez długie lata pracowałem nad jego podniesieniem. Moi własni prefekci klasowi — chłopcy niechętnie się wzajem oskarżają — błagali mnie, abym ich od nich uwolnił. Pan mówisz, że pan posiadasz ich zaufanie; być może, że oni panu całą sprawę w innym świetle przedstawia. Co się mnie tyczy — mogą sobie iść do wszystkich diabłów, jak się im podoba. Dojechali mi do żywego i mam ich już po uszy! — skończył Prout z goryczą.

Do diabła poszedł jednakże uśmiechnięty, jak zwykle, wielebny John. Przyszedł właśnie w chwili, gdy Nr 5, ukończywszy małą, ale smakowitą ucztę (kosztowała dwa szylingi i cztery szóstki), zasiadał do preparacji.

— Prosimy, Padre, prosimy! — wołał Stalky, podsuwając mu najwygodniejszy fotel. — Przez ostatnich dziesięć dni spotykaliśmy się tylko oficjalnie.

— Byliście pod pręgierzem! — tłumaczył wielebny John. — Ja nie odwiedzam zbrodniarzy!

— Rehabilitowano nas wreszcie — rzekł M<sup>r</sup>Turk. — Mr. Prout zmiękł.

— Nasza reputacja jest obecnie bez zmyy — odezwał się Beetle. — Był to przykry epizod, Padre, nadzwyczaj przykry.

— Ale teraz, *mes enfants*<sup>67</sup>, poświęćmy temu wszystkiemu trochę uwagi i zastanowienia. Zaszedłem do was dziś wieczór, właśnie aby pomówić z wami o waszej reputacji. Mówiąc waszym własnym językiem: co do diabła zmagachlowaliście w klasie Prouta? Nie ma się z czego śmiać! On twierdzi, że obniżyliście poziom domu do tego stopnia, iż musiał was odesłać do pracowni. Czy to prawda?

— Święta prawda, Padre!

— Tylko bez błażeństw, Turkey! Słuchajcie mnie. Ja sam niejednokrotnie wam powtarzałem, że w całej szkole nikt nie może mieć tak wielkiego — dodatniego czy ujemnego — wpływu na chłopców, jak wy. Wiecie także, że nie zawracam wam głowy etyką ani moralami, bo nie wierzę, aby takie szczeniaki ludzkie mogły się na tych rzeczach zrozumieć w tak młodym wieku. Ale mimo wszystko, bardzo by mi było przykro, gdybym się dowiedział, że wy psujecie młodszych od siebie. Beetle, nie przerywaj mi, pozwól mi skończyć. Mr. Prout ma wrażenie, że ty w jakiś sposób psujesz swych kolegów.

— Mr. Prout ma tyle wrażeń, Padre! — odpowiedział Beetle melancholijnie. — I cóż to znowu za wrażenie?

— Widzisz, mówił mi, żeś ty szarówką opowiadał chłopcom szeptem we wspólnej sali jakąś historię. Kiedy przypadkiem otworzył drzwi, słyszał, jak Orrin mówił: „Zamknij paszczkę, Beetle, to świństwo!”. Cóż na to powiesz?

— Czy ksiądz przypomina sobie *Obleżone miasto* panny Oliphant, tę książkę, którą mi ksiądz pożyczył zeszłego półrocza? — zapytał Beetle.

Padre dał znak głową, że tak.

— Cały pomysł powstał z tej książki. Tylko że ja zrobiłem z tego, zamiast miasta, liceum pogrążone we mgle — i obleżone przez umarłych chłopców, którzy za nogi wyciągają z łóżek swych kolegów w sypialniach. Wszystkie nazwiska były prawdziwe. Opowiada się to szeptem, rozumie ksiądz — z nazwiskami. Prawda, że Orrin tego poniekąd nie lubił. Nikt mi nigdy nie pozwolił skończyć. Pod koniec to się robi naprawdę straszne!

— Ależ dlaczego, na wszystko w świecie, nie wytłumaczyliście tego Mr. Proutowi, zamiast zostawiać go pod wrażeniem...

— Padre-sahib! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk. — Nie ma najmniejszego sensu tłumaczyć czegokolwiek Mr. Proutowi. On, jeśli nie ma jednego wrażenia, to ma drugie.

— I to z jak najlepszymi zamiarami. Jest przecie *in loco parentis* — wtrącił Stalky słodko.

— Ach, wy, młode diabły! — wykrzyknął wielebny John. — Z tego mogłoby również wyniknąć, że cała historia z lichwą jest również — tylko wrażeniem waszego gospodarza domu!

— Prawdę mówiąc, w tym wypadku tośmy mu trochę pomogli! — wyznał Stalky. — Byłem Beetle'owi winien dwa szylingi i cztery szóstki, to znaczy niby Beetle tak mówi, ale ja nigdy nie miałem zamiaru oddać mu tych pieniędzy. Rozpoczęliśmy o to na schodach kłótnię i... Mr. Prout przypadkiem wdepnął. Jak Boga kocham, Padre, tak było. Oczywiście, wypłacił mi zaraz gotówką jak hrabia (co mu nie przeszkodziło potrącić sobie to z mej miesięcznej pensji), a Beetle, jak należało, oddał mu mój weksel. Co się potem stało — ja nie wiem.

— Byłem zanadto prawdomówny! — zaczął się skarżyć Beetle. — I to największa moja słabość! Padre-sahib, on już był pod wrażeniem i teraz ja znów mam wrażenie, że mogłem na to jego wrażenie jakoś wpłynąć. Ale z drugiej strony — czy ja istotnie mogłem być zupełnie pewny, że w jego klasie lichwy nie ma? Pomyślałem sobie, że prefekci muszą o tym wiedzieć znacznie więcej niż ja. No, i powinni by. Oni stanowią przecie to błogosławione „palladium” szkół publicznych!

— Toteż zrobili wszystko, co było w ich siłach — odezwał się M<sup>r</sup>Turk. — Doprawdy, Padre, niepodobna znaleźć dwu tak sumiennych, uczciwych, szczerych i serdecznych chłopców jak oni. Cały dom przewrócili do góry nogami — Harrison i Craye — wszystko z najlepszych w świecie powodów.

— Mówili tak:

Mniejsza z tym, czy kto słucha.

<sup>67</sup>*mes enfants* (fr.) — moje dzieci. [przypis edytorski]

My wrzeszczmy mu do ucha!

— scharakteryzował ich Stalky.

— Wiecie co? Gdyby szło o moje osobiste wrażenie, to powiedziałbym, że wszyscy trzej zasługujecie na stryczek! — powiedział wielebny John.

— Jak to? *My* przecie nie zrobiliśmy nic a nic złego! — odpowiedział M<sup>r</sup>Turk. — To wszystko zrobił Mr. Prout. Czy ksiądz czytał kiedy książkę o japońskich atletach? Mój wuj — oficer marynarki — dał mi ją...

— Tylko bez wykretów, M<sup>r</sup>Turkey!

— Ani mi się śni, proszę księdza! Ja chciałbym księdzu dać tylko przykład, jak to robią kaznodzieje. Te draby-zapaśniki mają taki „trick”, że swemu przeciwnikowi pozwalają robić, co mu się tylko podoba. A potem trącają go tylko z lekka i chłop sam leci na ziemię. Nazywa się to *shibbuwichee*, *tokonama* czy coś takiego. Mr. Prout dał się wziąć tym *shibbuwichee*. To nie nasza wina.

— Więc ksiądz wyobrażał sobie, że my z niesłychaną zawziętością psuliśmy dusze mikrusów? — pytał Beetle. — Przede wszystkim mikrusy duszy nie mają, ale nawet gdyby ją miały, to już od dawna byłaby zepsuta.

— Dalibóg, zdawało się, że znam nieprawość wasze w całej ich rozciągłości, skoro jednak sami zadajecie sobie tyle trudu w gromadzeniu wszelkich pozorów przeciw sobie samym, nie możecie nikomu brać za złe...

— Nikomu za złe nic nie bierzemy, Padre. Czy odezwaliśmy się choćby jednym słowem przeciw Mr. Proutowi? — Stalky spojrzął po swych towarzyszach. — My go kochamy. I on nie ma nawet wyobrażenia, jak bardzo go kochamy.

— Hm. W każdym razie znakomicie ukrywacie się z tą miłością. A czyście się też zastanawiali nad tym, kto przede wszystkim wyrzucił was z waszej pracowni?

— Wyrzucił nas Mr. Prout — odpowiedział Stalky znacząco.

— Otóż właśnie ja, a nie Mr. Prout. Ja bynajmniej nie chciałem, obawiam się jednak, że wskutek pewnego mego odezwania Mr. Prout mógł mieć wrażenie...

Nr 5 wybuchnął głośnym śmiechem.

— Znowu ta sama historia, Padre! — rzekł M<sup>r</sup>Turk. — W Mr. Proucie wrażenia powstają nadzwyczaj szybko. Ale z tego nie wynika, abyśmy go nie kochali, to nieprawda. W nim nie ma ani za grosz złości.

Ktoś zapukał dwa razy do drzwi.

— Pracownia Nr 5 ma się natychmiast udać do kancelarii pana rektora! — zabrzmiał głos Foxy'ego, sierżanta szkolnego.

— Oj! — wykrzyknął wielebny John. — Obawiam się, że ktoś tu beknie, co się zowie!

— Jak Boga kocham, Prout pofągasował staremu! — oburzył się Stalky. — To już dwulicowość z jego strony. Wcale to niepięknie wciągać starego w wewnętrzne spory klasowe.

— Radziłbym umieścić książki... hm... na pewnej części ciała — rzekł wielebny John obojętnym tonem.

— Nie warto! Stary bije po plecach, a to by był hałas okropny — odpowiedział Beetle. — Dobranoc, Padre. Nasz rachunek jest wyrównany.

I znowu stali przed rektorem — Belial, Mammon i Lucyfer. Ale teraz mieli do czynienia z kimś znacznie sprytniejszym od siebie. Mr. Prout przez pół godziny skarżył się, mówiąc rozwlekle i z żalem, a rektor pojął od razu wszystko, czego nie mógł zrozumieć nauczyciel.

— Dokuczyliscie do żywego Mr. Proutowi — mówił jakby z namysłem. — Gospodarze klas nie są tu po to, aby im chłopcy dokuczali więcej niż trzeba. Ja również nie lubię, jak chłopcy dają mi się we znaki bardziej niż trzeba. Nie lubię, jak się mi dokuczają takimi historiami. Wy dokuczyliscie mnie — a to bardzo ciężka wina. Rozumiecie?

— Tak jest, proszę pana rektora.

— Wobec tego ja spróbuję teraz dokuczyć wam i to tak z motywów urzędowych, jak i osobistych, ponieważ zabieracie mi czas. Za starzy jesteście, aby wam wymierzać chłostę, wobec tego trzeba poszukać innego sposobu. Powiedzmy, po tysiąc wierszy na

Kara, Przemoc

głowę, tydzień aresztu domowego i parę rozrywek tego rodzaju. Na chłostę jesteście już za starzy!

— Bynajmniej, proszę pana rektora! — zaprzeczył Stalky z zapalem, jako że tydzień aresztu domowego w lecie to ciężka kara.

— Bardzo dobrze. Zatem postaramy się zrobić, co tylko jest w naszej mocy. Pragnąłbym bardzo, żebyście mi już więcej nie dokuczali.

Były to uderzenia pełne, wytrzymałe, równe, może trochę za powolne. Za niesprawiedliwość uważali chłopcy tylko to, że rektor gawędzi podczas egzekucji.

— Gdybyście — należeli do niższej sfery to — być może — zaraziłoby mnie — na proces dyscyplinarny. Wy — nie zdajecie sobie nawet dobrze sprawy — ze swych przywilejów. Istnieje pewna granica — teraz Beetle — poza którą niebezpiecznie mścić się na własną rękę, bo — nie ruszaj się — prędzej czy później popada się — w konflikt — z władzą wyższą, która wie dobrze — z kim ma do czynienia. *Et ego* — proszę M<sup>r</sup>Turk — *in Arcadia vixi*<sup>68</sup>. W moim postępowaniu — z wami — jest pewna krzycząca niesprawiedliwość — która powinna przemówić — do — waszych — temperamentów. Koniec. Zameldujcie swemu gospodarzowi klasy, że zostaliście wychłostani przeze mnie.

— Słowo daję! — mówił M<sup>r</sup>Turk, rozcierając sobie łopatki przez cały czas, jak szli korytarzem. — Ale nam dał dziś szkołę. Ten Prusak Bates ma piekielny cel w oku.

— Czy ja nie głupio zrobiłem — pytał Stalky — że poprosiłem o lanie zamiast kozy?

— Co gadasz! Ja od razu wiedziałem, czym się to skończy. Z oczu staremu to było widać! — rzekł Beetle. — Słowo daję, jeszcze chwila, a byłbym się rozbeczał.

— Mnie też do śmiechu nie było — przyznał się Stalky.

— Zejdźmy na dół do umywalni i zobaczymy, jak to wygląda. Jeden może trzymać lustro, a inni będą się oglądali.

Zajął im to jakieś dziesięć minut. Pręgi, bardzo czerwone i bardzo równe, ani na włos nie różniły się między sobą tak co do pełni i regularności, jak też czystości rysunku cechującej zawsze pracę prawdziwego artysty.

— Co tam robicie na dole?

Mr. Prout, zwabiony pluskiem wody, stał na schodach wiodących do umywalni.

— To tylko pan rektor wychłostał nas, prosz pampsora, i my się obmywamy z krwi. Pan rektor kazał nam zameldować się u pampsora. Właśnie chcieliśmy iść do pracowni pampsora. (*Sotto voce*<sup>69</sup>). Nareszcie i Kopytko ma jeden punkt wygrany.

— A niech się i on ucieszy, biedaczysko! — mówił M<sup>r</sup>Turk, wkładając koszulę. — Wypocił dzięki nam z pewnością ze dwadzieścia funtów przez ten czas.

— Ale słuchajcie, dlaczego my nie mamy urazy do starego? On sam powiedział, że to krzycząca niesprawiedliwość — i ma rację! — zawołał Beetle.

— Zaczny chłop! — bąknął M<sup>r</sup>Turk za całą odpowiedź.

A Stalky roześmiał się naraz tak serdecznie, że aż się musiał chwycić za krawędź umywalni.

— Czego ryczysz, osłe jakiś? — zawołał Beetle.

— Przyszła mi właśnie na myśl ta krzycząca niesprawiedliwość!

## REFORMATORZY MORALNOŚCI

Kłęska była niewątpliwa. Jednakże, mimo iż zwycięstwo odniósł Prout, Stalky i Spółka nie mieli do niego urazy. Prawda, że jego zwrócenie się do rektora nie zgadzało się z prawidłami gry, ale chłopcy darowali mu to, poprzestając na własnych zdobyczach.

Wielebny John skorzystał z najbliższej sposobności, aby sprawę omówić. Członkowie ciała nauczycielskiego, składającego się z samych kawalerów, w liceum, w którym pracownie nauczycieli są rozmyślnie rozrzucone wśród klas, sal wspólnych i pracowni uczniów, mogą, jeśli chcą, często odwiedzać swych wychowanków. Nr 5 z właściwą sobie ostrożnością przez kilka lat doświadczał wielebnego Johna. Był to prawdziwy *gentleman*. Nigdy nie wszedł do pracowni bez pukania; zachowywał się jak gość, a nie jak zabłąkany

<sup>68</sup>*Et ego in Arcadia vixi* (łac.) — a ja żyłem w Arkadii (tj. bez troski). [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*sotto voce* (łac.) — podniesionym głosem. [przypis edytorski]



liktor<sup>70</sup>; nigdy nie dawał nauk i nigdy z tego, co usłyszał podczas prywatnej pogawędki, nie korzystał w życiu urzędowym. Prout był zawsze nieznośny — King przychodził tylko, aby wyrzucić krwawą zemstę, nawet mały Hartopp, gawędząc o historii naturalnej, nie zapominał nigdy, że jest profesorem. Tylko wielbny John był w Nr. 5 gościem zawsze mile widzianym i upragnionym.

Spójrzmy tedy na niego, jak siedzi w ich jedynym fotelu z fajczką z giętego głogu w zębach, z potrójnym podbródkiem w swym księżym kołnierzu, sapiąc jak dobroduszny wieloryb, podczas gdy Nr 5 rozprawia o życiu, tak jak mu się ono przedstawia, a szczególnie o ostatniej wizycie u rektora — w sprawie lichwy.

— Chłosta raz na tydzień zrobiłaby wam znakomicie! — mówił wielbny John mrugając na chłopców i trzęsąc się ze śmiechu. — A jak to sami mówicie, słuszność, mimo wszystko, była po waszej stronie.

— Z całą pewnością, Padre. Moglibyśmy tego dowieść, gdyby nam pozwolił mówić — rzekł Stalky — ale on o nic nie pytał. Rektor jest chytry!

— Zna was doskonale! Ha! Ha! Samiście się o to usilnie starali.

— Ale on jest też okrutnie sprawiedliwy! — wtrącił Beetle. — Nie należy do tych, co to rano dadzą w skórę, a po południu wspanię jeszcze kazanie.

— Gdzieżby on mógł! I przy tym, Bogu dzięki, on nie jest duchownym! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk.

Nr 5 bardzo krytycznie zapatrywał się na duchownych na stanowiskach kierowników szkół i zawsze gotów był do dyskusji na ten temat.

— W innych naszych szkołach kierownikami są przeważnie duchowni! — zauważył wielbny John łagodnie.

— To źle wpływa na chłopców — odpowiedział Stalky. — Robi ich zgryźliwymi i kłótliwymi. Co innego Padre! Ksiądz tak się już zrózł z naszą szkołą, jak i my. Ksiądz do naszej szkoły należy. Ale ja myślę o zwykłych duchownych.

— Jestem najzwyklejszym duchownym w świecie; a Mr. Hartopp też.

— Tak, ale on został księdzem, kiedy już był w liceum. Widzieliśmy go, jak jechał na egzamin. To nie szkodzi! — rzekł Beetle. — Ale proszę tylko pomyśleć, co by się stało, gdyby taki rektor został naraz księdzem.

— I cóż by się stało, Beetle?

— O, liceum rozleciałoby się w ciągu roku z całą pewnością!

— Skąd wiecie? — uśmiechnął się wielbny John.

— Jesteśmy tu już prawie sześć lat i mało jest rzeczy odnoszących się do liceum, których byśmy nie znali — odezwał się Stalky. — Mój Boże, przecie nawet ksiądz przyszedł tu o jeden kurs później niż ja. Pamiętam, jak ksiądz na pierwszej godzinie pytał nas, jak się który nazywa. Pod tym względem, to starszymi od nas są tu tylko Mr. King, Mr. Prout i, oczywiście, rektor.

— Tak, tak, niemało zmian zaszło w naszej sali nauczycielskiej.

— Och! — roześmiał się Beetle. — Przychodzili tu, a potem odchodzili, żeby się ożenić! I chwała Bogu.

— Czyżby nasz kochany Beetle nie był zwolennikiem małżeństwa?

— Nie, Padre; proszę sobie nie żartować ze mnie! Spotykałem podczas świąt chłopców, którzy mieli żonatych gospodarzy klas. To po prostu okropne! Niemowlęta, ząbkowanie, wietrzna ospa — wszystko jest w liceum. Żony nauczycieli urządzają herbatki — herbatki, Padre! — i zapraszają chłopców na śniadania.

— To by jeszcze nie było tak straszne! — wtrącił Stalky. — Ale żonaci nauczyciele nie zajmują się swymi klasami, lecz wszystko zwalają na prefektów. Jeden kolega opowiadał mi, że w jego szkole dom oddzielony był od mieszkania gospodarza wielkimi drzwiami, obitymi materacem i korytarzem prawie na miłą długim. Rozumie się, że chłopcy mogli robić, co się im podobało.

— Proszę, szatan potępiający grzech!

<sup>70</sup>liktor — w starożytnym Rzymie niższy funkcjonariusz, członek ochrony urzędnika państwowego; liktor nosił pęk różeg i topór i brał udział w wykonywaniu wyroków. [przypis edytorski]

— Och, zabawić można się tam przepysznie, ale ksiądz wie, co ja myślę. Po pewnym czasie zaczyna się robić coraz gorzej i gorzej, a potem nagle robi się awantura, skandal w gazetach i cała masa chłopców na łeb wylatuje z liceum.

— I naturalnie zawsze ci, którzy nic nie zawinili! — wtrącił M<sup>r</sup>Turk, trzymając w ręku kociołek. — Może filiżankę kakao, Padre?

— Nie, dziękuję, ja pałę. Zawsze ci, którzy nic nie zawinili? Mów dalej, Stalky!

— A wtedy — Stalky zaczął się rozgrzewać — wszyscy mówią: „Któż by był przypuścił coś podobnego! Obrzydliwi smarkacze! Wstrętnei malcy!”. A ja bym przysiągł, że powodem wszystkiego są żonaci nauczyciele.

— Daniel przed swymi sędziami<sup>71</sup>!

— A jednak tak jest! — przerwał M<sup>r</sup>Turk. — Podczas wakacji spotykałem chłopców, którzy mówili to samo. Wygląda to na pierwszy rzut oka bardzo pięknie — ładny, oddzielny dom z ładną damą, która się tym domem zajmuje. Ale to tylko tak wygląda, a w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Gospodarza domu odciąga to od roboty, prefekci robią się skutkiem tego zbyt wielkimi panami — i... i... wszystko idzie do diabła. Padre, nasza szkoła, to nie taka szkoła, jak inne. My przyjmujemy repitentów<sup>72</sup> i wypędków z londyńskich szkół, a zarazem takich grzecznych, dobrze wychowanych chłopczyków, jak Stalky. Jesteśmy do tego zmuszeni, żeby sobie wyrobić markę, a równocześnie wiadomo o nas, że zawsze, czy to główną bramą czy tylnym wejściem, potrafiemy ich przemycić do Sandhurst, czy nie?

— Święta prawda, Turk! Mówi, jak z książki!

— Dlatego też my potrzebujemy zupełnie innych nauczycieli niż inne szkoły. Nasza szkoła jest zupełnie innego rodzaju.

— A jak mi jeden kolega mówił — wtrącił Beetle — ich system prowadzi też do wszelkiego rodzaju sekatur.

— O tak! — westchnął wielebny John. — Przy was nawet niezony nauczyciel nie ma ani chwili spokoju, pod tym względem z wami się zgadzam.

Tu spojrział krytycznie na swych gospodarzy.

— Ale czy wam się nie zdaje, że ludzie — nauczyciele — zanadto siedzą wam wciąż na karku?

— O nie — w lecie absolutnie nie! Wzrok Stalky'ego zwrócił się z miłością ku oknu.

— Granice nasze są szeroko zakreślone i pozostawiają nam dużo swobody.

— Ale, na przykład, ja tu siedzę w waszej pracowni i z pewnością niemało was krępuję, prawda?

— Cóż znowu, Padre! Proszę siadać! Niechże ksiądz nie odchodzi! My naprawdę bardzo się cieszymy, ile razy ksiądz do nas zajrzy!

Szczerść tych głosów była niewątpliwa. Wielebny John zacerwienił się z zadowolenia i znowu nabił swą fajeczkę.

— A my przeważnie zupełnie dokładnie wiemy, gdzie się panowie profesorowie znajdują! — zawołał Beetle triumfująco. — Na przykład: czy ksiądz wczoraj po dziesiątej nie był w naszych dolnych sypialniach?

— Byłem na fajeczce u waszego gospodarza domu. Nie, nie, nie, żadnych *wrażeń* nie wywoływałem. A potem dla skrócenia sobie drogi przeszedłem przez wasze sypialnie.

— A ja to od razu zgadłem — rzekł Beetle, potrząsając głową. — Rano uczułem zapach tytoniu. Księdza tytoń jest znacznie mocniejszy niż Mr. Prouta, ja wiem dobrze!

— Mój Ty Boże! — rzekł z pewnym roztargnieniem wielebny John.

Dopiero w kilka lat później Beetle zrozumiał, że okrzyk ten oznaczał podziw raczej dla jego naiwności niż zmysłu spostrzegawczego. Nauczyciele, odwiedzając się wzajemnie, przechodzili o wszystkich godzinach nocy przez długie, jasne sypialnie, bez rolet i na przestrzał otwarte. Istotnie, kawalerowie kładą się znacznie później spać niż ludzie żonaci. Beetle nie przypuszczał nawet, że to bezustanne krążenie po sypialniach miało swój powód.

Obyczaje

<sup>71</sup>Daniel przed swymi sędziami — aluzja do biblijnej opowieści o proroku Danielu, skazanym przez wrogów na pożarcie przez lwy. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>repitent — drugoroczny; uczeń, który nie zdał do następnej klasy. [przypis edytorski]

— Ale *à propos* sekatur<sup>73</sup> — zaczął znów wielebny John. — Musieliście się nacierpieć niemało jako mikrusy!

— Pewnie! Straszne były z nas zwierzaki — mówił Beetle, spoglądając pogodnie w otchłań dzielącą jego szesnasty rok życia od jedenastego. — Mój Boże, ale też wtenczas byli okrutni tyrani — Fairburn, „Gobby” Maunsell...

— Pamiętasz, jak Gobby przewał nas „Trzy ślepe myszy”, kazał nam włączyć na szafę i śpiewać tam, a sam bombardował nas kałamarzami? — rzekł Stalky. — To byli prawdziwi tyrani, jakby się kto pytał.

— Czegoś podobnego dziś już nie ma — zapewnił pogodnie M<sup>r</sup>Turk.

— Otóż co to, to się mylicie. Jak nas nie boli, jesteśmy zawsze przekonani, że wszystko jest w porządku. Sam nieraz zastanawiam się nad tym, czy sekowanie ustało już, czy nie.

— Mikrusy sekują się strasznie — oświadczył Beetle. — Ale uczniowie wyższych klas obkują się podobno do egzaminów. Nie ma czasu na sekaturę.

— Co się stało? Co Padre chce powiedzieć? — zawołał Stalky, wpatrując się badawczo w twarz kapelana.

— Ja mam wątpliwości!

A naraz wybuchnął:

— Na Boga, jak na trzech średnio inteligentnych młodych ludzi nie jesteście zbyt przenikliwymi obserwatorami. Zdaje mi się, że zanadto byliście zajęci obmyślaniami kawałów dla swego gospodarza klasy, byście mogli zauważyć, co się działo tuż pod waszym nosem, kiedyście zeszłego tygodnia siedzieli we wspólnej sali.

— Co takiego? Słowo honoru daję, ja nic nie zauważyłem!

— Radziłbym wam szerzej otwierać oczy. Kiedy mały chłopaczek beczy ciągle w kącie, chodzi w ubraniu podartym na strzępy, nie uczy się zupełnie i cieszy się opinią najbrudniejszej „wartu korytarzowej”, z pewnością musi być coś nie w porządku.

— To Clewer — mruknął M<sup>r</sup>Turk.

— Tak jest, Clewer. Uczę go francuskiego. To jego pierwszy kurs, a on już jest tak ogłupiały, jak ty byłeś kiedyś, Beetle. On z natury nie jest bardzo inteligentny, ale jak go tu zaczęto tłuc, stał się prawie skończonym matolkiem.

— Gdzież tam! — odpowiedział Beetle. — To się robi tylko minę matolkową, żeby uniknąć bicia. Już ja się na tym znam!

— A prawdę mówiąc, nigdy nie widziałem, żeby go ktokolwiek uderzył — mówił wielebny John.

— Przyzwoity dręczyciel nigdy tego nie robi publicznie — objaśnił Beetle. — Fairburn nigdy mnie nie tknął, jak ktoś na nas patrzył.

— Nie masz się co tak sadzić, Beetle! — wtrącił M<sup>r</sup>Turk. — Każdy z nas przez to przeszedł w swoim czasie.

— Tylko że ja znacznie ciężiej od was! Gdyby ksiądz potrzebował naukowej powagi w sprawie sekatury, proszę przyjść do mnie. Korkociągi — szcutki — klucze — śliwki — ser — kołysanie — wykręcanie ramion — ag-ag — i tak dalej!

— Dobrze. Ja właśnie potrzebuję twego autorytetu, a raczej autorytetu wszystkich trzech, aby takiemu znęcaniu się położyć kres.

— A od czegoż Abana i Farpar, Padre — Harrison i Craye? Przecież to ulubieńcy Mr. Prouta — rzekł nie bez pewnej goryczy M<sup>r</sup>Turk. — My nie jesteśmy nawet podprefektami!

— Myślałem o tym, z drugiej strony jednak, ponieważ takie sekowanie pochodzi tylko z bezmyślności...

— Nigdy w świecie, Padre! — zaprzeczył M<sup>r</sup>Turk. — Dręczyciele lubią dręczyć. Co obmyślą w szkole podczas nauki, to wykonują potem w swoim mieszkaniu.

— Mniejsza z tym. Gdyby sprawa dostała się w ręce prefektów, wybuchłaby nowa burza domowa. Jedną mieliście przecie niedawno. Nie śmiecie się. Posłuchajcie. Ja proszę was — mój własny Legion X — zróbcie z tym po cichu koniec. Chcę, żeby mały Clewer był znowu czysty i przyzwoity...

— Niech mnie szlag trafi, jeśli ja go umyję! — szepnęła Stalky.

<sup>73</sup>sekatura — tu: sekowanie, dokuczanie słabszym. [przypis edytorski]

— Żeby wyglądał jak człowiek. Co się tyczy tego drugiego chłopca, bez względu na to, kim by był, możecie użyć całego swego wpływu — oczy kapelana błysnęły przy tym zupełnie świeckim blaskiem — aby nakłonić go do zaprzestania sekatury, w sposób, w jaki wam się tylko spodoba. Oto wszystko. Zdaję to na was. *Bonsoir, mes enfants*<sup>74</sup>!

\*

— I cóż teraz poczniemy?

Chłopcy spoglądali po sobie.

— Mały Clewer dałby sobie rękę odciąć za jakiś spokojny ką. Ja się na tym znam! — odezwał się Beetle. — A gdybyśmy go wzięli na chłopca do posługi?

— Nie! — rzekł M<sup>r</sup>Turk stanowczo. — To mały, niechlujny bydlak, który by zaczął do wszystkiego pchać nos. Prócz tego — my nie będziemy się chyba bawić w jakichś głupkowatych Eryków. Czy chcesz może promenować<sup>75</sup> z nim, objąwszy go ręką za szyję?

— Mógłby czyścić nam słoiki z konfitur i ten przepalony rondel od kaszy — przecie ten rondel jest już obrzydliwy.

— To wszystko do niczego! — wykrzyknął Stalky, z trzaskiem kładąc nogi na stole. — Najlepiej będzie znaleźć przyjemniaczka, który go prześladowa, i uszczęśliwić go na nasz sposób. Że też nie zauważyliśmy go podczas pobytu we wspólnym domu.

— Kto wie, może przeciw Clewerowi spiknęła się cała banda mikrusów? Oni tak czasem robią.

— To byśmy musieli na ślepo skopać wszystkich mikrusów w naszym domu — trudna rada! Chodźmy!

— Nie zapalaj się! Spokojnie! Nie wolno się nam z niczym zdradzić! — mitygował go Stalky. — Ktokolwiek by to był, trzymaj się w ukryciu, inaczej zauważylibyśmy go z pewnością. Będziemy tak długo obchodzić dom i węszyć, dopóki nie nabierzemy zupełnej pewności.

Obeszli wszystkie wspólne sale domu, odwiedzając starszych i młodszych chłopców, na których mogłoby paść podejrzenie — za radą Beetle'a przetrząsnęli umywalnie, toalety, komórki, jednakże bez rezultatu. Wszyscy byli na swoich miejscach — jedynie Clewer jakby się zapadł pod ziemię.

— To dziwne! — odezwał się Stalky naraz, przystanąwszy pod drzwiami jednego gabinetu. — Ciekawe!

Przez drzwi słychać było stłumiony beczący, wysoki głos, zmieszany ze łzami:

Gdy pewnego poranka ładniutka Kasieńka

— Głośniej, kretynie jeden, bo dostaniesz książkę w łeb!

Z dzbanem mleka śpieszyła

— Campbell, proszę cię, nie bij!

do domu.

Słychać było, jak książka uderzyła o coś miękkiego, po czym rozległ się pisk.

— Nie myślałem, że to któryś z chłopców mających własną pracownię — rzekł Beetle. — Teraz rozumiem, dlaczegośmy go nie mogli znaleźć. Ale zadzierać z Seftonem i Campbellem, to rzecz ryzykowna. Prócz tego do ich pracowni nie można wejść tak bez pytania jak do wspólnej sali.

— Co za świni! — szeptał M<sup>r</sup>Turk, podsłuchując. — I co to za przyjemność! Zdaję się, Clewer ich obsługuje.

— Ale nie są prefektami. Przynajmniej jedno *bene* — podkreślił Stalky z wojowniczym uśmiechem. — Sefton i Campbell, hm, Campbell i Sefton. Któryś z nich dostał się do naszego liceum w drodze konkursu!

<sup>74</sup>*Bonsoir, mes enfants* (fr.) — dobranoc, moje dzieci. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*promenować* (z fr.) — przechadzać się, spacerować; obnosić się. [przypis edytorski]

Campbell i Sefton, to byli dwaj przedwcześnie wybudzeni, kudłaci młodzi ludzie, w wieku od siedemnastu do osiemnastu lat. Doprowadzeni do rozpaczy rodzice umieścili ich w tym liceum w nadziei, że po pół roku bezustannego kucia będzie ich można przemycić jakoś do Sandhurst. Nominalnie należeli do klasy Mr. Prouta, faktycznie jednak zajmował się nimi sam rektor. Ponieważ nigdy nie mianował prefektami nowo przybyłych uczniów, których nie znał dobrze, zarozumiałe wyrostki dąsały się na szkołę. Sefton był przez trzy miesiące w pewnym londyńskim pensjonacie korepetytorskim i, oczywiście, blagował niesłuchanie na temat swych przygód w stolicy. Campbell, który umiał się dobrze ubrać i był bardzo wyszczekany, naśladował go w wyniosłym sposobie traktowania swego otoczenia. W liceum byli dopiero na drugim kursie, a szkoła, przyzwyczajona do lekceważenia tego, co nazywano powszechnie *konkursowymi wybiórkami*, zachowywała wobec nich zabójczą rezerwę. Tylko ich faworyty<sup>76</sup> — Sefton posiadał nawet prawdziwą brzytwę — i ich wąsy wywierały głębokie wrażenie.

— Wejźmy po prostu i poradźmy im, żeby dali temu spokój! — zaproponował M<sup>r</sup>Turk. — Nie miałem z nimi nigdy do czynienia, ale głowę daję, że Campbell jest tchórz.

— O, nie! — zaprotestował Stalky, potrząsając głową. — To by była *oratio recta*, a moim zdaniem znacznie lepsza jest *oratio obliqua*. A przy tym — gdzież nasz wpływ na nich?

— Głupstwa! Więc cóż chcesz zrobić?

Beetle wszedł do wspólnej sali Nr 9, znajdującej się tuż obok pracowni Seftona i Campbella.

— Co ja chcę zrobić?

W oczach Stalky'ego zapaliły się wojownicze błyski.

— Ja chcę z nimi trochę pogadać. Siedźcie przez chwilę cicho.

Wsadził ręce do kieszeni i gwizdząc przez zęby, przyglądał się jakiś czas morzu. A potem nagle jedna noga zaczęła z lekka tupać w podłogę — później się podniósł. Stalky wykręcił się na pięcie i zaczął robić swoje *double pas*<sup>77</sup> — szybkie i urywane — zwykły taniec wojenny, towarzyszący stale układaniu planu bitwy. Trzy razy przebiegł tak przez pustą salę z zaciśniętymi ustami, rozdętymi nozdrzami i kiwając się rytmicznie. A potem naraz zatrzymał się przed milczącym Beetle'em i z lekka zastukał mu w czoło, tak że głowa Beetle'a za każdym razem się kiwnęła. M<sup>r</sup>Turk założył nogę na nogę, splótł ręce na kolanie i kiwał się z boku na bok. Słyszał było, jak Clewer wyje, jakby mu serce pękało.

— Beetle musi pójść na ofiarę! — rzekł Stalky wreszcie. — Bardzo mi przykro, Beetle. Przypomnij sobie Galtona *Sztukę podróżowania* (jedna z klas studiowała to zajmujące dzieło) i koźlę, którego bek podnieca tygrysa.

— A bodaj cię jasny piorun! — odpowiedział Beetle zaniepokojony. Nie pierwszy to raz się poświęcał. — Nie możesz się obejść beze mnie?

— Beetle, jak cię kocham, nie mogę. Ja i Turkey będziemy cię sekować. Rozumie się, im głośniej będziesz ryczał, tym lepiej. Turkey, idź, poszukaj gdzie palestry od palanta i sznura. Zwiążemy go tu na wabia — *à la Galton*. Pamiętaj, jak Molly Fairburn kazał nam robić walkę kogutów, związawszy nam nogi w kolanach i zdjąwszy trzewiki?

— Ale to wściekle bolało!

— Pewnie że bolało. Bardzo inteligentny z ciebie chłoptaş, Beetle. Turkey cię wytarza po całej klasie. Żebyś wiedział, żeśmy się strasznie pokłócili i że to ja kazałem ci to robić. Daj mi swoją chustkę do nosa!

Przysposobiono Beetle'a do walki kogutów; następnie, nie poprzestając na związaniu go w kij, związano mu jeszcze sznurem kolana. W tej pozycji za najmniejszym pchnięciem Stalky'ego padał na podłogę i tarzał się w kurzu.

— Turkey, rozczočaj mu włosy. Tak. A teraz daj się również związać. *Beczenie koźlęcia rozbewstwia tygrysa*. Obaj jesteście na mnie tak wściekli, że możecie tylko kłąć. Pamiętajcie o tym. Ja wam kijem pomogę. Beetle, musisz beczeć.

— Zaraz. Dajcie mi chwilę czasu, żebym się mógł zasmarować! — odpowiedział Beetle.

— Jazda! I pamiętajcie o beczeniu koźlęcia!

<sup>76</sup>faworyty — baki; elegancko strzyżony zarost na policzkach (przy wygolonym podbródku). [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*double pas* (fr.) — krok podwójny (w tańcu). [przypis edytorski]

— Dajcie mi spokój ścierwa jedne! Pozwólcie mi wstać! Chcecie, żebym kolana po-  
lamal? Co za dranie! Dajcie mi już spokój, jak Boga Kocham! To nie są żadne żarty!

Jęki Beelle'a były wprost arcydziełem, co się tyczy tonu.

— Wal go, Turkey! Kopniaka mu! Wytarzaj go dobrze! Z boku go! Nie bój się, Beetle,  
cholero głupia, Turkey, oddaj mu tego kopniaka!

— To bydlę nie płacze naprawdę. Beetle rozbecz się albo cię wkopię w kominek! —  
ryknął M<sup>r</sup>Turk.

Hałas był straszny. Jak się tego spodziewali, przynęta istotnie ściągnęła zwierzynę.

— Hola! Cóż to za zabawa!

Campbell i Sefton znaleźli Beetle'a przewróconego na bok na ziemi i wylewającego  
rzesiste łzy w popiół kominka, podczas gdy M<sup>r</sup>Turk kopał go zawzięcie.

— To tylko Beetle! — tłumaczył się Stalky. — Zdaje się, że się uderzył. Nie mogę  
zmusić Turka, żeby go jak należy atakował.

Sefton rozdał natychmiast po kopniaku między obu kombatantów. Twarz mu się  
rozjaśniła.

— Dobra, ja ci pomogę! Wstawac! Będziecie dalej prowadzili walkę kogutów czy nie?  
Daj mi kij, a polaskoczę ich trochę. Bycza zabawa! Campbell, chodź no tu! Rozerwiemy  
się!

M<sup>r</sup>Turk zwrócił się do Stalky'ego i obsypał go najohydniejszymi wyzwiskami.

— Stalky, obiecałeś także być kogutem! Chodź!

— Trzeba było takiego durnia jak ty, żeby mi uwierzyć! — krzyknął Stalky.

— Pokłóciliście się? — spytał Campbell.

— Także coś! — odpowiedział Stalky. — Po prostu, tresuję ich trochę. Seffy, znasz  
się na walce kogutów?

— Czy się znam? Ależ gdy byłem w budzie Maclagana w Londynie, urządzaliśmy  
walki kogutów w salonie i mały Maclagan nie śmiał nawet ani pisnąć. Prawda, tam trak-  
towano nas jak dorosłych. Czy się znam! Zobaczysz!

— Mogę wstać? — jęknął Beetle, któremu Stalky usiadł na plecach.

— Cicho bądź, gnojku jeden. Będziesz się bił z Seffym!

— On mnie zabije!

— Wciągnijmy go do pracowni! — zaproponował Campbell. — Tam będziemy mieli  
spokój i zupełną swobodę. Ja stanę naprzeciw M<sup>r</sup>Turka. Zawsze to lepsze niż mały Clewer.

— Dobra! — wykrzyknął z radością Sefton. — Zdejmiemy im trzewiki — tylko im,  
my nie.

Rzucono Beetle'a i M<sup>r</sup>Turka na podłogę. Stalky wtoczył ich za fotel.

— A teraz powiążę was, Seffy i Campbell. Ja będę kierował walką. Co ty masz za łapy,  
Seffy! Chusteczka nie wystarcza! Nie masz gdzie porządnego szpagatu?

— W kącie leży cała masa sznurków — odpowiedział Sefton. — Prędzaj! Beetle, ciele  
głupie, przestań już smarkać! Będziemy mieli elegancką walkę kogutów. Zwycięzeni będą  
musieli śpiewać hymny pochwalne na cześć zwycięzców. Ty jesteś niby poetą, Beetle —  
zrobię ja z ciebie poetę!

Na kolanach zajął pozycję obok Campbella.

Stalky szybko, dokładnie i z wprawą zaczął ich wiązać w kij do akompaniamentu  
wyzwisk M<sup>r</sup>Turka związanego, zdradzonego i klnącego jędrnie za fotelem.

Stalky umieścił obok siebie Campbella i Seftona i skierował się ku swym sojusznikom.  
Po drodze zamknął na klucz drzwi.

— Udało się! — rzekł zmienionym głosem.

— Co do diabła...? — zaczął Sefton.

Udane łzy Beetle'a przestały się lać. M<sup>r</sup>Turk uśmiechając się, zerwał się na równe nogi.  
Razem już zacisnęli sznury na przegubach i kostkach swych nieprzyjaciół.

Stalky rozsiadł się wygodnie w fotelu i przyglądał się im z jak najśłodszy uśmiechem.  
Człowiek związany do walki kogutów jest najbezbронniejszą istotą pod słońcem.

— *Bek koźlęcia rozbewstwia tygrysa!* Ależ z was osły skończone!

Rozparł się w fotelu i śmiał się niemal do utraty tchu.

Ofiary z wolna tylko zdawały sobie sprawę ze swego położenia.

— Jak wstaniemy, dostaniecie takie lanie, jakiegoście w swym krótkim życiu jeszcze nie widzieli! — zagrzmiał Sefton z podłogi. — Bokiem wam ten śmiech wylezie! Cóż to ma znaczyć, do wszystkich diabłów?

— Zaraz zobaczycie! — odpowiedział M<sup>r</sup>Turk. — Nie klnijcie tak. Chcemy wiedzieć, który to z was, wy świnię jedne, dręczył Clewera.

— Nic wam do tego.

— Dlaczegoście dręczyli Clewera?

Trzej chłopcy powtórzyli to pytanie po kolei, akcentując je każdy inaczej. Wiedzieli dobrze co robią.

— Bo nam się tak podobało! — zabrzmiała wreszcie odpowiedź. — Dajcie nam wstać.

Sefton i Campbell wciąż jeszcze nie rozumieli, co ich czeka.

— Bardzo dobrze. Za to teraz my zabawimy się z wami, ponieważ tak się nam podoba. Będziemy tak samo sprawiedliwi wobec was, jak wy byliście wobec Clewera. On nie mógł nic zrobić wam, wy nie możecie nic zrobić nam. A to ci heca, co?

— My nic nie możemy? Zaczekajcie trochę, zobaczycie!

— Widzicie! — rzekł Beetle w zamyśleniu. — To znaczy, że was jeszcze nigdy jak się patrzy nie tresowano. Chłosta publiczna to nic wobec małego posiedzonka, jakie was czeka. Założmy się o pięć szylingów, że będziecie płakać jak dzieci i przyrzekniecie wszystko, czego tylko zażądamy.

— Słuchaj, Beetle, jak wstaniemy, to zbijemy was tak, że wyjdziecie stąd półżywi.

— Ale naprzód wy będziecie półżywi. Dawaliście Clewerowi „gruszki”?

— Dawaliście Clewerowi „gruszki”? — powtórzył jak echo M<sup>r</sup>Turk.

Kiedy powtórzyli pytanie po raz dwudziesty — żaden chłopak nie wytrzyma tortury bezustannego pytania, co stanowi główną istotę tej męczarni — przyszło wyznanie.

— Niech was diabli wezmą, dawaliśmy.

— Dostaniecie też.

Wsyпали im „gruszki” w głowy zgodnie ze starą praktyką. A porządne „gruszki” to nie żart, stary Molly Fairbrun nie wsypałby ich lepiej.

— Dawaliście Clewerowi „szczotkę”?

Tym razem odpowiedź przyszła prędzej i dano im znów szczotkę, co trwało równo pięć minut według zegarka Stalky’ego. Nie mogli ani drgnąć w więzach. W ćwiczeniu tym szczotki zupełnie się nie używa.

— Dawaliście Clewerowi „klucz”?

— Nie, nie dawaliśmy! Przysięgam Bogu, żeśmy nie dawali! — wołał Campbell, tarzając się z bólu.

— Zatem my wam go damy, abyście wiedzieli, jakby było, gdybyście go dawali.

Tortura klucza — w której klucza nie ma zupełnie — jest nadzwyczaj bolesna. Podani jej zaczęli po kilku minutach tak wycić, że trzeba im było zakneblować usta.

— Dawaliście Clewerowi „korkociąg”?

— Tak. O, wy łotry! Dajcie nam spokój, bydlaki.

Dano im korkociąg, a tortura korkociągu — zresztą bez żadnego korkociągu — jest jeszcze boleśniejsza niż tortura klucza.

Metodyczność i milczenie, z jakim kaci pracowali, wstrząsnęły nerwami ofiar. W przerwach pomiędzy poszczególnymi torturami sypał się bezlitosny grad oszłamiających pytań, gdy zaś torturowani nie chcieli odpowiadać, wpychano im w usta kneble sporządzone z brudnych ręczników.

— Nic więcej nie robiliście Clewerowi? Turkey, wyjmij im kneble, żeby mogli odpowiedzieć.

— Przysięgam, że to już wszystko! Och, Stalky, wy nas zabijecie! — krzyknął Campbell.

— To samiuteńko mówił wam Clewer. Sam słyszałem. Ale my wam dopiero teraz pokażemy, co to znaczy prawdziwe znęcanie się. Co mi się w tobie nie podoba, Sefton, to to, że przyszedłeś do liceum w wysokim kołnierzyku i lakierkach i wyobrażasz sobie, że możesz nauczyć nas czegoś nowego, co się tyczy tortur. Czy *istotnie* myślisz, że możesz nas pod tym względem czegoś nowego nauczyć? Wyjmij mu knebel z ust, niech odpowie.

— Nie! — odpowiedział Sefton z wściekłością.

— Mówi, że nie. Ukołyszcie go do snu. Campbell może się przyglądać.

Do ukołysania chłopca do snu trzeba dwu rękawic bokserskich i trzech chłopców. Operacja ta również nie ma nic wspólnego ze swą nazwą. „Kołysano” Seftona tak długo, aż mu się oczy zapadły i zaczął charczeć, dysząc ciężko; dostał zawrotu głowy i zrobiło mu się niedobrze.

— Boże! — zawołał Campbell w swym kącie, blednąc.

— Na bok z nim! — mówił Stalky. — Dajcie tu Cambella. Otóż teraz już  *zaczy-  
na* się znęcanie. Aj, byłbym zapomniał! Słuchaj, Campbell, dlaczego znęcaliście się nad Clewerem? Wyjmij mu knebel z ust, niech odpowie.

— Ja... ja nie wiem. Och, puście mnie! Przysięgam, że zawrę z wami pokój. Nie kołyszcie mnie.

— *Bek koźłęcia rozbestwia tygrysa!* On mówi, że nie wie. Posadź go dobrze, Beetle. Daj mi rękawicę i włóż mu knebel do ust. W milczeniu „kołysano” Campbella sześćdziesiąt cztery razy.

— Skonam! — szepnął.

— On mówi, że skona. Usuńcie go. Dalej Sefton. Och, byłbym zapomniał! Sefton, dlaczego znęcaliście się nad Clewerem?

Nienadająca się do druku odpowiedź bynajmniej nie zmieszała Stalky’ego.

— Turkey, zrób mu ag-ag.

Zrobiono mu natychmiast ag-ag. Sefton miał już za sobą drogę zdobyte doświadczenie blisko osiemnastu lat, a mimo to jeszcze go sobie nie cenił.

— Mówi, że my jesteśmy świnie. Na bok z nim. A teraz Campbell! O, byłbym zapomniał! Słuchaj, Campbell, za co znęcałeś się nad Clewerem?

Dopiero teraz trysnęły łzy — łzy gorące, błaganie o litość i nikczemne obietnice darowania wszystkiego. Niech się tylko przestaną znęcać, Campbell nigdy na nich nie podniesie ręki. Pytania posypały się znowu — z akompaniamentem przekonywujących argumentów.

— Boli cię, Campbell? Co? Boli?

— Tak. Strasznie.

— Mówi, że go boli. Masz już dość?

— Dość, dość! Przysięgam, że dość! Och, przestańcie już!

— Mówi, że ma dość. Będziesz już pokorny?

— Będę.

— Mówi, że będzie pokorny. Będziesz pokorny jak pies?

— Jak pies.

— Mówi, że będzie pokorny jak pies. Będziesz się jeszcze znęcał nad Clewerem?

— Nie. Nieee!

— On mówi, że się już nad Clewerem znęcać nie będzie. Ani nad nikim innym?

— Nie. Przysięgam, że nie.

— Ani nad nikim innym. A co się tyczy tego lania, które nam wraz z Seftonem obiecałeś?

— Nie! Nie! Jak Boga kocham, nie będę się mścił.

— Mówi, że nam nie da lania. Czy wyobrażasz sobie, że masz jakie pojęcie o torturach?

— Nie, nie mam.

— Mówi, że nie ma pojęcia o torturach. Nauczylismy cię trochę?

— Tak — tak.

— Mówi, żeśmy go trochę nauczyl. Jesteś nam wdzięczny?

— Tak.

— Mówi, że jest nam wdzięczny. Usuńcie go na bok. Ach, byłbym zapomniał! Słuchaj, Campbell, dlaczego znęcałeś się nad Clewerem?

Campbell znowu wybuchnął płaczem; nerwy jego już nie wytrzymały.

— Dlatego, że się sadziłem; czy tego chcecie?

— Mówi, że się sadił. Ma zupełną słuszość. Usuńcie go w kąt. Campbella już się torturować nie będzie. Teraz Sefton.

— Wy diabły, młode diabły! — wołał Sefton, kiedy go wprawne kolana taczały po dywanie.



— *Bek koźlęcia rozbestwia tygrysa!* Czekajże, musimy zrobić cię ładnym. Gdzie on ma przybory do golenia? (Campbell powiedział.) Beetle, przynieś trochę wody. Turkey, rozrób pianę. Będziemy cię golić, Seffy, więc radzę ci leżeć spokojnie, żebyś się nie zaciął. Myśmy jeszcze nikogo nie golili.

— Dajcie pokój! Dajcie pokój! Proszę was, zostawcie mnie!

— Ejże, zaczynamy się robić grzeczni? Ja chcę zgolić tylko jeden śliczny faworycik...

— Niech... niech między nami będzie już *pax*, tylko mnie nie golcie. Przysięgnę, że daruję wam lanie, jeśli mi dacie spokój.

— I połowę wąsów, którymi się tak pysznimy. Mówi, że daruje nam lanie. Czy nie poczciwy z niego chłopak?

M<sup>r</sup>Turk roześmiał się nad nikłową miseczką i umieścił głowę Seftona między kolanami Stalky'ego.

— Czekajcie! — zawołał Beetle. — Takich długich włosów golić nie można. Trzeba naprzód przystrzyć ten wąsik, a potem będzie go można oskrobać.

— Nie chce mi się szukać nożyczek. Zapalka nie wystarczy? Rzuć nam pudełko z zapalkami. Ponieważ to prosię, możemy go po prostu osmalić. Leż spokojnie!

Zapalił zapalkę, ale naraz cofnął rękę.

— Kiedy ja chciałbym mu osmalić tylko jeden wąs.

— Wiesz co? — wpadł na myśl Beetle, wymachując namydlonym pędzelkiem. — Ja go do połowy namydlę — a ty resztę możesz spalić.

Puch pierwszego młodzieńczego wąsa spłonął z łatwością aż do środka górnej wargi po linię piany, a Stalky starł wielkim palcem zwęglone włosy. Nie był to najmilszy sposób golenia, ale znakomicie odpowiadał celowi.

— Teraz faworycik po drugiej stronie. Obróć go!

Zniszczono faworycik częścią przy pomocy brzytwy, częścią za pomocą zapalki.

— Dajcie mu teraz lusterko. Wyjmijcie mu knebel. Chciałbym wiedzieć, co powie.

Nie było słów. Zrozpaczony Sefton patrzył w lusterko ze zgrozą. Dwie wielkie łzy spłynęły po jego policzkach.

— Ach, zapomniałem! Słuchaj, Sefton, dlaczego znęcałeś się nad Clewerem?

— Dajcie mi spokój, wy hycle przekłete! Dajcie mi spokój! Mało wam jeszcze?

— Mówi, żebyśmy dali mu spokój! — rzekł M<sup>r</sup>Turk.

— Mówi, że jesteście hycle, a myśmy dopiero zaczęli — dodał Beetle. — Jesteś niewdzięczny, Seffy! Z oczu ci widać, żeś skończony okrutnik.

— On mówi, że ma już dość — dodał Stalky. — On się myli.

— A więc — do roboty, do roboty! — zaśpiewał M<sup>r</sup>Turk, wywijając kijem. — Chodź no tu, mój ty śliczny Narcyzie! Nie zakochaj się w odbiciu własnej twarzy.

— Puśćcie go już! — zawołał ze swego kąta Cambell. — Przecie on beczy!

Jak dwunastoletni mikrus zapłakał nagle Sefton z bólu, wstydu, zranionej miłości własnej i zupełnej bezsilności.

— Zrób z nimi *pacem*<sup>78</sup>. Sefton, słyszysz? Nie dasz rady tym wściekłym diabłom.

— Ko—chany Campbell, tylko nie bądź niegrzeczny! My możemy znowu zacząć!

— Sami wiecie, że jesteście diabły! — mówił Campbell.

— Jak to? Z powodu tych paru tortur, tych samych, które wy zadawaliście Clewerowi? — zapytał Stalky. — Jak długo znęcaliście się nad nim? Całe półrocze?

— Nie zawsześmy go bili!

— Zawsze, ile razy mogliście go złapać! — odpowiedział Beetle, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, podczas gdy jego kij miarowo opadał na kostkę nogi Seftona. — Niby to ja nie wiem.

— Może — może być...

— I wyście go sami łapali! Niby to ja nie wiem! Dlatego, że on jest strasznie komiczny mały bydlak, co? Niby to ja nie wiem! No, a teraz wy jesteście strasznie komiczne bydlaki i dostajecie to, co on miał dostać — za to, że jest bydlak. I tylko dlatego, że nam się tak podoba.

— Myśmy się nigdy nad nim naprawdę nie pastwili, tak jak wy nad nami.

<sup>78</sup>*pax* (łac.) — pokój; *pacem* — B. lp: pokój. [przypis edytorski]

— Naturalnie! — odpowiedział Beetle. — Oni się nigdy nie pastwią. Czasem tylko uderzą. Zawsze tak mówią. Wykopią duszę z chłopca i chłopak idzie do komórki i tam beczy. Schowa głowę pod płaszcz i płacze. Trzy razy na dzień pisze do domu z prośbą, żeby go wzięto z zakładu — tak, ty bydlaku jakiś, ja tak robiłem. Ty, Campbell, nie wiesz, co to prawdziwa tortura. Bardzo żałuję, że między nami jest *pax*.

— Ale ja nie! — wykrzyknął Campbell, który nie był pozbawiony humoru. — Uwważaj, zabijesz Seftona!

Beetle bił w podnieceniu kijem na ślepo i Sefton błagał już olitosc.

— A ty! — krzyknął Beetle, wykręcając się na siedzeniu. — Nad tobą także nikt się nigdy nie znęcał. Gdzie byłeś przedtem?

— Ja... ja miałem guwernera.

— Aha! Guwernera! To znaczy, żeś nigdy w życiu nie beczął. A teraz beczysz, widzisz! Może nie beczysz?

— Nie widzisz, ty ślepa kanalia?

— Ja jestem ślepy? — zaczął Beetle. — I kanalia? Kusz, Stalky, ja się z naszym przyjacielem pobawię trochę *à la* Molly Fairburn. *Ja* myślę, że widzę dobrze. Dobrze widzę, Sefton?

— Doskonale postawione pytanie! — odezwał się Turkey, obserwując pracę kija. — Seffy, radziłbym ci przyznać, że on widzi dobrze.

— Tak jest, ty widzisz! Na pewno! Przysięgam, że widzisz! — ryczał Sefton przekonany coraz to silniejszymi argumentami.

— Czy może nie mam pięknych oczu?

Podczas tych pytań kij wciąż podnosił się i opadał.

— Tak, masz piękne oczy.

— Piękne orzechowe, nieprawda?

— Tak — aj — tak!

— Co za blagier! Przecie ja mam oczy niebieskie! Może nie niebieskie?

— Niebieskie! Niebieskie!

— Nie można tak wciąż zmieniać zdania! Trzeba się uczyć — uczyć!

— Beetle, nie wariuj! — mitygował go Stalky. — Zachowaj zimną krew.

— Nie bój się, nauczono mnie zimnej krwi nie tracić! — odpowiedział Beetle. — A teraz co się tyczy kanalii...

— *Pax!* Ach, *pax!* — krzyknął Sefton. — Niech będzie *pax!* Poddaję się! Dajcie mi już spokój. Nie mogę dłużej! Nie wytrzymam!

— Masz! Właśnie kiedyśmy zaczęli! — mruknął M<sup>r</sup>Turk. — Clewerowi z pewnością nie daliby pardonu.

— Przyznaj się do wszystkiego — przepraszaj — natychmiast — rozkazał Stalky.

Z podłogi przyszło bezwarunkowe poddanie się, jeszcze bardziej unижone niż poddanie się Campbella. Sefton nigdy nikogo już nie tknie. Przez całe życie nie będzie nikogo zaczepiał.

— Chyba możemy się już na poddanie zgodzić! — rzekł Stalky. — Niech będzie, Sefton. Masz już dość? Bardzo dobrze. Kusz, Beetle! Ale zanim cię z Campbellem wyślimy, bądź tak uprzejmy i zaśpiewaj nam *à la* Clewer *Kitty of Coleraine*.

— To niesprawiedliwe! — odezwał się Campbell. — Myśmy się poddali.

— Pewnie, że tak, i właśnie dlatego będziecie robili teraz wszystko, co wam każemy, tak samo jak Clewer. Gdybyście się nie poddali, wzięlibyśmy was na tortury. A ponieważ poddaliście się — uważasz Seffy? — musicie śpiewać hymny pochwalne na cześć zwycięzców. Prędzej!

Rozsiedli się wygodnie w fotelach. Campbell i Sefton spojrzeli po sobie i bynajmniej swym widokiem niepocieszeni zaczęli śpiewać *Kitty of Coleraine*.

— Bardzo kiepsko! — zgnął Stalky, kiedy ten nędzny skowyt ustał. — Gdybyście się nie poddali, musielibyśmy książkami wbić wam w głowę melodię. Teraz dość.

Wyzwolili ich z więzów, ale przez kilka chwil nie mogli wstać. Pierwszy, z zakłopotanym uśmiechem, podniósł się Campbell. Sefton zatoczył się ku stolowi, padł na krzesło, ukrył głowę w ramionach i wybuchnął łkaniem. Nie śniło się im już nawet o walce; byli tylko zdumieni, zawstydzeni, upokorzeni.

— Czy... czy on może się przed podwieczorkiem ogolić? — zapytał Cambell. — Za dziesięć minut zadzwonią na herbatę.

Stalky potrząsnął głową przecząco. Chciał w tym stanie wprowadzić Seftona na salę.

M<sup>r</sup>Turk ziewnął rozparty w swym fotelu, Beetle obcierał pot z czoła. Drżeli z podniecenia i znużenia.

— Jeśli cokolwiek o was usłyszę, pogadam z wami! — rzekł Stalky surowo.

— Nie zwracaj głowy; przecie już się poddali! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk.

— Takie „moralne oddziaływanie” jest trochę męczące!

— Widzicie, jak względni byliśmy dla was? Mogliśmy tu zawołać Clewera i kazać mu się przyglądać. *Bek koźlecia rozbewstwia tygrysa*. Myśmy tego jednak nie zrobili. Moglibyśmy teraz powiedzieć o tym paru tylko chłopcom, a zaczęliby wami w całej budzie pomiatać jak psami. Nie wytrzymalibyście tego. Ale my i tego nie zrobimy. My zrobiliśmy to wszystko dla moralności, Campbell, tylko dla moralności. Toteż, jeśli wy nie rozgadacie, z nas żaden nic o tym nie powie.

— Dobry chłop z ciebie, Stalky! — rzekł Campbell. — Przyznaję, że Clewerowi trochę zanadto dokuczałem.

— Ja też tak myślę! — odpowiedział Stalky. — Więc Sefton nie musi się też zjawiać we wspólnej sali z tymi faworytami w frędzlach. Okropność, gdyby go tak mikrusy zobaczyły! Może się ogolić. Sefton, nie dziękujesz?

Głowa nie podniosła się. Sefton usnął głęboko.

— Komiczne! — zauważył M<sup>r</sup>Turk, słysząc łkanie zmieszane z chrapaniem. — Mnie się zdaje, że to komedia, on udaje.

— Wcale nie! — wmieszał się Beetle. — Kiedy Molly Fairburn torturował mnie czasem godzinę, padałem na ławkę i zasypiałem jak kamień. Biedak! Ostatecznie nazwał mnie poetą — nędznym, bo nędznym — ale przecie poetą.

— No, chodźmy! — rzekł stłumionym głosem Stalky. — Do widzenia, Campbell. Pamiętaj, że jeśli wy sami nie rozgadacie, z nas żaden ani nie piśnie.

Mieli prawo do zatańczenia tańca wojennego, byli jednak tak strasznie zmęczeni, że zaraz po herbacie udali się do swej pracowni, gdzie spali aż do korepetycji.

\*

— Nadzwyczaj dziwny list. Czy wszyscy rodzice są nieuleczalnie chorzy? Cóż ksiądz na to powie? — mówił rektor, podając wielebnemu Johnowi list napisany maczkiem na ośmiu stronach.

— „To mój jedyny syn, a w dodatku ja jestem wdową...”. Najnierozumniejszy rodzaj ludzi!

Kapelan czytał, zagryzając wargi.

— Gdyby połowa tych zarzutów była prawdziwa, chłopak powinien by leżeć w lazarecie; a tymczasem wygląda znakomicie. Prawda, ogolił się. Sam zauważyłem.

— Pod przymusem, jak matka zaznacza. Znakomite! I jak zbawienne!

— Łatwo panu mówić! Pan jej odpisywać nie potrzebuje.<sup>79</sup> Rzadko kiedy się zdarza, abym nie wiedział, co się dzieje w szkole — ale w tym wypadku istotnie nie rozumiem.

— Gdyby mnie pan pytał o zdanie, powiedziałbym, że pan nie potrzebuje się usprawiedliwiać. Jeśli się jest zmuszonym do brania uczniów w drodze konkursowej z pensjonatów korepetytorów...

— Dziś rano na lekcji ze mną trzymał się bardzo dobrze — rzekł rektor zamyślony. — Prócz tego zachowywał się także nadzwyczaj przyzwoicie...

— Otóż, że wrócę jeszcze do tych wybiórków z bud konkursowych: albo oni wychowują szkołę, albo też, jak w tym wypadku, szkoła wychowuje ich. Ja jestem zwolennikiem naszej własnej metody! — zakonkludował kapelan.

— Więc pan sądzi, że to to?

Brwi rektora uniosły się z lekka.

— Jestem pewien. A on nie ma najmniejszego prawa do oczerniania zakładu.

— To samo chciałem mu powiedzieć! — odrzekł rektor.

<sup>79</sup> Pan jej odpisywać nie potrzebuje. — tj.: to nie pan musi jej odpisać. [przypis edytorski]

Augurowie mrugnęli do siebie.

\*

W parę dni później w Nr. 5 pojawił się walebnny John.

— Padre, czemu ksiądz tak długo nie przychodził? — rozległy się okrzyki.

— Obserwowałem czasy, pory roku, wydarzenia, ludzi i — chłopców! — odpowiedział. — Jestem z mej Legji X zadowolony i dziękuję jej. Dziś rano Clewer, zamiast pisać zadanie, strzelał po klasie kulkami atramentowymi. Dostał pięćdziesiąt wierszy za... niesłychane zuchwalstwo.

— To już nie nasza wina, Padre — rzekł Beetle. — Ksiądz kazał nam usunąć... usunąć ucisk. Czego się można spodziewać po smarkaczu?

— Pamiętam ja dobrze, jak starsi dziś od niego o pięć lat chłopcy rzucali kulki atramentowe, Beetle. Jednemu z nich dałem za to dwieście wierszy — nie bardzo nawet dawno temu. *À propos* — czy te wiersze mi oddano?

— Turkey, oddano czy nie? — spytał bezwstydnie Beetle.

— Czy księdzu nie zdaje się, że Clewer wygląda trochę czyściej? — przerwał Stalky.

— Widział ksiądz kiedy takich reformatörów moralności? — chełpił się M<sup>r</sup>Turk.

— Właściwie zrobił wszystko Stalky, ale to była szopa dla wszystkich!

— Wyniki tej reformy moralnej zauważyłem w paru miejscach. Czy nie mówiłem wam, że jeśli zechcecie, możecie mieć nadzwyczajny wpływ na chłopaków z liceum?

— Tylko że system moralnego oddziaływania — częściej stosowany — trochę męczy. A prócz tego — widzi ksiądz — Clewer się rozzuchwalał.

— Nie myślałem o Clewerze; miałem na myśli drugich, Stalky.

— Och, my tam dużo o drugich nie myślimy! — odezwał się Turkey. — Nieprawdaż?

— Ale ja — myślałem od samego początku!

— To znaczy, że ksiądz wiedział?

Kłęb dymu zjechał ku ziemi.

— Mówią, że chłopcy sami się wychowują lepiej i surowiej, niż my możemy i śmiemy. Gdybym ja użył połowy argumentów, jakieście wy zastosowali, czy nie...

— Z jak najlepszymi motywami w świecie! Padre, proszę nie zapominać o naszych motywach! — wołał M<sup>r</sup>Turk.

— Jestem pewny, że jęczałbym teraz w bidefordzkim kryminale, wierzcie mi. Prawdę mówiąc, by zacytować wyrażenie rektora w pewnej drobnej sprawie, o której postanowiliśmy zapomnieć, uderza mnie to jako krzyżująca niesprawiedliwość... Z czego się śmiejecie, młodzi grzesznicy? Może to nieprawda? Nie przyszedłem tu po to, żeby się ze mnie naśmiewano. Wstąpiłem do tej otchłani wszelkich nieprawości po to tylko, aby znaleźć kogoś, kto by chciał iść ze mną kąpać się do Pebbleridge. Ale widzę, że nikomu ani w głowie!

— Jak to nie? Przeciwnie! Proszę chwileczkę poczekać, Padre sahib! Weźmiemy tylko ręczniki i *nous sommes avec vous*<sup>80</sup>.

## MAŁE PRZYGOTOWANIE

Qui procul hinc<sup>81</sup> — tak mówi baśń,

Na kresach znalazł daleki grób,

Qui ante diem periiit,

Sed miles, sed pro patria.<sup>82</sup>

*Newbolt*

Zaledwie upłynął miesiąc wiosennego kursu, Stettson starszy, eksternista, zachorował na dyfteryt, co naraziło rektora na liczne nieprzyjemności. Zakreślił nową, znacznie

<sup>80</sup>*nous sommes avec vous* (fr.) — jesteśmy z panem. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*Qui procul hinc* (łac.) — kto daleko stąd. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*Qui ante diem periiit, Sed miles, sed pro patria.* (łac.) — kto przedwcześnie poległ, jako żołnierz, za ojczyznę. [przypis edytorski]

uszczuploną granicę dla uczniów — jak się pokazało, dyfteryt panował w jednym z dalej położonych folwarków — nakazał surowo prefektom karać chłostą wszystkich, którzy by tę granicę przekraczali, obiecując jeszcze sowity dodatek od siebie. Nie było dość słów potępienia dla Stettsona starszego, izolowanego w domu matki, ten bowiem dopuścił się zbrodni obniżenia przeciętnego poziomu zdrowia w liceum — jak to sam rektor powiedział po modlitwie w sali gimnastycznej. Następnie napisał około dwustu listów do tyluż zaniepokojonych ojców i opiekunów i kazał, aby w szkole szło wszystko jak zwykle. Dalszych wypadków dyfterytu nie było, za to pewnej nocy przed dom rektora zajechał jakiś powóz, a rano pokazało się, że rektor wyjechał ustanowiwszy swym zastępcą Mr. Kinga, starszego dyrektora. Rektor często jeździł do Londynu, jak w liceum twierdzono, w celu przekupywania urzędników i wydobywania od nich w ten sposób pytań, jakie miały być zadawane przy egzaminach wstępnych do szkół wojskowych. Tym razem jednak nieobecność jego trwała dłuższy czas.

— Cwaniak! — mówił Stalky do swych przyjaciół w pracowni pewnego słotnego popołudnia. — Z pewnością skazano go na grzywnę i siedzi teraz pod fałszywym nazwiskiem.

— Za co? — zapytał Beetle, przyłączając się z radością do tego oszczerstwa.

— Czterdzieści szylingów grzywny lub miesiąc aresztu za kopniaki dane woźnemu, który go wyrzucił za drzwi z Pawilonu. Ile razy Bates jest w Londynie, zawsze musi zrobić jakąś burdę. Jak Boga kocham, dużo bym dał za to, żeby już wrócił. Aż brzuch boli od tych bezustannych kazań Kinga o duchu szkoły i honorze domu.

— Żywy obraz brutalnej i zmaterializowanej burżuazji, pracującej tylko dla otrzymania stopni. Ani jednego intelektualisty w całej szkole! — zacytował M<sup>r</sup>Turk, w zamyśleniu wierząc dziurę w kominku rozgrzanym do czerwoności hakiem.

— Wściec się można w takie nudne popołudnie. A prócz tego jeszcze śmierdzi. Wicie co? Chodźmy sobie zapalić. Mam byczego kumeta.

Stalky pokazał im długie indyjskie cygaro.

— Buchnąłem ojcu podczas świąt. Prawdę mówiąc, mam przed tym cygorzem małego boja. Mocniejszy od fajki. Będziemy go palić, jak Indianie fajkę pokoju, podając sobie z ręki do ręki, dobrze? Chodźcie, pójdziemy za stare sztachety żelazne i tam się położymy przy drodze do małej fermy.

— To poza granicami. Wściekle w ostatnich czasach przestrzegają granic. A prócz tego z pewnością się porzygamy.

Beetle z miną znawcy powąchał cygaro.

— Morowe cygarko!

— Możesz sobie rzygać, jak chcesz, ja nie muszę. No więc cóż robimy, Turkey?

— Ano, chodźmy!

— Biercie czapki. Dwu przeciw jednemu, Beetle. Musisz iść.

Na korytarzu zobaczyli przed czarną tablicą z ogłoszeniami gromadę chłopców, wśród nich małego Foxy'ego, sierżanta szkolnego.

— Pewnie znowu granica! — rzekł Stalky. — Hallo, Foxy, dlaczego włożyliście żalobę?

Sierżant miał na ramieniu szeroką przepaskę z krepy.

— Służył w moim dawnym pułku — rzekł, wskazując ruchem głowy tablicę, na której widać było wycinek z gazety, umieszczony między listami apelu.

— Mój Boże! — mówił Stalky, zdejmując czapkę z głowy po przeczytaniu paru wierszy. — Ależ to stary Duncan, gruby Porcus! Padł w bitwie gdzieś koło jakiegoś Kotalu czy coś podobnego. *Zbierając dookoła siebie swych ludzi z najwyższym bohaterstwem.* Jeszcze by też! *Ciało odbito.* Tym lepiej. Oni czasem ciała ćwiartują, prawda, Foxy?

— Okropnie! — odpowiedział sierżant krótko.

— Biedny, stary Porcus! Kiedy odchodził od nas, byłem jeszcze mikrusem. To ilu ich już będzie, Foxy?

— Z Mr. Duncanem dziewięciu. Jak Mr. Duncan wstąpił do naszej szkoły, nie był większy od małego Greya. Służył w mym dawnym pułku. Tak, tak, panie Corkran, to już dziewiąty z rządu!

Trójka wyszła na deszcz i pomaszerowała szybkim krokiem.

— Ciekawa rzecz, jakie to może być uczucie — jak się jest rannym i tego — mówił Stalky, kiedy brnęli przez kałuże na ścieżce. — Gdzie to mogło być, Beetle?

— Gdzieś w Indiach, tam się przecie zawsze bijemy. Nie, Stalky, słuchaj, po co siadać pod żywoplotem, żeby rzygać. Do tego cholerycznie zimno, cholerycznie mokro i z pewnością nas złapią.

— Co pyskujesz? Czy wuj Stalky wyspał was kiedy?

Podobnie jak i inni wodzowie, Stalky zapominał z łatwością o minionych kłóskach.

Przedarli się przez ociekający wodą żywoplot, dotarli do rozmokłego zagonu i usiedli na starych, zardzewiałych, żelaznych sztachetach. Cygaro żarzyło się, sypiąc iskrami saletry. Palili je po kolei ostrożnie, trzymając między wielkim i wskazującym palcem.

— Co za szczęście, że nie mieliśmy po sztuce na głowę, nieprawda? — rzekł przez zęby Stalky, drżąc.

I aby dowieść prawdziwości tych słów, w tej chwili wywnętrzył się im najzupełniej, oni zaś poszli za jego przykładem.

— A nie mówiłem? — jęczał Beetle z czołem okrytym wielkimi kroplami zimnego potu. — Ach, Stalky, ty jesteś naprawdę kretyn.

— *Je jig, tu jigs, il jig. Nous jignons*<sup>83</sup>!

M<sup>r</sup>Turk złożył swą daninę i leżał beznadziejnie na zimnym żelazie.

— Co się mogło stać temu cholerycznemu kumetowi? Beetle, nie wylałeś na niego przypadkiem atramentu?

Ale Beetle nie mógł już odpowiedzieć. Bezładni i wyczerpani leżeli w poprzek na balaskach, których rdza czerwona kratą odbijała się na ich płaszczach, zaś pod zlodowaciałym nosem Stalky'ego kurzył się jeszcze niedopałek cygara. A wtedy — nie wiadomo skąd i jak, bo nie słyszeli nic — stanął przed nimi sam rektor — rektor bawiący rzekomo daleko i przekupujący egzaminatorów — rektor w fantastycznym szkockim garniturze i kaszkiecie do polowania.

— Rozumie się! — rzekł, kręcąc wąsa. — Doskonale. Mogłem się być domyślić, że to wy. Wracajcie do zakładu, kłaniajcie się ode mnie Mr. Kingowi i poproście go, żeby wam wrzepił ekstrabaty. Ode mnie masz każdy po pięćset wierszy, które należy oddać jutro o piątą po południu. Oprócz tego tydzień domowego aresztu. Nie najstosowniejszy to czas na przekraczanie granic. Pamiętajcie sobie: ekstrabaty!

Przeskoczywszy przez płot, zniknął tak nagle, jak przyszedł. Z urwistej, wgłębionej drogi słyhać było kobiecy głos.

— O, stare Prusaczysko! — mówił M<sup>r</sup>Turk, podczas gdy głosy się oddalały. — Stalky, to twoja wina, matole jeden!

— Trzeba mu dać lanie! — westchnął Beetle.

— Nie mogę. Ja znów muszę rzygać... Gwiżdżę na to, ale jak się King będzie sadył! Ekstrabaty, do wszystkich diabłów.

Stalky nie tylko nie wiedział, co odpowiedzieć, ale nie mógł się nawet zdobyć na słodkie słówka, którymi mógłby udobruchać kolegów. Trójka wróciła do liceum i otrzymała chłostę, po którą ją posłano. King był zachwycony, ponieważ ze względu na wiek chłopców — wyjąwszy specjalny rozkaz — nie miał już prawa karać ich cielesnie. Na szczęście nie był zbyt biegły w tej szlachtetnej sztuce.

— Dziwne, o ile zamiar przewyższa wykonanie! — rzekł Beetle, cytując Szekspira, którym ich tego półroczka karmiono.

Wróciwszy do pracowni, zabrali się do zadania.

— Masz zupełną rację, Beetle! — rzekł Stalky pieszczotliwym, ujmującym głosem. — Gdyby nas stary był posłał do prefekta, dopiero byśmy zobaczyli, po czemu<sup>84</sup> łokieć.

— Słuchaj no, Stalky! — zaczął M<sup>r</sup>Turk z zimną złością — nie mamy zamiaru robić ci żadnych scen, sprawa jest na to zbyt poważna, ale wiedz sobie, że jesteś na indeksie. Pokazało się, że jesteś skończonym osłem.

<sup>83</sup>*Je jig, tu jigs, il jig. Nous jignons* — żart słowny, związany z odmianą czasowników fr. (ang. *je cat, nous cattons*). [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*po czemu* (daw.) — ile kosztuje; *łokieć* — daw. jednostka miary tkanin, także kij służący do odmierzania tkaniny przy sprzedaży (a nadający się również do bicia); *po czemu łokieć* — tu przen.: jak może boleć takie bicie. [przypis edytorski]

— Czy ja mogłem zgadnąć, że stary nas złapie? I czego on tam chciał w tym wariackim kostiumie?

— Tylko bez wykrętów! — warknął Beetle groźnie.

— Ostatecznie, w gruncie rzeczy, to wina Stettsona starszego. Gdyby ta cholera nie była złapała dyfterytu, nie byłoby tego wszystkiego. Ale to była szopa! Jak ci naraz stary na nas wleciał!

— Zamknij jadaczkę! Ty nie masz już nic do gadania. Nie liczysz się zupełnie! — odpowiedział Beetle. — Nie masz już żadnych ostróg u swych brudnych pięt, a twoja tarcza została strzaskana. Moim zdaniem powinieneś zostać na miesiąc wykluczony od naszego koryta!

— Cicho bądź! Bo jak ci dam...

— Cicho? Ależ — ależ mamy tydzień aresztu! — M<sup>r</sup>Turk ryczał prawie, tak okropną wydała mu się ta sytuacja — lanie od Kinga — pięćset wierszy i prócz tego tydzień aresztu! Może chcesz, żebym cię za to jeszcze w rękę pocałował, bydlę jedno?

— Przestań pyszczyć na chwilę. Chciałbym wiedzieć, po jakiego diabła rektor tam wlaź!

— Nic łatwiejszego! — zaczął tłumaczyć M<sup>r</sup>Turk. — Był zupełnie zdrow i w jak najlepszym humorze. Spodobało mu się zawiązać romans z matką Stettsona starszego. To ona była tam na ścieżce, poznałem ją po głosie. I żebyś sobie wiedział, że to w obecności matki eksternisty kazano nam dać w skórę. W dodatku baba stara i chuda jak tyka. Może jeszcze czegoś chciałbyś się dowiedzieć?

— Gwiżdżę na to — mruknął Stalky. — Przyjdzie czas, zapłacę mu za to.

— Bardzo wierzę! — mówił dalej M<sup>r</sup>Turk. — Ekstrabaty, tydzień ciupy i pięćset... a ty jeszcze się stawiasz? Beetle, bierz go!

Stalky rzucił w ich stronę Wergilim<sup>85</sup>.

Rektor wrócił następnego dnia bez żadnego wytłumaczenia i znalazł wiersze czekające już na niego a szkołę rozpuszczoną trochę pod zastępczymi rządami Kinga. Mr. King przemawiał niestrudzenie do swych pupilów stylem szlachebnym i niejasnym, każąc<sup>86</sup> o duchu szkół publicznych i tradycjach starych kolegów, albowiem lubił zawsze korzystać ze sposobności. Udało mu się też w dwustu pięćdziesięciu młodych duszach rozbudzić żywiołową nienawiść do wszystkich innych zakładów naukowych, poza tym jednak rezultaty osiągnięte przezeń były nikłe — tak nikłe, iż kiedy w dwa dni po powrocie rektora Mr. King zastał na korytarzu Stalky'ego i Spółkę, wciąż jeszcze nieopuszczających mieszkania, ale w jak najlepszym humorze grających w kule, oświadczył im, że go to nic a nic nie dziwi, przeciwnie, raczej po chłopcach o *ich moralności* można się tego było spodziewać.

— Kiedy bo, prosz pampsora, w kule grać wolno, to bardzo zajmująca gra! — zawołał Beetle z kolanami białymi od kredy i kurzu.

Natychmiast dostał dwieście wierszy za arogancję i rozkaz udania się do najbliższego prefekta, który miał sprawę osądzić i ukarać go.

Oto, co się stało w pokoju Flinta, zaś Flint był kierownikiem gier i sportu.

— Słuchaj, Flint! King przysłał mnie do ciebie za to, że grałem na korytarzu w „bile”, wołając „łapcie kulę”!

— Cóż mnie to może obchodzić? — odpowiedział prefekt.

— Abo ja wiem! Ale słuchaj — pytał Beetle ze złośliwym uśmiechem — cóż mam mu powiedzieć? On się wścieka ze złości.

— Gdyby rektor ogłosił na korytarzu zakaz gry w kule, mógłbym coś zrobić, nie mogę jednak interweniować na żądanie samego dyrektora<sup>87</sup>. King wie o tym tak samo dobrze, jak i ja.

Beetle, nie zmiękczając, oczywiście, ani odrobiny wyrażen, powtórzył to *oraculum*<sup>88</sup> Kingowi, a King natychmiast poleciał do Flinta.

<sup>85</sup>Wergili a. Wergiliusz — Publius Vergilius Maro (70–19 p.n.e.), rzymski poeta, autor *Eneidy*. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>każąc — tu: przemawiać; por. kazanie. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>dyrektor — tu: wychowawca klasy. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>oraculum (łac.) — wyrocznia, przepowiednia, wyrok. [przypis edytorski]

Ten Flint był w zakładzie już siedem i pół roku, wliczając w to pół roku szkoły jakiegoś korepetytora londyńskiego, z której, stęskniony, wrócił znów do rektora po ostatecznym razem przygotowanie do szkoły wojskowej. W zakładzie znajdowało się czterech do pięciu takich starszych chłopców, nie mówiąc o tych, którzy wypędzeni z innych zakładów za brutalność czy brak wychowania zostali z wolna przez rektora należycie oszlifowani. To nie był uczeń z szóstej klasy; z takim trzeba było postępować ostrożnie, w rękawiczkach. King wkrótce przekonał się o tym.

— Czy mam przez to rozumieć, Flint, że zamierzasz pozwalać na gry publiczne pod oknami swojej pracowni? Jeśli tak, nie pozostaje mi nic innego, jak powiedzieć jedno tylko...

Tu King powiedział nie jedną, ale bardzo wiele rzeczy, zaś Flint słuchał grzecznie.

— Otóż, proszę pana profesora, gdyby rektor uznał za stosowne zwołać zebranie prefektów, musielibyśmy się tą sprawą zająć. Z drugiej strony jednak, zgodnie z tradycjami szkoły, prefekci nie mogą interweniować w sprawach dotyczących całej szkoły, chyba tylko na wyraźny rozkaz rektora.

Spór trwał dłuższy czas; obie strony straciły do pewnego stopnia panowanie nad sobą.

Po herbacie, kiedy prefekci oficjalnie zeszli się w jego pracowni, Flint opowiedział im całą historię.

— King rządził się przez cały tydzień jak szara gęś, a teraz szuka zaczepki. Wiecie równie dobrze jak i ja, że gdyby nie bezustanne kazania Kinga, Beetle'owi kule ani nawet przez myśl by nie przeszły.

— Wiemy o tym — odpowiedział Perowne — ale nie o to idzie. Z wyzwisk, jakimi King uraczył w osobie Flinta prefektów, można by zrobić awanturę na wielką skalę. *Wypędki? Żle wychowane niedźwiadki?* Nie może być, ażeby prefekci...

— Głupstwo! — odezwał się Flint. — King jest najlepszym nauczycielem literatury, jakiego mamy, i wplątywanie rektora w awantury z nim nie miałyby sensu. Stary i tak dość ma na głowie teraz, kiedy nadchodzi czas egzaminów wstępnych do szkół wojskowych. Zresztą, nasze liceum nie jest szkołą publiczną; powiedziałem to Kingowi. To tylko towarzystwo anonimowe, dające cztery od sta, a mój ojciec jest jednym z akcjonariuszy.

— I cóż to ma do rzeczy? — zapytał Venner, dziewiętnastoletni młodzieniec o czerwonych włosach.

— Nie będziemy chyba sami sobie robili na złość. Mamy wstąpić do wojska — lub wyjść stąd, tak? Rada najęła Kinga, aby nas uczył, a reszta to głupstwo. Rozumiecie?

Rektor, czując może, że w powietrzu wisi jakaś burza, poszedł po obiedzie wypalić cygaro do pracowni Flinta; ale tak często zaczynał wieczory od odwiedzin u któregoś z prefektów, że kiedy niby przypadkiem wstąpił, zapukawszy grzecznie, jak tego etykieta wymagała, nikt go o nic nie podejrzewał.

— Zebranie prefektów? — zapytał, marszcząc brwi.

— Właściwie nie, panie rektorze. Gawędziliśmy trochę. Nie zechce pan rektor usiąść w tym fotelu?

— Dziękuję! Co za wygodnisie z was!

Usadowił się w wielkim, szerokim fotelu Flinta i palił przez chwilę w milczeniu.

— Dobrze, ale skoro już tu wszyscy jesteście, muszę wam powiedzieć, że przynoszę wieści dla niejednego fatalne.

Młode twarze spoważniały. Ze słów rektora można było wnosić, że niektórzy z nich z powodu dodatkowych godzin nauki zostaną wykluczeni od wszelkich sportów. Zapewniało to może przyszłe powodzenie w Sandhurst, na razie jednak oznaczało ruinę pierwszej piątnastki futbolowej.

— Tak jest, przyszedłem po swój funt mięsa. Powinienem był was wziąć przed meczem z Exeterem, ale pobić Exeter było naszym świętym obowiązkiem.

— Ależ, panie rektorze, czy mecz z byłymi uczniami to może nie taki sam święty obowiązek? — zapytał Perowne.

Ten mecz należał do największych uroczystości letniego kursu.

— Można się spodziewać, że ci Starzy Chłopcy nie będą bardzo wytrenowani. A teraz lista. Więc przede wszystkim potrzebuję Flinta, tego żąda Euklides. Będziemy razem robili dedukcję, Perowne, dodatkowe rysunki z zakresu mechaniki. Dawson pójdzie do Mr.



Kinga na dodatkowe lekcje łaciny, Venner ze mną będzie robić niemiecki. Bardzo pierwszą piętnastkę uszkodziłem? — skończył z łagodnym uśmiechem.

— Po prostu rozbił ją pan rektor! — odpowiedział Flint. — Czy nie byłoby możliwe zostawić nas w kupie do końca kursu?

— Niepodobierstwo. Tego roku będzie mnóstwo kandydatów do Sandhurst.

— A wszystko na to tylko, aby się dać potem poćwiartować przez tych podłych Afganów! — odezwał się Dawson. — Nie zdaje mi się, żeby do tego było zbyt dużo kandydatów.

— Zaraz, to mi przypomniało jedną rzecz. Ze Starymi Chłopcami przyjeżdża Crandall — zaprosiłem ich dwudziestu, zdaje się jednak, że przyjedzie słaba drużyna. Ale, prawdę mówiąc, nie wiem, czy Crandall na co się przyda. Poraniono go ciężko w walce o ciało Duncana.

— Crandall starszy — artylerzysta? — zapytał Perowne.

— Nie, młodszy, Crandall-Dereń — oficer hinduskiego pułku... Tyś go jeszcze nie znał, Perowne.

— Gazety nic o nim nie pisały. Czytaliśmy tylko o Porcusie. Co Crandall zrobił, panie rektorze?

— Przyniosłem wam pewnie dziennik indyjski, który mi przysłała jego matka. Mogę powiedzieć — chłopak pięknie się spisał. Chcecie, żebym wam przeczytał?

Rektor umiał czytać. Kiedy skończył całą gęsto zadrukowaną szpalnę, wszyscy mu grzecznie podziękowali.

— Pięknie to świadczy o naszej starej budzie! — odezwał się Perowne. — A swoją drogą szkoda, że nie przyszedł na czas, aby uratować Porcusa. To już dziewiąty w przeciągu ostatnich trzech lat, prawda?

— Tak — odpowiedział rektor. — I przypominam sobie, że dokładnie przed pięciu laty w tym kursie uwolniłem go od wszelkich gier z powodu niezbędnych lekcji dodatkowych. Ale *à propos* — Flint, kogóż ustanawiasz kierownikiem gier i sportu?

— Nie myślałem o tym jeszcze. Kogo pan rektor chciałby polecić?

— Ja? Dziękuję bardzo, ani mi w głowie. Słyszałem wprawdzie czasem za swymi plecami, że stary Prusak Bates to cwaniak, ale nie myślę brać na siebie odpowiedzialności za nowego kierownika gier i sportu. Proszę załatwić to między sobą. Dobranoc.

— I tego człowieka — odezwał się Flint, kiedy się drzwi za rektorem zamknęły — chcecie ubrać w nową kłótnię szkolną!

— Ja chciałem tylko wiedzieć, co ty na to powiesz! — odpowiedział pośpiesznie Perowne. — Dziwnie łatwo dajesz się naciągać, Flint.

— No, mniejsza z tym! Stary rozbił nam pierwszą piętnastkę na kawałki, ale my musimy teraz te kawałki pozbierać i zlepić, inaczej Starzy Chłopcy dadzą nam łupnia! Musimy awansować wszystkich z drugiej piętnastki i dajmy grać starszym chłopcom. Tam są z pewnością fury talentu, który można oszlifować jako tako od dziś do meczu.

Sprawę przedstawiono w liceum jako tak niecierpiącą zwłoki, że nawet Stalky i M<sup>r</sup>Turk, którzy udawali, że lekceważą futbol, grali teraz z całym zapałem. Awansowano ich, zanim zapał ich zdołał ostygnąć, a wówczas godność ich czapek wymagała już rozwinięcia pewnej gorliwości. Drużyna miała obowiązek pracować co najmniej cztery dni na tydzień i liceum z wolna zaczęło nabierać otuchy.

W ostatnim tygodniu przed meczem zaczęli się zjeżdżać Starzy Chłopcy, a pojawienie się każdego z nich było wprost proporcjonalne do ich wartości. Jaśnie wielmożnych panów kadetów z Sandhurst i Woolwich, którzy opuścili liceum przed rokiem, ale dźwigali teraz olbrzymie miecze u boku, witali ci, którzy do niedawna jeszcze siedzieli wraz z nimi na tej samej ławce, serdecznym „*Servus*, jak się masz, co słyhać?”. Młodszy oficerowie obrony krajowej cieszyli się większym szacunkiem, ale mimo wszystko dawano im do poznania, że i oni nie są ulani z najszlachetniejszego metalu. Renegatów, którzy przepadli przy egzaminie do Sandhurst, poświęcili się handlowi lub karierze bankowej, witano po starej znajomości, jednakże bez najmniejszego zapału i większych ceremonii. Za to kiedy prawdziwi subalterni, oficerowie i istotni gentlemen — ludzie, którzy wracali z końca świata i dlatego nie nosili już żadnych szabel, pojawiali się na widowni, przechadzając się pod ramię z rektorem, cała szkoła rozstępowała się na prawo i lewo w pełnym podziwieniu. A gdy jeden z nich położył rękę na ramieniu Flintowi, samemu kierownikowi

gier i sportu, wołając „Rany Boskie, i któż to pozwala sobie tak rosnać, ty byłeś przecie nędznym mikrusem, gdy ja wychodziłem z liceum!” — wyraźna aureola okoliła głowę Flinta. Chodzili po korytarzu z małym sierżantem szkolnym, opowiadając mu różne nowinki o starych pułkach; wpadali do sal wykładowych, wciągając w nozdrza dobrze znaną sobie woń atramentu i wapna; odnajdowali w niższej klasie siostrzeńców i bratanków, i obdarowywali ich niezmiernymi bogactwami, albo wdzierali się do sal gimnastycznych i kazali Foxy’emu pokazywać sobie nowe ćwiczenia na poręczach.

Głównie jednak rozmawiali z rektorem, który był ich wszystkich spowiednikiem i doradcą. W swoim naiwnym dzieciństwie krzyčili nieraz, że ten Prusak Bates to chytry lis, w bezmyślnej młodości uciekali się do jego rozumu i sprytu. Młody człowiek, który wpadł, zawiązawszy stosunek z córką cukiernika z Plymouth, przezorny młodzieniec, spodziewający się spadku a niedowierzający prawnikom, człowiek ambitny, wahający się między dwiema drogami, nie wiedząc, którą dalej zejść może, rozrzutnik prześladowany przez lichwiarzy, chłopak gwałtowny, poróżniony z kolegami z pułku, wszyscy przychodzili do niego ze swymi troskami i zmartwieniami, a ten Chiron, w słowach nieprzeznaczonych dla uszu dziecięcych, wskazywał im środki pewne i niezawodne odwrócenia, zwyciężenia lub uniknięcia trudności. Przepelniali jego dom, wypalali mu cygara i pili jego zdrowie, jak piliby je na całej kuli ziemskiej wszędzie, gdzie tylko spotkałoby się dwu lub trzech uczniów starej szkoły.

— Nie przestajecie palić ani na chwilę! — mówił rektor. — Im gorszy będziecie mieć „trening”, tym lepiej dla nas. Zdemontowałem pierwszą piętnastkę nadliczbowymi lekcjami.

— Ach, wszak my jesteśmy drużyną zebraną tylko przypadkowo. Czy pan im powiedział, że będziemy potrzebowali zastępcy, nawet gdyby Crandall mógł grać? — pytał porucznik odznaczony medalem D.S.O.<sup>89</sup>

— Pisał mi, że będzie mógł grać, z czego by wynikało, iż nie był tak bardzo ciężko ranny. Przyjeżdża jutro rano.

— Crandall młodszy to ten, co odbił ciało biednego Duncana?

Rektor potwierdził ruchem głowy

— Ale gdzież go pan umieści? Zajęliśmy panu wszystkie kąty, tak że pan sam nie ma się już gdzie podziąć! — mówił bawiący na urlopie komendant szwadronu lansjerów bengalskich.

— Obawiam się, że będzie musiał spać w swej dawnej sypialni. Starzy Chłopcy mogą domagać się tego przywileju. Tak jest, zdaje mi się, że mały Crandall młodszy będzie się tam musiał jeszcze raz przespać.

— Bates-sahib! — artylerzysta zarzucił rektorowi na szyję swe ciężkie ramię. — W tym kryje się jakiś podstęp. Proszę się przyznać. Już ja się znam na tym mruganiu.

— Czyż nie rozumiesz, fujaro? — przerwał mu oficer łodzi podwodnych. — Crandall idzie do sypialni jako okaz lekcji siły moralnej itd. Nieprawda, Bates-sahib?

— Tak jest. Ty zawsze za dużo wiesz, Purvis. Pamiętasz, że za to dostałeś w skórę w ’79 roku?

— Tak jest, rektorze, i jestem głęboko przekonany, że pan wówczas posmarował trzcinę kredą.

— Nie, tylko że ja mam bardzo pewną rękę — to cię zmyliło.

To otworzyło upusty nowych wspomnień i goście zaczęli sobie opowiadać różne historie z czasów swego pobytu w liceum.

Kiedy Crandall młodszy — to znaczy R. Crandall, porucznik zwykłego pułku hinduskiego, przyjechał z Exeteru rano przed meczem, powitały go okrzyki wzdłuż całego frontu liceum, bo prefekci opowiedzieli chłopcom, co im rektor w pracowni Flinta przeczytał, zaś Beetle dowiedziawszy się, iż Crandall skorzysta z prawa byłego ucznia i zażąda dla siebie na jedną noc łóżka w ich domu, wpadł do najbliższych drzwi w domu Kinga i wykonawszy publicznie w największej sali wykładowej taniec zwycięski, zniknął w gradzie kałamarzów.

<sup>89</sup>D.S.O., *Distinguished Service Order* — medal wojskowy „za odznaczenie się w służbie” [Order za Wybitną Służbę. Red. WL]. [przypis tłumacza]

— Po co zwracasz uwagę na tych kretynów? — rzekł Stalky, który grał jako zastępca po stronie Starych Chłopców, wspaniała w białym jerseyu, białych majtkach i czarnych pończochach. — Ja rozmawiałem z *nim* w sypialni, jak się przebierał. Pomagałem mu wkładać sweter. Całe ramiona ma posiekane — takie straszne, purpurowe blizny. Dziś w nocy opowie nam o tym. Spytałem go, jak mu sznurowałem trzewiki.

— I żeś się też odważył! — rzekł Beetle z zazdrością.

— Jakoś mi się tak wyrwało, zanim nawet o tym pomyślałem, Ale wcale się nie gniewał. To morowy chłop! Jak Boga kocham, będę dziś grał jak anioł. No nie, Turkey?

Technika tego meczu należała do dawno minionego wieku. Bójki były zaciekle i długotrwałe, ciosy bezpośrednie i doskonale wymierzone; dokoła walczących stała cała szkoła, wydając dzikie okrzyki. Pod koniec wszystkich opuścił zmysł przyzwoitości i matki eksternistów, znajdujące się zbyt blisko pola bitwy, nasłuchiwały się słów niefigurujących w programie. Nikogo z placu nie wyniesiono, ale obie strony były bardzo zadowolone, kiedy dano znak zakończenia gry. Beetle pomagał Stalky'emu i M<sup>r</sup>Turkowi wdziać płaszcz. Obaj przyjaciele zetknęli się z sobą w samym sercu wielonożnej gry i, jak Stalky mówił, „uszlachcili się wzajemnie”. Kiedy po skończonej grze sztywnym, drewnianym krokiem maszerowali za drużynami — zastępcy nie mają prawa iść w jednym szeregu z dorosłymi — i przechodzili niedaleko muru koło jakiejś zaprzężonej w kuca bryczki — czyjs ochrypły głos zawołał: „Byczoście grali! Och, jak byczo!”. Był to Stettson starszy, błądy i chudy, który jednak zdołał się przedostać aż tu pod eskortą niecierpliwego woźnicy.

— Hallo, Stettson! — zawołał Stalky, zatrzymując się. — Można się już do ciebie zbliżyć?

— Tak, już można. Jestem zupełnie zdrow. Nie chcieli mi pozwolić przedtem wyjść, ale na mecz się przecie wydostałem. Ale ty masz gębę jak kompot.

— To Turkey włożył mi na pysk niechcący naumyślnie. Bardzo się cieszę, że jesteś już zdrow, bo mamy ze sobą do pogadania. Przez ciebie i twoją membranę, smarkaczu, wdepnęliśmy, co się zowie!

— Słyszałem o tym! — odpowiedział chłopiec, chichocząc. — Stary mi opowiadał.

— Ale! Kiedy?

— Ach, chodźmy do budy! Kostka mi spuchnie, jeśli tu będziemy dłużej stali.

— Czekaaj, Turkey, to bardzo ważna rzecz! No więc?

— On przez cały czas, gdy byłem chory, mieszkał u nas.

— A to dlaczego? Żeby tak zaniedbywać liceum! Myśmy myśleli, że on jest w Londynie!

— Ja miałem gorączkę, rozumiecie, i wciąż go do siebie wołałem.

— Co za śmiałość! Przecie ty jesteś eksternista!

— Ale on i tak przyszedł i, prawdę mówiąc, to on uratował mi życie. Jednej nocy, kiedy już miałem gardło zupełnie zatkane — byłbym zdechł, mówił lekarz — wsadzili mi w gardło jakąś rurę, a stary wyssał mi całą materię.

— A bodaj cię! Ja bym tego nie zrobił!

— Doktor powiedział, że sam mógł dostać dyfterytu. Dlatego nie wrócił do liceum, ale mieszkał u nas. Doktor mówił, że gdyby nie on, to bym zdechł do dwudziestu minut.

Tu woźnica, który miał swoje rozkazy, trzasnął z bata i ruszył naprzód, tak że mało chłopców nie przejechał.

— Jak Boga kocham! — zawołał Beetle. — To prawie bohaterstwo!

— Prawie?

Kolano M<sup>r</sup>Turka wjechało mu w tył i posłało go w stronę Stalky'ego, który go natychmiast tym samym sposobem odesłał.

— Powinien byś za to wisieć!

— A stary powinien by dostać za to V. C.<sup>90</sup> Jakże, przecie on do tego czasu mógł umrzeć i być pochowany. Ale nie, nie. Nic z tego! Ho! Ho! Smarował przez płot, jak stara, wesoła sroka! Ekstrabaty, pięćset wierszy i tydzień kozy — wszystko jakby nigdy nic.

<sup>90</sup>Victoria Cross — Krzyż Zwycięstwa. [przypis tłumacza]

— Zdaje mi się, że czytałem o czymś podobnym w jakiejś książce! — przypomniał sobie Beetle. — Jak Boga kocham, co za byczy mąż<sup>91</sup>! Pomyślcie tylko.

— Właśnie myślę! — rzekł M<sup>r</sup>Turk.

To rzekłszy, wydał jakiś tak straszny irlandzki okrzyk, że cała drużyna się za nim obejrzała.

— Cicho bądź! — zawołał Stalky, tańcząc z niecierpliwości.

— Zostawcie to tylko wujowi Stalky'emu, już on się ze starym rozprawić potrafi. Beetle, jeśli choć słówko piśniesz, zanim ci pozwolę, zabiję cię! *Habeo capitem crinibus minimis*. Trzymam go za najkrótsze włosy. A teraz zróbcie takie miny, jakby nigdy nic.

Zbyteczne było jednak wszelkie udawanie, ponieważ szkoła zajęła się najzupełniej wydawaniem gromkich okrzyków na cześć graczy nierozegranego meczu. Chłopcy nie zwracając uwagi na zabłocone trzewiki, kręcili się całymi gromadami dokoła łazienek, podczas kiedy członkowie drużyn myli się. Wrzeszczeli „hura”, ile razy udało im się zobaczyć małego Crandalla, a jeszcze głośniej wołali „hura” po modlitwie, kiedy pojawili się Starzy Chłopcy w strojach wieczorowych i podkręcając swobodnie wasa, zamiast stanąć wśród nauczycieli, ustawili się szeregiem pod ścianą, tuż przed szeregiem prefektów, a rektor wywoływał ich także — *major, minor, tertius*, jak za dawnych czasów.

— Wszystko to bardzo piękne! — odezwał się rektor po obiedzie — ale chłopcy zaczynają wysmykać się trochę z rąk. Obawiam się, że z tego wynikną później nieprzyjemności. Dobrze byś zrobił Crandall, gdybyś poszedł spać jak najwcześniej. Sypialnia będzie na ciebie czekać. Nie wiem, jakie zawrotne wyżyny osiągniesz w swej karierze, ale pewien jestem, że nigdy nie spotkasz się z tak absolutnym uwielbieniem jak dziś!

— Niech się dadzą wypchać z całym uwielbieniem. Wolałbym skończyć cygaro.

— To szczerze złoto — idź, gdzie sława cię czeka, Crandall *minor*<sup>92</sup>.

Jako tło miała tej apoteozie służyć mansarda o dziesięciu łózkach, połączona z trzema sąsiednimi sypialniami, w których wyjęto drzwi. Gaz płonął nad skromnymi, zwyczajnymi umywalniami z białego drzewa sosnowego. Przeciągi gwizdały bezustannie, a przez okna, niezastłonięte roletami, widać było morze prące falami na płaski, piaszczysty brzeg.

— To samo stare łóżko — prawdopodobnie ten sam stary materac — mówił Crandall, ziewając. — Wszystko to samo. Och, ale mnie kości bołą. Nie miałem wyobrażenia, że wy, smarkacze, potraficie tak grać — to mówiąc, roztańił sobie stłuczoną kostkę. — Każdemu z nas dostało się coś na pamiętkę.

Kilka minut minęło, zanim poczuli się jakoś swobodniej; zwłaszcza uczyli się spokojniejszymi, gdy Crandall odwrócił się i, uklękłszy, zmówił pacierz — ceremonia, którą zaniedbywał przez kilka lat.

— Oj, zapomniałem! Bardzo mi przykro, zapomniałem zgasić światło.

— Nic nie szkodzi! — uspokajał go prefekt sypialni. — To należy do Worthingtona.

Dwunastoletni chłopczek w koszuli nocnej, czekający, kiedy wreszcie on będzie mógł pokazać się na widowni, wyskoczył z łóżka i zgasił światło, wspinając się po umywalniach.

— A co robicie, gdy on śpi? — zapytał Crandall, śmiejąc się.

— Pcha mu się mokrą chustką pod szyję.

— Za moich czasów to była mokra gąbka. A to co? Co się dzieje?

Ciemności napełniły się nagle szeptami, szelestem ciągnionych po ziemi dywaników, odgłosem bosych stóp biegnących po gołej podłodze, protestami, chichotem, groźbami.

— Siedźże raz spokojnie, idioto jeden...! No, to siadaj na ziemi... Słowo ci daję, że na moim łóżku siedzieć nie będziesz... Bo mi stłuczysz porcelanę w gębie!

— Sta... Corkran mówił — zaczął prefekt, intonacją głosu zaznaczając, iż uważa to za nieprawdopodobną bezczelność ze strony Stalky'ego — otóż mówił, że może pan zechce opowiedzieć nam, jak to było z ciałem Duncana.

— Prosimy, prosimy bardzo! — odezwał się błagalny szept.

— Nie ma nic do opowiadania. Po kiego diabła powyłaziliście z łóżek i kucacie na takim zimnie?

— Niech pan na nas nie zważa! Nic nie szkodzi! — rozległy się głosy. — Prosimy opowiedzieć, jak to było z Porcusem.

<sup>91</sup>*byczy mąż* (daw. pot.) — wspaniały facet. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*minor* (łac.) — młodszy, mniejszy. [przypis edytorski]

Wobec tego Crandall obrócił się na poduszce i zaczął mówić do niewidzialnego pokolenia.

— Pewnego dnia — jakoś przed trzema miesiącami — Duncan komenderował eskortą konwojującą kasę — wóz pełen rupii przeznaczonych na żołd dla żołnierzy, pięć tysięcy rupii w srebrze. Wysłano go z tą kasą do miejscowości zwanej fort Pearson, niedaleko Kalabaghu...

— Ja się tam urodziłem — zapiszczał jakiś szkrab. — Fort nazywa się tak po moim stryju...

— Kusz ty razem ze swoim stryjem! Proszę na niego nie zważać, Crandall!

— Nic nie szkodzi. Otóż Afrydzi wywłachali jakoś, że ta kasa jest w drodze, wobec tego zrobili czym prędzej zasadzkę na całe towarzystwo parę mil przed fortem i odcięli eskortę. Duncan został ranny, a eskorta uciekła. On miał ogółem dwudziestu sipajów, a Afrydów było bardzo dużo. Przypadkiem ja byłem właśnie komendantem fortu. Prawdę mówiąc, słyszałem strzelaninę i już chciałem wyjść zobaczyć, co się tam dzieje, kiedy nagle nadbiegli ludzie Duncana. Wobec tego poszliśmy naprzód razem. Opowiadali mi coś o jakimś oficerze, ale ja nie zdawałem sobie sprawy z sytuacji, póki wreszcie nie ujrzałem między kołami wozu, pozostawionego na równinie, kolegi, który oparty na łokciu strzelał raz po raz z rewolweru. Widzicie, eskorta porzuciła wóz, a Afrydzi — ludzie nadzwyczaj ostrożni — byli przekonani, że ta ucieczka, to tylko podstęp — coś w rodzaju pułapki, rozumiecie, i że wóz służy za przynętę. Dlatego zostawili biednego Duncana tam, gdzie padł. Ale jak tylko zobaczyli, że nas jest tak mało, zaczęli się z nami ścigać — każda strona chciała pierwsza Duncana dopaść. Myśmy lecieli jak wariaci, oni lecieli, wreszcie myśmy przyszedli do mety pierwsi i po krótkiej rąbaninie oni uciekli. Na myśl mi nawet nie przyszło, że to mógł być któryś z naszych, aż dopiero kiedy stanąłem przy nim. Duncanów jest w wojsku bez liku, a oprócz tego samo nazwisko nic mi nie mówiło. Porcus był prawie niezmienny. Miał przestrzelone płuca, biedak, i strasznie chciało mu się pić. Dałem mu się napić, siadłem przy nim i śmieszna rzecz, on mówi: „Hallo, Dereń!” — a ja powiadam: „Hallo, Porcus, myślę, że to nie będzie nic wielkiego”, czy coś podobnego. Ale on, biedak, za parę chwil już nie żył — nawet głowy z moich kolan nie podniósł... Mówię wam, chłopcy, pozaziębiacie się na śmierć. Lepiej idźcie już spać.

— Zaraz! W tej chwili! Ale pańskie rany? W jaki sposób pana tak pocięto?

— Kiedyśmy nieśli ciało do fortu. Oni znowu wrócili, rzucili się na nas i musieliśmy się przez nich przebijając.

— Zabił pan kogo?

— Oczywiście. Cóż za dziw? Dobranoc.

— Dobranoc. Dziękujemy panu, Crandall. Strasznie dziękujemy. Dobranoc.

Niewidzialny tłum rozszedł się. Chłopcy w jego sypialni zagrzebali się do łóżek i leżeli przez jakiś czas w milczeniu.

— Panie Crandall! — rzekł Stalky głosem pełnym niesłuchanego szacunku. — Czy mógłbym pana o coś zapytać?

— Cóż takiego?

— Wyobraźmy sobie, że jakiś chłopak znajduje drugiego zdychającego na dyfteryt, z gardłem zupełnie zakorkowanym, no i tymczasem choremu chłopcu wbijają taką rurę w gardło, a chłopiec wysię całą materię — co by pan na to powiedział?

— Hm! — namyślał się Crandall. — Ja raz gdzieś o podobnym wypadku słyszałem, ale to był doktor. Zrobił to dla kobiety.

— Ale to nie była żadna kobieta. To był tylko chłopiec!

— Tym piękniej. Jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie człowiek może zrobić. Ale dlaczego o to pytasz?

— Nie, tak sobie; słyszałem o jednym chłopcu, który to zrobił.

— O, to z niego dzielny chłop.

— A czy *pan* by się tego spietrał?

— Myślę sobie! Każdy by się spietrał. Cóż za przyjemność ni stąd, ni zowąd umierać, jakby nigdy nic, na dyfteryt...

— No, to żebyście sobie wiedzieli... A bod... Słuchaj!

Zdanie przeszło w charczenie, bo Stalky wyskoczył ze swego łóżka i wraz z M<sup>r</sup>Turkiem usiadł na głowie Beetle'owi, który omal nie wysadził miny w powietrze.

Dzień następny, ostatni dzień nauki, przeznaczony na zupełnie nic nieznaczące egzaminy, rozpoczął się od swarów i niepokojów. Mr. King dowiedział się, że cała jego klasa — w długim szeregu budynków sąsiadujących z klasą Prouta — otworzyła drzwi oddzielające od siebie obie sypialnie i poszła słuchać opowiadania Crandalla. Oburzony, dotknięty do żywego, biadający, czym prędzej pośpieszył ze skargą do rektora, albowiem co się jego tyczy, to on nigdy nie był i nie jest zwolennikiem pozwalania tak zwanym światowym młodym ludziom na zarażanie ducha młodzieży.

— Zupełnie słusznie! — odpowiedział rektor, obiecując, że wejrzy w tę sprawę.

— Bardzo mi przykro! — rzekł Crandall zmartwiony. — Ale ja na pewno nie powiedziałem im nic takiego, czego by słyszeć nie powinni. Nie chciałbym, żeby z mego powodu mieli nieprzyjemności.

— Tss! To nie chłopcy robią zamieszanie, ale nauczyciele — odrzekł rektor, ledwo dostrzegalnie mrugając okiem. — Prout i King są przeciwni licznym zebraniom w sypialniach — cóż zrobić, muszę wziąć stronę dyrektorów. Z drugiej strony niepodobieństwo, abym w ostatni dzień kursu karał tylko dwie klasy. Trzeba być sprawiedliwym i ukarać wszystkich. Zrobimy to tak: oni mają z pewnością jakieś zadanie na święta, którego żaden z nich, oczywiście, ani nie tknie. Otóż dziś wieczorem całej szkole, wyjąwszy prefektów i dorosłych, którzy mają własne pracownie, każemy robić preparację, zaś sala nauczycielska musi dostarczyć nauczyciela, który by chłopców inwigilował. Jak sprawiedliwość, to sprawiedliwość.

— Preparacja w ostatni dzień nauki? — Aj! — wykrzyknął Crandall, myśląc o własnej, burzliwej młodości. — Ręczę, że będą awantury!

Chłopcy, którzy uganiali się już wśród spakowanych kufrów, pokrzykiwali radośnie w korytarzach lub też wykonywali w salach tańce wojenne, przyjęli tę wiadomość z osłupieniem i wściekłością. Żadna szkoła na świecie nie robiła preparacji wieczorem w przeddzień końca kursu. To było potworne, okrutne, sprzeczne z prawem, religią, moralnością. Owszem, pójdą do klas, wezmą ze sobą wakacyjne zadania, ale — tu uśmiechali się i zaczęli spekulować, kogo ciało nauczycielskie wyśle przeciw nim. Los padł na Masona, prostodusznego i kochającego młodzież entuzjastę. Nikt inny nie chciał objąć tej preparacji, bo w liceum brakowało zbawiennego wpływu tradycji i przyzwyczajeni do uregulowanej rutyny zakładów starszych nauczyciele twierdzili czasem, że w tej szkole jest za mało dyscypliny. Cztery długie klasy, w których pracowali wszyscy uczniowie poniżej prefektów i tych, którzy mieli własne pracownie, przyjęły go gromkimi okrzykami radości. Zanim zdołał dwa razy odkaslnąć, uszczęśliwiono go rymowanym wyciągiem z prawa małżeńskiego Wielkiej Brytanii, zredagowanym przez arcykapłana izraelskiego i opatrzonym uwagami wodza zastępów. Niższe klasy przypomniały mu, że to już ostatni dzień i że to wszystko tylko żarty. Kiedy ich chciał wylącać, niższa czwarta i wyższa trzecia zaczęły naraz głośno i nader realistycznie udawać wymioty. Wobec tego Mr. Mason wdał się z nimi najzbyteczniej w świecie w polemikę, a wówczas jakiś zuchwały drab, siedzący w ostatnich ławkach, dał mu „pięćdziesiąt wierszy za niepoprawny sposób wyrażania się”. Masona, który pysznił się czystością swej angielszczyzny, ukłuło to do żywego, kiedy jednak zaczął szukać winowajcy, niższa i wyższa druga, oddalone o trzy klasy, zgasiły gaz i zaczęły rzucać kałamarzami. Była to niezmiernie zabawna i wesoła preparacja. Prefekci i zamknięci w swych pracowniach uczniowie słyszeli z daleka jej odgłosy, siedzące zaś przy deserze ciało nauczycielskie uśmiechało się.

Stalky czekał z zegarkiem w ręku aż do wpół do ósmej.

— Jeśli to potrwa dłużej, rektor przyjdzie z pewnością — odezwał się. — Trzeba będzie naprzód zawiadomić pracownie, potem klasy. Jazda!

Nie pozwolił dramatyzować Beetle'owi ani cedzić słówka przez zęby M<sup>r</sup>Turkowi. Pędzili od pracowni do pracowni, mówili, co mieli do powiedzenia, i nie czekając na dalsze pytania, wybiegali, jak tylko spostrzegli, że ich zrozumiano. A równocześnie huk nieszczęsnej preparacji rósł i potężniał. Przez uchylone drzwi od pracowni Flinta widzieli Masona pędzącego ku korytarzowi.

— Poszedł do starego! Prędko! Chodźcie!

Zadyszani wpadli do sali Nr 12.

— Idzie! Idzie! Idzie!

Na to hasło zgiełk się natychmiast uciszył, zaś Stalky, wskoczywszy na ławkę, mówił prędko:

— On przyszedł i wyssał dyfteryryczną materię z gardła Stettsona starszego, jak my myśleliśmy, że był w mieście. Stulcie pyski, hołoto! Stettson starszy byłby kipnął, gdyby stary tego nie zrobił. Stary mógł się także na śmierć zarazić. Crandall mówi, że to największe bohaterstwo, jakiego człowiek może dokazać i — głos jego załamał się — stary nie wie, że my wiemy!

M<sup>r</sup>Turk i Beetle skacząc z ławki na ławkę, ponieśli tę wieść niższymi klasom. Nastąpiła pauza, po czym wszedł nagle rektor, za nim Mason. Do ustalonego porządku rzeczy należało, że w jego obecności żaden chłopak nie śmiał ani pisnąć, ani drgnąć. Toteż rektor był pewien, że zastanie pełną bojaźni i szacunku ciszę. Tymczasem powitało go głośnie „hura” — nieustające i coraz głośniejsze. Jako człowiek mądry, natychmiast wyszedł, zaś chłopcy umilkli i siedzieli trochę zaniepokojeni.

— Nic się nie bójcie! — wołał Stalky. — Nic wam nie zrobi. To nie to, co wtedy, kiedyśmy to połamali pulpity, gdy stary Carleton miał preparację. Dalej, ryczcie! Słyszycie, jak wołają „hura” w pracowniach?

Wyleciał z przeraźliwym okrzykiem, aby się przekonać, że Flint i prefekci wrzeszczą „hura”, od którego aż mury drżały.

Jeśli rektora mianowanego przez anonimowe towarzystwo akcyjne, dające cztery od sta, w nabożnej drodze na modlitwę witają głośnie okrzyki „hura”, wydawane nie tylko przez cztery klasy chłopców oczekujących kary, ale nawet przez jego zaufanych prefektów, rektor może albo zażądać wyjaśnienia, albo też z godnością iść dalej swoją drogą, podczas gdy najstarszy dyrektor, z oczami płonącymi jak u rozdrażnionego kota, będzie tłumaczył pobladłemu i drżącemu nauczycielowi matematyki, że pewne metody — nie jego, Bogu dzięki! — muszą pociągać za sobą odpowiednie następstwa. Starzy Chłopcy przez delikatność nie stawili się na apelu. Do uczniów ustawionych szeregiem wzdłuż ściany sali gimnastycznej przemówił rektor lodowatym tonem:

— Nieczęsto się zdarza, żebym was nie rozumiał; wyznaję jednak, że tak jest dzisiejszego wieczoru. Kilku z was, po swych idiotycznych błazeństwach podczas preparacji, przyszło do przekonania, że jestem osobą godną witania okrzykami — „hura”. Otóż ja wam pokażę, że tak nie jest.

Raz — dwa — trzy — huknęło „hura”, przeczące tym słowom, i rektor aż poczerwieniał w płomieniu lampy gazowej.

— Dość. Nic tym nie wygracie. Mali chłopcy (niższe liceum nie lubiło tego sposobu przemawiania) napiszą mi podczas świąt po trzysta wierszy na głowę. Resztę im daruję. Uczniowie wyższego liceum napiszą mi podczas świąt po tysiąc wierszy na głowę, które mi doręczą wieczorem w dniu powrotu do zakładu. Prócz tego...

— Jessus, co za nienasycony żarłok! — szepnął Stalky.

— ...za zachowanie się wobec Mr. Masona, jutro, podczas wypłacania pieniędzy na drogę, całe wyższe liceum otrzyma ode mnie chłostę. Również chłostę otrzymają trzej chłopcy z pracowni, których zastałem w klasie skaczących po ławkach. Prefekci zostaną po apelu.

Szkoła wyszła w milczeniu, ale chłopcy nie rozchodzili się, lecz stali gromadkami niedaleko drzwi sali gimnastycznej, ciekawi, co dalej będzie.

— A teraz, Flint — mówił rektor — czy zechcesz łaskawie wytłumaczyć mi się ze swego sposobu postępowania?

— Panie rektorze! — rzekł Flint doprowadzony do ostateczności — jeśli pan z narażeniem własnego życia ocali życie komuś, co umiera na dyfteryt, a szkoła o tym się dowie — nie ma się czemu dziwić.

— A, teraz rozumiem! Więc to nie znaczyło... a to dopiero! Ostatecznie, mogę przez palce patrzeć na psie figle, ale nie mogę tolerować zuchwalstwa! W każdym razie to nie usprawiedliwia ich zachowania się wobec Mr. Masona. Wiersze im tym razem daruję, pamiętajcie sobie; chłosta zostaje.

Gdy rozkaz ten podano do publicznej wiadomości, cała szkoła w podziwie i z uwielbieniem patrzyła za rektorem zmierzającym ku swemu domowi. Oto człowiek niezwykle! W rzadkich wypadkach, gdy sam bił w skórę, czynił to nadzwyczaj artystycznie — egzekucja stu chłopców, to będzie po prostu epopeja — rzecz szalona!

— Wszystko w porządku, *my* już wiemy — mówił Crandall, kiedy rektor, pomrukując z cicha, przebiegał się w pokoju do palenia. — Domyśliłem się wszystkiego z rozmowy z naszym wczorajszym zastępcą. Nie wiedziałem tylko, że to pana miał na myśli. Cwany hultaj! Piegowaty — a oczy takie! — Zdaje mi się, nazywa się Corkran.

— Ja go znam doskonale, dziękuję ci — odpowiedział rektor, a po namyśle dodał — tak, ja bym ich ukarał, nawet gdybym ich nie widział.

— Gdyby chłopcy nie byli zanadto podnieceni, my sami wynieśliśmy pana na rękach — odezwał się pionier. — Ale, Bates, jakże pan mogłeś! Mogłeś się pan sam zarazić i cóż byśmy wówczas poczęli!

— Ja zawsze wiedziałem, że on wart dwudziestu takich jak *my*. Teraz jestem zupełnie pewny! — rzekł komendant szwadronu, szukając wzrokiem śmiałka, który by chciał mu zaprzeczyć.

— Ale ten człowiek nie nadaje się do prowadzenia szkoły! Bates-sahib, niech nam pan święcie przyrzeknie, że coś podobnego więcej się nie powtórzy. My nie będziemy mogli spokojnie odjechać, jeśli się pan zechce tak narażać.

— Bates-sahib, ale przecie sam jeden całemu wyższemu liceum w skórę pan nie da? — zawołał Crandall.

— Mogę patrzeć przez palce na *psie figle*, jak to już powiedziałem, ale nie mogę tolerować *zuchwałstwa*. Mason ma tu i tak ciężkie życie mimo mego poparcia. Prócz tego panowie z Golf-klubu słyszeli ich śpiewających „Aarona” i „Mojżesza”. Będą na to znów skargi od rodziców eksternistów. Przyzwoitość musi być zachowana.

— W danym razie *my* panu pomożemy — oświadczyli goście jednomyślnie.

\*

Uczniowie wyższego liceum brali w skórę jeden po drugim, za porządkiem. Na dole, na gościńcu czekały omnibusy, które miały ich zawieźć na stację, pieniądze na podróż leżały na stole, zaś oni przychodzili kolejno z bluzami narzuconymi na ramiona.

Rektor zaczął od Stalky’ego, M<sup>r</sup>Turka i Beetle’a. Wygarbował im skórę sumiennie.

— A tu wasze pieniądze na drogę. Do widzenia i wesołych świąt.

— Do widzenia. Dziękujemy panu. Do widzenia.

Uścisnęli sobie ręce.

— Och, tym razem zamiar nie przewyższył wykonania. Zebraliśmy całą śmietankę! — zauważył Stalky. — Zaczekajmy, aż wyjdzie kilku chłopców, teraz dopiero zaczniemy mu krzyczeć „hura”!

— Nie krępujcie się nami! — oświadczył im imieniem Starych Chłopców Crandall. — My zaczynamy w tej chwili.

Wszystko było w porządku, dopóki „hura” rozlegało się w samym korytarzu, ale gdy tylko ogarnęło salę gimnastyczną, w której chłopcy czekali na swoją kolej, rozbrojony rektor dał spokój egzekucji, a pozostali rzucili się do niego, aby się z nim pożegnać.

A potem już na serio oddali się krzyczeniu „hura”, tak że trzeba było na migi przywoływać omnibusy.

— A nie mówiłem wam, że ja sobie z nim zawsze dam radę? — chępił się Stalky, kiedy omnibus skręcał w ciasną ulicę Northam. — A teraz wszyscy razem — wuj Stalky dyryguje:

A tak się żyje w armii  
I tak się żyje we flocie.  
Bo to wynosimy ze szkół —  
Niechże zaprzeczy nam kto!

## ICH NARODOWA FLAGA

Była to zima i ranne zimno przenikało do szpiku kości. Naturalnie Stalky i Beetle — bo M<sup>r</sup>Turk należał do tych nieznośnych ludzi, którzy w najgorszych nawet warunkach bardzo dbają o swą toaletę — drzemali aż do ostatniej chwili, w której trzeba już było być w oświetlonej gazem sali gimnastycznej przy apelu. Skutkiem tego, oczywiście, często się



spóźniali; a ponieważ każde spóźnienie zaznaczano, a za trzy spóźnienia na tydzień dawano godzinę musztry za karę, rozumie się, całe godziny spędzali pod komendą sierżanta. Foxy musztrował marudów z całą pompą swego dawnego placu musztry.

— Nie wyobrażajcie sobie, że mi to sprawia jakąś przyjemność — brzmiała niezmiennie jego przemowa. — Byłoby mi znacznie przyjemniej siedzieć w swym pokoju i palić spokojnie fajkę — ale jak widzę, dziś po południu mamy znów w rękach naszą Starą Brygadę. Żebym ja pana mógł mieć na stałe, panie Corkran! — mówił, wyrównując swój oddział.

— Trzymacie mnie przecie już od sześciu tygodni w swych łapach, stary żarłoku! Odlicz!

— Tylko nie tak nagle, bardzo proszę. Tu *ja* komenderuję. W lewo — zwrot! Wolnym krokiem — marsz!

Dwudziestu pięciu wiecznie spóźniających się marudów, wytrawnych starych grzeszników pomaszzerowało gęsiego na salę gimnastyczną.

— Spo — kojnie, bez hałasu — ciężki wziąć; spo — kojnie wró — cić naaa — swoje miej — sca! Spokojnie: odlicz. Numery nieparzyste: wystąp. Numery parzyste pozostają na miejscu. Tak. Teraz: pochyl się naprzód — raz — dwa... —

Ciążki podnosiły się i opadały, zderzały się i rozlatywały się jak jeden. Chłopcy mieli w tym trudnym ćwiczeniu wprawę.

— Bardzo dobrze. Będzie mi naprawdę przykro, jak który z was znówu zacznie być punktualny. Spo — kojnie po — ło — żyć ciężki na miejscu. Spróbujemy trochę zwykłej musztry.

— Co za nudy! Na pamięć już umiem tę musztrę!

— Byłby wstyd, gdybyś jej pan nie umiał, panie Corkran! A mimo to nie jest to bynajmniej tak łatwa rzecz, jak się zdaje.

— Założmy się o szylinga, Foxy, że potrafię tak samo dobrze poprowadzić oddział jak i wy.

— Potem zobaczymy. A teraz spróbujcie sobie wyobrazić, że nie jesteście wcale jakimś tam wiecznie spóźniającymi się marudami, lecz półkompanią na placu musztry, a ja jestem oficerem, który tą półkompanią komenderuje. Nie ma się z czego śmiać. Jeśli się wam poszczęści, większej części z was połowa życia zejdzie na musztrze. Zadajcie sobie trochę trudu, pokażcie, co umiecie. Bóg świadkiem i tak dość długo już was uczę...

Zrobili czwórki, maszerowali, zrobili wsteczny zwrot w marszu, w lewo front, zachodzili, wyciągniętym szeregiem poddając się zupełnie urokowi uregulowanego ruchu. Foxy słusznie powiedział: uczyli się tego już długo.

Drzwi otworzyły się naraz i pokazał się w nich M<sup>r</sup>Turk prowadzący jakiegoś starszego pana.

Sierżant czuwający właśnie nad zachodzeniem nie zauważył ich.

— Nieźle! — mruknął. — Wcale nieźle. Mr. Swayne, podczas zachodzenia szarża na skrzydle *markuje* tylko krok. A teraz, Mr. Corkran! Pan mówi, że pan umie musztrę? Niech mi pan zrobi tę przyjemność, proszę objąć komendę i zmieniając od końca wszystkie moje rozkazy, proszę przywrócić oddział do poprzedniej formacji.

— A to co takiego? Co to jest? — wykrzyknął rozkazująco gość.

— To... trochę musztry! — wyjąkał Foxy, nie mówiąc nic o jej pochodzeniu.

— Znakomicie — znakomicie! Chciałbym, żeby jej było więcej! — zawołał wesoło. — Ale proszę sobie nie przeszkadzać. Pan właśnie chciał komuś oddać komendę, prawda?

Usiadł, wyrzucając z ust klęby pary.

— Poszkapię się, poszkapię się z całą pewnością, czuję to! — szepnął Stalky, a dolatujący z drugiego szeregu szept, iż starszy pan, to generał Collinson, członek rady nadzorczej liceum, bynajmniej na zmniejszenie jego tremy nie wpłynął.

— Kto taki?

— Collinson, komandor Orderu Łażni. Był komendantem Pompadourów, starego pułku mego ojca — podpowiadał Swayne starszy.

— Nie śpiesz się! — odezwał się gość. — Ja dobrze wiem, co to znaczy. Komenderujesz pierwszy raz w życiu?

— Tak jest, panie generale! — Stalky niezręcznie wciągnął w płuca trochę powietrza. — Bacność! Równaj się!

Echo własnego głosu przywróciło mu pewność siebie.

Po kilku obrotach pluton powrócił do dawnej formacji. Urzędowa godzina kary dawno już minęła, ale nikt o tym nie myślał. Wszyscy szli na rękę Stalky'emu, który aż się pocił ze strachu, aby mu się głos nie załamał.

— Ten chłopak przynosi wam zaszczyt, sierżancie — zauważył gość. — Oto dobry instruktor, dobra musztra i doskonały materiał. Jednego tylko nie rozumiem. Byłem właśnie na śniadaniu u rektora, a on nie wspomniał mi ani słowem, że wy tu macie korpus kadecki.

— Bo nie mamy, panie generale. To tylko trochę musztry.

— Ale zaraz widać, że oni to lubią! — odezwał się po raz pierwszy M<sup>r</sup>Turk z figlarnym błyskiem w głębokich oczach.

— Dlaczego ty nie stajesz wraz z nimi w szeregu, Willy?

— Niestety, jestem na to za mało punktualny! — odpowiedział M<sup>r</sup>Turk. — Sierżant wybiera co najlepszych.

— Rozejść się! — krzyknął sierżant, bojąc się eksplozji w szeregach. — Ja... ja muszę panu generałowi powiedzieć, że...

— Ale wy możecie mieć korpus kadecki! — generał szedł za biegiem własnych myśli. — I jeśli mój głos w radzie nadzorczej posiada jakieś znaczenie, wy ten korpus mieć będziecie. Dawno już nic nie sprawiło mi takiej radości! Chłopcy, ożywieni takim duchem, jak wy, powinni całej szkole świecić przykładem.

— Toteż oni świecą! — potwierdził M<sup>r</sup>Turk.

— Boże, to już tak późno! Mój powóz czeka już pół godziny, muszę się śpieszyć. Nie ma to jak przyjść i zobaczyć samemu. Którędy tu bliżej do wyjścia? Willy, pokażesz mi? Jak się nazywa ten chłopak, który komenderował musztrą?

— Zdaje mi się, Corkran.

— Powinieneś go lepiej znać. Z takimi chłopcami powinieneś się zaprzyjaźnić. Niezwykły chłopak. I co za bajeczny widok: dwudziestu pięciu chłopców, którzy, jakby się zdawało, powinni by raczej grać w palanta (było to w samym środku zimy, ale ludzie dorośli, zwłaszcza zaś tacy, którzy przebywali długo w obcych krajach, dopuszczają się tych małych błędów, dlatego też i M<sup>r</sup>Turk nie poprawiał go) — musztrujących się dla samej miłości musztry. Szkoda byłoby zmarnować tak doskonały materiał. Ale mnie się zdaje, że ja przecie potrafię postawić na swoim.

— Któż to jest, ten twój przyjaciel z białymi bokobrodami? — zapytał Stalky, kiedy M<sup>r</sup>Turk wrócił do pracowni.

— Generał Collinson. Bywa u nas czasem na polowaniu. Bardzo zacny staruszek. Radził mi, żebym się bliżej z tobą zaznajomił, Stalky.

— Dał ci co?

M<sup>r</sup>Turk pokazał całego suwerena.

— Ach! — wykrzyknął Stalky, anektując go jako kasjer. — To się dopiero nażremy! Ale co za bezczelność, Turkey, błagować o naszej punktualności i naszym zapale!

— To stary nie wiedział, żeśmy mieli musztrę za karę?

— Ani mi się śniło. Przyjechał na śniadanie do starego. Spotkałem go potem, jak się włóczył po zakładzie i wpadłem na myśl pokazania mu naszej musztry. Widząc, że mu się to podoba, nie chciałem go peszyć; nie byłby mi dał suwerena.

— Ale się stary Foxy cieszył, widzieliście? Czerwony był aż po uszy! — wtrącił Beetle. — To był dla niego triumf nadzwyczajny. Popisaliśmy się, co się nazywa. Chodźmy teraz do Keyte'a, kupimy sobie kakao i kiełbasek.

Po drodze dogonili Foxy'ego śpieszącego opowiedzieć swą przygodę Keyte'owi, byłemu wachmistrzowi kawalerii, obecnie staremu weteranowi, miejscowemu poczmistrzowi i właścicielowi sklepu z towarami spożywczymi.

— Powinniście nam być wdzięczni! — rzekł Stalky znacząco.

— Jestem serdecznie wdzięczny, panie Corkran. W służbie musiałem nieraz od czasu do czasu zrobić panu na złość, ale poza służbą — rozumie pan, przekraczanie granic, palenie — jest pan jedynym młodym człowiekiem, na którego pomoc mogę liczyć, jeśli się przypadkiem potknę. Komendował pan doskonale, ja to panu mówię. A teraz, gdyby pan chciał w przyszłości regularnie...

— Ależ on musiałby się dlatego spóźnić trzy razy na tydzień! — zawołał Beetle. — Nie myślicie chyba, Foxy, że on będzie się stale spóźniał dla waszej przyjemności.

— To prawda! — westchnął Foxy. — Ale gdyby pan Stalky mógł się jakoś urządzić i pan też, panie Beetle — dałoby wam to wielkie „for” na wypadek założenia u nas korpusu kadetów. Mnie się zdaje, że generał o to się postara.

Spustoszyli sklep Keyte’a sami, przez nikogo nie krępowani, bo stary, który znał ich zresztą dobrze, najzupełniej zajęty był rozmową z Foxy’em.

— Według mego rachunku mamy płacić siedem szylingów, sześć szóstek! — wołał Stalky na drugi koniec sklepu przez ladę. — Ale lepiej, żeby pan sam policzył.

— Nie potrzeba! Ja panu wierzę na słowo, panie Corkran. — Mówicie, sierżancie, że służył w Pompadourach. Myśmy raz stali razem z nimi na garnizonie — w Umbalii, jeśli się nie mylę...

— Panie Keyte, czy te konserwy z szynki i ozora kosztują szylinga i osiem szóstek, czy szylinga i cztery szóstki?

— Niech będzie szylinga i cztery szóstki, panie Corkran. Rozumie się, sierżancie, chętnie bym na to czasem jaką godzinkę poświęcił, ale jestem już za stary. Ale bardzo bym chciał widzieć ich podczas musztry.

— Chodź, Stalky! — zawołał M<sup>r</sup>Turk. — On cię nie słucha. Zostaw mu pieniądze na ladzie.

— Ośle jakiś, przecie ja muszę zmienić suwerena! Keyte! Szeregowiec Keyte! Kapral Keyte! Plutonowy Keyte! Wachmistrz Keyte, zmienisz mi pan suwerena?

— Owszem — naturalnie. Siedem szylingów i sześć...

Zapatrzył się bezmyślnie przed siebie, posunął srebro w stronę Stalky’ego i zniknął w ciemnym pokoiku za sklepem.

— Będą gadali o Wielkim Buncie aż do wieczora.

— Stary Keyte był pod Sobraonem — odpowiedział Stalky. — Warto posłuchać, jak czasem zacznie opowiadać! Foxy ani się umył do niego.

\*

Twarz rektora, jak zwykle nieodgadniona, pochylona była nad stosem listów.

— I cóż pan o tym myślisz? — rzekł wreszcie do wielbego Johna.

— Bardzo dobra myśl. Nie ulega kwestii — myśl jest świetna.

— Przypuśćmy. Więc?

— Jednakże ja miałbym pewne wątpliwości — oto wszystko. Im lepiej poznaję chłopców, tym trudniej przychodzi mi określić ich sposób myślenia. Ale bardzo bym się zdziwił, gdyby ten plan doszedł do skutku. To... to nie leży w charakterze szkoły. My faktycznie przygotowujemy ludzi do służby wojskowej.

— Moim obowiązkiem — w tym wypadku jest uczynić zadość życzeniom rady nadzorczej. Rada nadzorcza domaga się ochotniczego korpusu kadetów. I my im ten ochotniczy korpus kadetów damy. Zaznaczyłem jednakże, że szkoda byłoby wydawać pieniądze na mundury, zanim się należycie nie wyćwiczymy w musztrze. Generał Collinson przysłał nam pięćdziesiąt śmierniośnych karabinów — nazywa je skrótami Snidersami — wszystkie są zupełnie do użycia.

— O, tak, to jest konieczne w szkole, która w tak wielkich rozmiarach posługuje się pistoletami salonowymi — rzekł z uśmiechem wielbny John.

— Otóż — nie naraża nas to na żaden koszt — wyjąwszy stratę czasu sierżanta.

— Ale jeżeli jemu się nie uda, pan będzie skompromitowany.

— O, to się rozumie. Więc dziś po południu każę w korytarzu umieścić ogłoszenie, a...

— A ja zaczekam na rezultat.

\*

— Panowie, proszę nie dotykać stojaków!

Sierżant Foxy szamotał się z podnieconym tłumem w sali gimnastycznej.

— Nie, panie Swayne, nawet Snidersowi przeznaczonemu do ćwiczeń nie wychodzi na zdrowie, gdy ktoś wciąż kłapie jego kurkiem. Tak jest, mundury przyjdą później, jak już będziemy coś niecoś umieli; na razie poprzestaniemy na musztrze i ćwiczeniach. Przyszędłem tu, aby zapisać nazwiska ochotników. — Połóż pan ten karabin, panie Hogan!

— Cóż ty zrobisz, Beetle? — zapytał jakiś głos.

— Tyle musztry, ile mnie potrzeba, ja już umiem.

— Jak to? Po tym, czego się już nauczyłeś? Dajże spokój! Nie bądź kretyńcem! Przecież za tydzień zostaniesz kapralem! — wołał Stalky.

— Ja nie idę do wojska! — Beetle poprawił swe okulary.

— Zaczekajcie chwilę, Foxy — wołał Slogen — Gdzie się musztra będzie odbywała?

— Tu, w sali gimnastycznej, zanim się tyle nauczymy, że będziemy mogli wyjść na ulicę.

— Żeby się na nas mogły gapić wszystkie matolki z Northam? Nie ma tak dobrze, Foxibus!

— Zgoda, nie będziemy się o to kłócić. Naprzód musztra — potem zobaczymy.

— Hallo! — wołał Ansell z domu Macréi, łokciami torując sobie drogę przez tłum.

— Co jest z tym cholerycznym korpusem kadetów?

— Oszczędzi panu masę czasu w Sandhurst — odpowiedział żywo sierżant. — Zdobyszy tu podstawowe wiadomości, zostanie pan w Sandhurst w krótkim czasie od ćwiczeń zwolniony.

— Hm! Nie mam nic przeciw nauczaniu się musztry, ale nie chce mi się paradować jak dziki osioł po okolicy z pukawką do zabawy. Perowne, coź zrobimy? Hogan się zapisuje.

— Nie wiem, czy będę miał czas — odpowiedział Perowne. — Mam tyle nadliczbowych lekcji.

— Uważaj to po prostu za jeszcze jedną lekcję nadliczbową — mówił Ansell. — Przy tym regulamin zbyt wiele czasu nam nie zabierze.

— Naturalnie, to się rozumie, ale maszerowanie wobec publiki? — rzekł Hogan, nie przewidując, że za trzy lata przyjdzie mu umrzeć na udar słoneczny w Burmie, poza obrębem fortu Minhla.

— Boisz się, że ci w mundurze nie będzie do twarzy, żółta małpo? — zaśmiał się drwiąco M<sup>r</sup>Turk.

— Stul paszczę, M<sup>r</sup>Turk, ty do wojska nie idziesz!

— Ja sam nie idę, ale za to przyślę wam zastępców. Hej! Morrel i Wake, wy dwa mikrusy przy stojakach, zaraz mi się zapisać.

Oblewając się rumieńcem — brak im było odwagi, aby się samym zgłosić — szkraby posunęły się ku sierżantowi.

— Ależ ja nie potrzebuję malców — przynajmniej na początek — krzywił się sierżant. — Chciałbym... wołałbym kilku ze Starej Brygady — niepunktualnych — zrobić z nich kadre...

— Nie trzeba być niewdzięcznym, sierżancie! Oni są prawie tak wielcy jak ci, których dziś bierze się do wojska.

M<sup>r</sup>Turk czytał ówczesne dzienniki, był w ogóle dobrze poinformowany i korzystał z tego, gdy komuś chciał dokuczyć, jednakże nie wiedział, że Wake, zanim skończy trzydzieści lat, zostanie *bimbaszim* w egipskiej armii.

Hogen, Swayne, Stalky, Perowne i Ansell naradzali się, stojąc przy koniu, przy czym Stalky jak zwykle przewodniczył. Sierżant przyglądał się im niespokojnie, wiedząc, że większość pójdzie za nimi.

— Foxy'emu nie podobają się moi rekruci — rzekł M<sup>r</sup>Turk do Beetle'a żałośnie. — Może ty mu paru ochotników zwerbujesz.

Pełen dobrej woli Beetle wyłowił jeszcze dwu mikrusów — nie większych od karabina.

— Macie, Foxy! Oto mięso dla armat! Idźcie się bić za wasze ogniska domowe i ojczyznę, bydłaki małe — i to jak najprędzej.

— A Foxy mimo wszystko nie jest jeszcze zadowolony! — zauważył M<sup>r</sup>Turk.

A tak się żyje w armii

I tak się żyje we flocie.

Beetle zawtórował mu. Znalezionej w starym roczniku „Puncha” poemat zdawał się znakomicie ilustrować sytuację.

A żeśmy przez to wpadli.  
Nikt chyba nie zaprzeczy!

— Panicze, proszę się zachowywać spokojnie. Jeśli nie możecie pomóc, nie przeszkadzajcie.

Wzrok Foxy’ego wlepiony był w radę przy koniu. Przyłączył się teraz do niej Carter, White i Tyrrell, wszystko chłopcy wpływowi. Reszta, z miną niezdecydowaną, oglądała karabiny.

— Chwileczkę! — zawołał nagle Stalky. — Czy wolno nam wyrzucić tych gapiów za drzwi, zanim się zabierzemy do roboty?

— Rozumie się! — odpowiedział Foxy. — Kto chce zapisać się do korpusu, zostanie tu. Ci, którzy nie chcą się zapisać, wyjdą, zamykając za sobą cicho drzwi.

Pół tuzina poważnie myślących chłopców poskoczyło natychmiast, tak że gapie ledwo zdążyli uciec na korytarz.

— I czemuż się nie zapisałeś? — pytał Beetle, poprawiając przekręcony kołnierzyk.

— A wy?

— Po co? My nie idziemy do wojska. Prócz tego ja musztrę umiem doskonale, wyjąwszy, oczywiście, chwyt karabinowe. Ciekawe, co oni tam w sali robią?

— Układają się z sierżantem. Nie słyszeliście, jak Stalky mówił: „Jeżeli na to przystaną — zgoda, jeżeli nie — wszystko nam jedno”. Wezmą Foxy’ego na kawał — nie rozumiesz, idioto głupi? Za niecały rok idą do Sandhurst albo do Budy (szkoła w Woolwich). Nauczą się regulaminu, a potem pewnego pięknego dnia puszcza wszystko kantem. Myślisz, że jak się ma taką kupę lekcji nadliczbowych, chce się udawać wojsko dla zabawy?

— Albo ja wiem! Chciałem napisać o tym wiersz. — Byłbym ci się po nich przejechał...! Wiesz, coś w rodzaju ballady o „Łowcach psów...”.

— Nie radzę ci, bo King z pewnością rzuci się na ten cały korpus, jak byk na czerwoną płachtę. Nie pytano go o radę. Widzisz go, jak węszy i lazi dokoła tablicy z ogłoszeniami? Choć, pociągniemy go za język.

Niby to wałęsając się bez celu, zbliżyli się z niewinnymi minami do dyrektora<sup>93</sup>.

— A to co? — wykrzyknął na ich widok King, udając wielkie zdziwienie. — Byłem pewny, że uczycie się walczyć za ojczyznę.

— O ile wiem, kompania jest już pełna, prosz pampsora — odpowiedział M<sup>r</sup>Turk.

— Szkoda! — westchnął Beetle.

— A więc mamy czterdziestu mężnych obrońców! Jaki szlachetny gest! Co za poświęcenie! Nie wykluczam możliwości, że na dzień tego szlachetnego zapalu jest też chęć uniknięcia zwykłych obowiązków. Niewątpliwie otrzymają też szczególne przywileje, jak chór i Towarzystwo Nauk Przyrodniczych — nie wypada mówić Łowcy Pluskiew.

— Przypuszczam, że tak, prosz pampsora — rzekł M<sup>r</sup>Turk z przekonaniem. — Wprawdzie pan rektor nic jeszcze o tym nie mówił, ale z pewnością jakieś przywileje otrzymają.

— Z całą pewnością!

— A jednak, mój drogi Beetle — King na pięcie odwrócił się do niego — możliwe jest, że gospodarze domów — niezbędny, choć poniekąd lekceważony czynnik w skromnym mechanizmie naszej egzystencji — będą również coś mieli do powiedzenia w tej materii. Życie, zwłaszcza życie młodzieży, to nie sama tylko broń i amunicja. Czasami zajmujemy się także przypadkowo nauką.

— Jak to bydlę jest wiecznie niezmiennie! — mruknął M<sup>r</sup>Turk, kiedy King nie mógł ich już słyszeć. — Zawsze wiadomo, na co się da złapać. Widziałeś, jak go dźgnęło, kiedyśmy mówili o rektorze i specjalnych przywilejach.

— Niech się da wypchać. Mógłby się być zdobyć na przyzwoitość popierania korpusu. Wtedy ja mógłbym napisać balladę wykpiwającą tę całą historię; a tak muszę udawać zwarowanego entuzjastę. Mimo wszystko możemy jednak w pracowni wpychać Stalky’emu szpile, gdzie się tylko da.

<sup>93</sup>dyrektor — tu: wychowawca klasy. [przypis edytorski]

— Naturalnie. Ale w liceum musimy udawać, że jesteśmy za korpusem kadetów. Nie mógłbyś napisać jakiego morowego epigramu *à la* Catullus na to, że King jest korpusowi przeciwny?

Beetle zajęty był właśnie tym szlachetnym zadaniem, gdy wrócił Stalky rozgrzana musztrą.

— Hallo, stary rębajło! — zaczął M<sup>r</sup>Turk. — Gdzież ubity pies? — Czy to obrona, czy wyzwanie?

— Wyzwanie! — odpowiedział Stalky, rzucając się równocześnie na niego. — Słuchaj, Turkey, dajcie spokój korpusowi. Myśmy to byczo zorganizowali. Foxy przysięgł, że nie wyprowadzi nas na ulicę, póki sami nie zechcemy.

— Nieprzyzwoite wystawianie na widok publiczny nieletnich dzieci, małpujących idiosynkrazje starszych. Fuj!

— Mówiłeś z Kingiem, Beetle? — pytał Stalky podczas pauzy w zapasach.

— Niekoniecznie, ale to jego miły styl.

— Posłuchajcie swego wuja Stalky'ego, który jest Wielkim Człowiekiem. Dalej: *In* i *exclusive* Foxy każdego z nas po kolei — *privatim* i *seriatim* nauczy komenderowania półkompanią. *Ergo*<sup>94</sup> i *propter hoc*<sup>95</sup>, jak będziemy w Budzie, w krótkim czasie zostaniemy zwolnieni od musztry. I w ten sposób, moi najdrożsi słuchacze, połączymy zdrową rozrywkę z nauką.

— Wiedziałem dobrze, wyrachowane bydlę, że ty zrobisz z tego jakąś lekcję nadliczbową — odezwał się M<sup>r</sup>Turk. — A za swą zakichaną ojczyznę umierać nie chcesz?

— Ani mi się śni, jeżeli tego mogę uniknąć. Dlatego dajcie już temu korpusowi spokój.

— Postanowiliśmy to już sto lat temu! — rzekł Beetle z pogardą. — King będzie wam zawracał głowę, nie my!

— To zacznij zawracać głowę Kingowi, natchniony wieszczu! Zrób jaki fajnowaty, klawy refren, każemy go śpiewać mikrusom.

— Słuchaj, chorobo jedna, patrz swoich ochotników, nie ruszaj mi tu stołem, jak piszę!

— A zresztą on i tak nie będzie miał o czym gadać! — skończył Stalky znacząco.

Co chciał przez to powiedzieć, zrozumieli dopiero w parę dni później, kiedy im przyszło na myśl pójść przyrzeć się ćwiczeniom plutonu. Drzwi do sali gimnastycznej zastali zamknięte na klucz, przed drzwiami zaś stał mikrus na warcie.

— Co za bezczelność! — zawołał M<sup>r</sup>Turk, pochylając się.

— Nie wolno zaglądać przez dziurkę od klucza.

— Czyżby? Wake, bydlaku głupi, czy to nie dzięki mnie jesteś ochotnikiem?

— To nic nie znaczy. Ja mam rozkaz nie pozwalać nikomu zaglądać przez dziurkę od klucza.

— A jeśli my będziemy zaglądać, to co? — zapytał M<sup>r</sup>Turk. — Wyobraź sobie na przykład, że ci tu zaraz kości poprzetrącamy.

— Ja mam rozkaz fągasować<sup>96</sup> na każdego, kto mi przeszkadza w służbie, a po musztrze korpus kadecki da mu lanie stosownie do prawa wojennego.

— Widzisz, jaka to cholera z tego Stalky'ego! — rzekł Beetle.

Ani na chwilę nie wątpili, że on to wszystko wymyślił.

— Ty sobie wyobrażasz naturalnie, że jesteś takim starym, srogim wiarusem na warcie — mówił Beetle, przysłuchując się dolatującemu z sali gimnastycznej szczękowi broni i głuchemu odgłosowi kolb dudniących po podłodze.

— Ja mam rozkaz nie wdawać się w żadne rozmowy, wyjąwszy tylko wytłumaczenie danych mi rozkazów — inaczej dostanę lanie.

M<sup>r</sup>Turk spojrział na Beetle'a. Potrząsnęli głowami i odeszli.

— Jak Boga kocham, Stalky jest naprawdę Wielki Człowiek! — rzekł Beetle po długiej chwili milczenia. — Jedyna pocięcha, że taka konspiracyjna zabawa doprowadzi Kinga do wściekłości.

<sup>94</sup>*ergo* (łac.) — więc. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*propter hoc* — tu: z tego wynika. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*fągasować* (daw. pot.) — donosić, skarżyć. [przypis edytorski]

Wyprowadzało to z równowagi nie tylko Kinga, ale członkowie korpusu milczeli jak ryby. Foxy, niezwiązany żadną przysięgą, powędrował ze swymi bólami do Keyte'a.

— Nigdy jeszcze w życiu nie zdarzyła mi się tak głupia historia. Zajęli gmach, obstawili strażami wewnątrz, pracują jak opętani.

— Ale dlaczego? — pytał stary wachmistrz.

— Żeby się nauczyć musztry. Nigdyście niczego podobnego nie widzieli. Jak ja każę im się rozejść — zostają i ćwiczą się w „trickach.” A na pole nie chcą wyjść — za nic na świecie. To wszystko jest mi podejrzane. Skoro jesteście korpusem kadetów, bądźcie korpusem kadetów i nie kryjcie się za zamkniętymi drzwiami.

— A co rektor na to mówi?

— Tego też nie rozumiem! — odpowiedział kwaśno sierżant. — Mówiłem staremu — nie daje mi żadnego poparcia. Chwilami myślę, że sobie kpi ze mnie. Nigdy, Bogu dzięki, nie byłem sierżantem w oddziale ochotników, za to zawsze szczerze żał było mi tych, którzy w oddziałach ochotniczych sierżantami być musieli. Pan Bóg łaskaw!

— Bardzo bym chciał ich zobaczyć! — westchnął Keyte. — Bo mimo wszystko, coście mi powiedzieli, nie rozumiem, do czego oni dążą.

— Ja nic nie poradzę, wachmistrzu! Poproście tego piegowatego, młodego Corkrana. To jest ich dowódca.

Nie można niczego odmówić staremu żołnierzowi spod Sobraonu a równocześnie jedynemu cukiernikowi w obrębie granic szkolnych. Tak tedy drżący ze starości Keyte przykuśtykał o lasce i usiadł w kącie, aby się przyjrzeć musztrze.

— Postawa dobra! Postawa nadzwyczaj dobra! — szeptał podczas ćwiczeń.

— O, to nic w porównaniu z tym, co przyjdzie po mustrze. Zaczekajcie, jak każę im się rozejść.

Po skończonym „Rozejść się!” szeregi stały jak mur. Wystąpił z szeregu Perowne, stanął naprzeciw oddziału, pomagając sobie czasem zerknięciem do małej, czerwono oprawnej i na metalową sprzączkę zamykanej książeczki komenderował przez dziesięć minut. (Ten sam Perowne, którego później w podzwrotnikowej Afryce zastrzelić mieli jego własni ludzie).

Po nim przyszedł Ansell, po Ansellu Hogan. Wszystkich trzech słuchano bez szemrania.

A wówczas Stalky oparł o ścianę swój karabin i wciągnąwszy powietrza w płuca, zasypał kompanię deszczem druzgocących wymyślań.

— Dość, panie Corkran! Tego w regulaminie nie ma! — zawołał Foxy.

— Nie szkodzi, sierżancie. Nigdy nie wiadomo, co ludziom powiedzieć. — Na miłość boską, spróbujcie stać, nie opierając się jeden o drugiego, wy kaprawe, zapocone, śmierdzące ofermy. To nie jest dla mnie żadna przyjemność, iskać was tutaj! Mogliście się o to postarać w domu, wy gnojki niewywiezione, a nie, to mogliście iść do milicji, kanały czyścić!

— Stara szkoła! Stara szkoła! My się na tym rozumiemy! — mówił Keyte, obcierając załzawione oczy. — Ale gdzie oni się tego nauczyli?

— Od ojca — od wuja! Co tu dużo pytać! Połowa z nich musiała się narodzić o dwa kroki od koszar. (Pod tym względem Foxy był istotnie bliski prawdy). Jak Boga kocham, odkąd się ta komedia zaczęła, usłyszałem tu więcej wyzwisk niż przez cały rok służby w wojsku.

— A w drugim szeregu stoi bydlak wypięty tak, jak gdyby miał rodzić! Tak jest, ten sam, który się ogląda, szeregowy Ansell!

Rafinowany język Stalky'ego przez trzy minuty chłostał *en gros et en détail*<sup>97</sup> ochotnika Ansell'a.

— Hallo! — tu Stalky powrócił do normalnego tonu. — Trafiony! Zaczerwieniłeś się, Ansell! Ruszyłeś się!

— Trudno mi było powstrzymać rumieniec — brzmiała odpowiedź — ale zdaje mi się, że się nie ruszyłem.

— Wszystko jedno, teraz na ciebie kolej! — Stalky stanął na swoim miejscu w szeregu.

<sup>97</sup>*en gros et en détail* (fr.) — w ogóle i w szczegółach. [przypis edytorski]

— O, mój Boże! Toż to najlepsza komedia w świecie! — śmiał się Keyte, przyglądając się uważnie plutonowi.

Ansella Bóg też obdarzył krewnymi służącymi w wojsku. Powoli, przeciągając leniwie — jego styl był bardziej obmyślany niż Stalky'ego — zstąpił w otchłanne głębie spraw osobistych.

— Trafiony! — krzyknął triumfująco. — Ty też nie mogłeś wytrzymać!

Stalky był czerwony jak burak, a karabin dygotał mu w rękach.

— Myślałem, że wytrzymam — mówił, opanowując się z trudem — ale już po chwili krew mi do głowy uderzyła. Ciekawe, co?

— Dobrze robi na temperament — mówił powolny Hogan, kiedy składali broń.

— Widzieliście kiedy coś podobnego? — mówił zrozpaczony Foxy do Keyte'a.

— Ja się na ochotnikach nie znam, ale to najpociesznieszka rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Ja już wiem, czego oni chcą. Boże, ileż razy w życiu mnie tak zjechało! Ale postawę mają bardzo dobrą, naprawdę, doskonałą.

— Gdyby mi się udało wywabić ich w pole, zrobiłbym z nimi wszystko, co tylko bym chciał. Inaczej może zaczną śpiewać, gdy przyjdą mundury.

Faktycznie był już najwyższy czas, aby korpus kadetów do pewnego stopnia zaspokoił ciekawość szkoły. Trzy razy już wartę zmaltretowano i trzy razy korpus wymierzał zbrodniarzowi sprawiedliwość według własnego prawa wojennego. Szkoła szalała. Co komu — mówiono — po korpusie kadetów, którego nikt nigdy nie widzi? Mr. King gratulował szkole niewidzialnych obrońców, a tych jego pchnięć nie było czym odbić. Foxy sposepniał i zaczął się niecierpliwic. Kilku członków korpusu wyrażało wątpliwość co do mądrości tego sposobu postępowania i kwestia mundurów zarysowała się na horyzoncie. Gdyby im je dano, musieliby je nosić.

Ale jak się to często w życiu zdarza, rozstrzygnięcie niespodziewanie samo naraz przyszło z zewnątrz.

Rektor w swoim czasie poinformował radę nadzorczą, że poleceniu jej stało się zadość i że — o ile wie — chłopcy uczą się musztry.

Nie wspominał nic o warunkach, pod jakimi ochotnicy zgodzili się na tę naukę. Oczywiście, generał Collinson był zachwycony i podzielił się tym zachwytem ze swymi przyjaciółmi. Jeden z tych jego przyjaciół miał znów przyjaciela, który był członkiem parlamentu — człowieka pełnego jak najlepszych chęci, inteligentnego, a przede wszystkim wielkiego patriotę, pragnącego zrobić jak najwięcej dobrego w jak najkrótszym czasie. Niestety jednak, nie możemy odpowiadać za przyjaciół naszych przyjaciół. Gdyby przyjaciel Collinsona był mu tego swego przyjaciela przedstawił, generał byłby poczynił odpowiednie kroki i w ten sposób jeszcze niejedno może uratował. Ale przyjaciel mówił tylko o swym przyjacielu, a ponieważ nie ma na świecie dwu ludzi, którzy by daną rzecz widzieli tak samo, portret przedstawiony Collinsonowi nie był dokładny. Prócz tego, człowiek ów był posłem do parlamentu i nienagannym konserwatystą, a generał żywił — właściwy każdemu żołnierzowi angielskiemu — ogromny szacunek dla tej najwyższej instytucji. Mąż ten wyjeżdżał właśnie na zachód wnieść trochę światła w jakiś ciemny okrąg wyborczy. Czy nie byłoby dobrze, gdyby zbrojny w rekomendację generała i wzięwszy za temat ten przedziwny, nowopowstały korpus kadecki powiedział parę słów, ot po prostu pogawędził trochę z chłopcami, co? Pan wie, co oni lubią, a to właśnie człowiek, jakiego tam potrzeba... Już on im do serca przemówić potrafi, może pan być pewny...

— Za moich czasów nie trzeba było do nich dużo mówić — odpowiedział generał nieufnie.

— Ale czasy się zmieniają — w miarę jak się szerzy oświata i tak dalej. Dzisiejsi chłopcy, to jutrzejsi mężczyźni. Czym skorupka za młodu nasiąknie... Zwłaszcza, rozumie pan generał, w tym czasie, kiedy kraj schodzi na psy!

— Co do tego masz pan zupełną słuszność.

Wyspa rozpoczynała pięcioletni okres rządów Gladstone'a i już sam ich początek nie przypadł generałowi do gustu. Wobec tego obiecał napisać do rektora, bo ostatecznie kwestii nie ulegało, że dzisiejsi chłopcy to jutrzejsi mężczyźni. To, jego zdaniem, było niezwykle dobrze powiedziane.

W odpowiedzi rektor oświadczył, iż z radością powita Mr. Raymonda Martina M. P., o którym tak wiele słyszał; z całą przyjemnością użyczy mu gościnności na jedną noc



i upoważnia go do przemówienia do uczniów na dowolny temat. Jeśli Mr. Martin nie miał dotychczas sposobności przemawiać do tej klasy młodzieży angielskiej, rektor nie wątpi, że będzie to dla niego zajmującym doświadczeniem.

— I mocno jestem przekonany, że co do tego, to się nie mylę! — zwierzył się rektor wielebnemu Johnowi. — Słyszałeś pan co kiedy o niejakim Raymondzie Martinie?

— Na uniwersytecie miałem kolegę tego nazwiska — odpowiedział kapelan. — Był to, prawdę mówiąc, skończony cymbał, ale wszystko brał strasznie na serio.

— Następnej soboty będzie w liceum mówił o „patriotyzmie”.

— Nasi chłopcy nie cierpią, jak im się psuje sobotę. Wobec „uczty” patriotyzm nie ma szans powodzenia.

— Sztuka też nie. Przypomina sobie ksiądz nasze wieczorki pod tytułem „Godzina z Szekspirem”? — rektor mrugnął z lekka okiem. — Albo tego komicznego jegomościa ze świetlnymi obrazami?

— Co to, do ciężkiej choroby, za jakiś Raymond Martin M. P.? — pytał Beetle, przeczytawszy w korytarzu ogłoszenie o odczycie.

— Czemu to bydło pcha się do nas zawsze w sobotę?

— Och, Ruomeo, Ruomeo! Dlaczego jesteś Ruomeo? — mówił M<sup>r</sup>Turk, czytając mu przez ramię i cytując artystkę z ostatniego półrocza. — Nic nie szkodzi, wierzymy, że w każdym razie on będzie lepszy od niej. Stalky, jesteś ty należycie patriotycznie usposobiony? Jeśli nie, ten drab zabierze się do ciebie!

— To przecie nie będzie trwało cały wieczór. Ostatecznie można posłuchać, co powie.

— Za żadne skarby świata nie opuściłbym tego odczytu — mówił M<sup>r</sup>Turk. — Chłopcy mówili, że ta baba, wołająca wciąż Ruomeo — Ruomeo — to była piła. Ja nie mówiłem nic, mnie się ona podobała. A dopiero jak dostała w samym środku tyrady czkawki! Może i on czkawki dostanie? Pamiętajcie, kto pierwszy wejdzie do sali gimnastycznej, ma zajmując miejsca dla wszystkich trzech.

\*

Niemalą oczu obserwowało Mr. Raymonda Martina M. P., który zajeżdżał przed dom rektora. Nowo przybyły, bez śladu jakiegoś zdenerwowania, wysiadł z powozu w jak najlepszym humorze i pełen życia.

— Trąci mi trochę szewcem — zauważył M<sup>r</sup>Turk. — Nie zdziwiłbym się, gdyby był radykałem. Targował się z fiakrem<sup>98</sup> przy wysiadaniu. Słyszałem na własne uszy.

— To jego byczy patriotyzm! — objaśnił Beetle.

Po herbacie rzucili się do szturm, aby zdobyć miejsca dla siebie, obsadzili jakiś spokojny kąt i zaczęli krytykować. Wszystkie lampy gazowe były zapalone. Na małym wzniesieniu w głębi sali stał fotel rektora. Tam to miał Mr. Martin wygłosić swój odczyt. Przed wzniesieniem był rząd krzeseł dla profesorów.

Wszedł z urzędową miną Foxy i oparł o biurko przedmiot podobny do kawałka materii owiniętej dokoła kija. Ponieważ nikogo z władz jeszcze nie było, szkoła zaczęła bić brawo, wołając:

— Co to takiego, Foxy? Czyście buchnęli gościowi parasol? My tu różeg nie potrzebujemy! U nas się bije trzcina! Weźcie tę miotłę! Odlicz! — i tak dalej, dopóki wejście rektora i nauczycieli nie położyło końca tym demonstracjom.

— Jedna bycza rzecz — belfrzy nie cierpią tego tak samo jak my. Patrz, jak King chciałby się wydostać z przeciagu...

— Gdzie Raymondiferus Martin? Punktualność, drodzy słuchacze, to obraz wojny...

— Przestań gęgać! Oto Jego Wysokość! Boże, co za mordą!

Mr. Martin, w stroju wieczorowym, wyglądał niewątpliwie okazałe — wysoki, mocno zbudowany, biało-czerwony mężczyzna. Jednakże, co się tyczy wychowania, Beetle zachowałby się lepiej od niego.

— Patrz na jego plecy podczas rozmowy z rektorem. Co za maniera obracania się plecami do sali! To filister... Jebuzyta... Hiwita... — mówił M<sup>r</sup>Turk, cofając się i parszkając pogardliwie.

<sup>98</sup>fiakr (z fr.) — woźnica, dorożkarz. [przypis edytorski]

Kilku bezbarwnymi słowy rektor przedstawił mówcę i usiadł wśród oklasków. Gdy zobaczono, że Mr. Martin wziął te oklaski do siebie, naturalnie, zaczęto klaskać jeszcze bardziej, tak że przez dłuższą chwilę nie mógł zacząć. Nie znał zupełnie szkoły — ani jej tradycji, ani historii. Nie wiedział, że jak to stwierdziły najnowsze obliczenia, z tych chłopców na stu ośmiu urodziło się gdzieś daleko — w obozie, w garnizonie lub na pełnym morzu, zaś siedemdziesięciu pięciu na stu było synów oficerów armii lądowej lub marynarki — Willoughby'ów, Gauletów, De Castro, Mayne'ów, Randallów i tym podobnych — nie myślących o niczym innym, jak tylko, aby w dalszym ciągu uprawiać rzemiosło ojców. Rektor mógł mu powiedzieć to i znacznie więcej jeszcze ciekawych rzeczy, ale po trwającym całą godzinę obiedzie, zjedzonym w jego towarzystwie, postanowił raczej nie mówić już nic. Mr. Raymond Martin sam wszystko wiedział.

Rozpoczął swą mowę od długiego, charkoczącego „A więc, chłopcy!”, które, choć słuchacze nie zdawali sobie z tego nawet sprawy, od razu nieprzyjemnie szarpnęło każdym młodym nerwem. Zaznaczył, że oni chyba wiedzą — hę? — po co do nich przyjechał? Nieczęsto miał sposobność przemawiać do chłopców, jednakże, mimo iż niektórzy uważają chłopców raczej za pocieszne, niezasługujące na uwagę istoty, on przypuszcza, że są tacy sami, jakimi byli w czasach jego młodości.

— Ten człowiek — rzekł M<sup>r</sup>Turk z przekonaniem — jest świnia gadareńska!

Tu jednak należy zaznaczyć, że przecie oni nie będą zawsze chłopcami! Wyrosną na ludzi, albowiem dzisiejsi chłopcy, to ludzie jutra, a od ludzi jutra zależy dobra sława ich wielkiej ojczyzny.

— Jeśli to pójdzie tak dalej, moi kochani słuchacze, to przykrym mym obowiązkiem będzie poskromić tego szewczyne.

Stalky wciągnął nosem powietrze.

— Niepodobieństwo! — zwrócił mu uwagę M<sup>r</sup>Turk. — On pokazuje swego Romea bezpłatnie.

Toteż powinni by pomyśleć czasem o obowiązkach i zadaniach otwierającego się przed nimi życia, które nie jest bynajmniej grą w tenisa...

Tu wyliczył kilka gier i aby już upadek swój uczynić zupełnym, wymienił też „bile”.

— Tak jest! — powtórzył. — Życie nie jest jedną grą w „bile”!

Dreszcz zgrozy obiegił ławki; młodszy omal nie krzyknął z oburzenia. Ten człowiek — to poganin — wyrzutek — człowiek, który przeszedł wszelkie granice — potępiony w oczach ludzkich! Stalky ukrył twarz w dłoniach. M<sup>r</sup>Turk szeroko otwartymi rozradowanymi oczami pił każde jego słowo, zaś Beetle poważnie potakiwał głową.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że niektórzy z nich za parę lat będą mieli zaszczyt służyć królowej i nosić oręż u boku. On sam zaznajomił się z tą służbą jako major w pewnym pułku ochotniczym i szczęśliwy jest, słysząc, iż i oni w łonie swym ustanowili ochotniczy korpus kadecki. Powstanie takiej instytucji daje nadzieję, iż zrodzi się z niej duch dziarski i zdrowy, mogący w danym razie bardzo dobroczynnie wpłynąć na kraj, który oni tak kochają i z przynależności do którego są dumni. Niekiedy z nich już dziś myślą — on o tym nie wątpi — z niecierpliwością oczekują chwili, kiedy będą mogli swych ludzi poprowadzić na kule wrogów Anglii, a z całą dumą swej młodzieńczej męskości zajrzeć śmierci w oczy na polu bitwy.

Otóż trzeba wiedzieć, że wstydlivość chłopca jest dziesięć razy większa od wstydlivości dziewczyny, jako że jej ślepa przyroda wytknęła jedno tylko przeznaczenie, mężczyźnie zaś kilka. Mówca wielką, zdrową łapą zdzieriał te osłonki i deptał po nich ożywioną jak najlepszymi chęciami stopą swej wymowy. Ochryplym głosem perorował o takich drobnostkach, jak marzenie o honorze i sławie, sprawach, o których chłopcy nie rozmawiają nawet z najserdeczniejszymi przyjaciółmi, mówił, wyobrażając sobie w swej naiwności, że dopóki on się w liceum nie pokazał, nigdy o tych możliwościach nie myśleli. Wskazywał im świetnie cele palcami, które zasmarowywały wszelki blask na horyzoncie. Profanował najtajniejsze zakątki ich dusz okrzykami i gestami. Polecał im zastanowić się nad czynami przodków w taki sposób, że się rumienili po same uszy. Niekiedy z nich, wołał głosem jakby przecinającym lodowe milczenie, mieli może krewnych, którzy padli na polu bitwy w obronie ojczyzny. (Wielu z nich pomyślało w tej chwili o starej szabli wiszącej w sieni lub w jadalni, a którą oglądali z podziwem lub gładzili ukradkiem, odkąd się mogli

Kobieta, Dziewictwo

Wstyd, Cnota, Marzenie,

Patriota

na nogach utrzymać). Mówca zaklinał ich, aby naśladowali świetny przykład przodków, a chłopcy nie wiedzieli, gdzie oczy podziać.

Za młodzi byli, aby sobie móc jasno zdać sprawę ze swych wrażeń, ogarniał ich tylko coraz większy gniew, bo czuli, że ich znieważa ten tłusty pan, uważający „bile” za grę!

Tak powoli zdążył ku efektowi końcowemu, którego, swoją drogą, użył później z niesłychanym powodzeniem na zebraniu wyborców — podczas gdy oni siedzieli, czerwieniąc się, zmieszani, upokorzeni, przygnębieni. Po wielu, wielu słowach jedną ręką sięgnął po owiniętą materią kij, drugą zaś położył sobie na sercu. Oto — uchwytny symbol ich ojczyzny — godzien czci i szacunku! Niechaj każdy chłopak, patrząc na tę flagę, przysięgnie sobie, że pomnoży jej świetność. — I rozwinąwszy przed nimi perkalową flagę Wielkiej Brytanii, świecąca swymi trzema barwami, czekał na grzmot oklasków mający uwiecznić jego trudy.

Ale chłopcy patrzyli w milczeniu. Oczywiście, nieraz tę rzecz widzieli — daleko, na posterunku straży nadbrzeżnej, lub przez teleskop w połowie masztu, gdy bryg jakiś podpłynął ku piaskom Brantonu, na dachu Golf-klubu lub oknie Keyte’a, gdzie były pudełka cukierków z takimi banderolami. Ale liceum nigdy flagi nie używało, nie mieszano jej do życia chłopców, rektor nigdy o niej nie mówił, ich ojcowie również o niej nie wspominali. Była to rzecz święta, znajdująca się poza wszystkim. Na wszystko święte, cóż sobie wyobraża ten drab wymachujący im przed oczami tą okropnością? Ach, szczęśliwa myśl! On jest prawdopodobnie pijany!

Sytuację uratował rektor. Powstawszy szybko, zaproponował podziękowanie dla mówcy. Zaraz po pierwszych jego słowach szkoła, jakby uwolniona od nieznośnego ciężaru, ożywiła się i wybuchła szalonymi oklaskami.

— I jestem głęboko przekonany — kończył rektor z twarzą jasno oświetloną płomieniem gazu — że wszyscy wraz ze mną podziękujcie serdecznie Mr. Raymondowi Martinowi za miłą pogawędkę, jaką nas zaszczycił.

Do dziś dnia nikt nie wie, jak się to właściwie stało. Rektor zaklina się, że nic podobnego nie zrobił, lub jeśli, to widocznie musiało mu coś wpaść w oko, ale obecni twierdzą, że zupełnie wyraźnie i otwarcie mrugnął jednym okiem po słowie „miły”. Mr. Raymondowi Martinowi oklasków nie szczędzono. Jak potem mówił: „Bez przechwałek, zdaje mi się, że tych parę moich słów przemówiło im do serca. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby chłopcy tak krzyczeli »hura!«”.

Kiedy zadzwoniono na modlitwę, wyszedł, a chłopcy stanęli szeregiem pod ścianą. Rozwinięta flaga wciąż jeszcze zwisała ze stołu. Foxy, wzruszony do głębi wymową Mr. Martina, przyglądał się jej z dumą. Rektor i nauczyciele, którzy stali w głębi estrady, nie mogli widzieć tej jawnej okropności, ale jeden z prefektów wystąpił z szeregu i, zwinąwszy ją szybko, równie szybko wsunął w stojaki z floretami.

Jak gdyby pocisnął niewidzialną sprężynę, w tej chwili rozległ się cichy pomruk zadowolenia, który przeszedł w żywe salwy oklasków.

W sypialniach omawiano konferencję. Wyrok był jednogłosny. Mr. Raymond Martin z całą pewnością urodził się w rymsztoku, a wychowanie odebrał w szkółce gminnej, gdzie grano w „bile”. Prócz tego (podaję tu tylko garść określeń z całego mnóstwa) jest *plaskim błaznem o miękkim pysku, ustrętnym śmierdzielem, chorążym z brzuchem z galarety* (to już był pomysł Stalky’ego) i jeszcze wielu innymi rzeczami, których przytaczać nie wypada.

Ochotnicy korpusu kadeckiego zebrali się w poniedziałek, przygnębieni i zawstydzeni. Jednakże nawet wówczas dzięki rozumnemu milczeniu można było uniknąć ostateczności.

Ale Foxy nie wytrzymał i palnął:

— Po tej pięknej mowie, jakąście panowie przedwczoraj słyszeli, powinniście zabrać się do ćwiczeń ze zdwojoną pilnością. Teraz już koniecznie trzeba będzie wyjść z sali na otwarte pole.

— Nie może się bez tego obejść, Foxy?

Pieszczotliwa, jedwabista intonacja głosu Stalky’ego powinna go była ostrzec.

— Nie, zwłaszcza kiedy nam tak wspaniałomyślnie darował tę flagę. Wyjeżdżając rano, powiedział mi, że nie ma nic przeciw temu, żeby jej korpus używał jak swojej. Piękna flaga.

Stalky w martwym milczeniu postawił karabin na swoim miejscu w stojakach i wystąpił z szeregu. Hogan i Ansell poszli za jego przykładem.

Perowne wahał się.

— Słuchaj, może byśmy... — zaczął.  
— W tej chwili ją znajdę! — mówił sierżant zwrócony do nich plecami. — Mogli-  
byśmy wtedy...  
— Chodźcie! — krzyknął Stalky. — Na co jeszcze, do diabła, czekacie? Rozejść się!  
— Co... jak to... dlaczego?  
Huk karabinów rzuconych w stojaki przez chłopców, którzy jeden po drugim wystę-  
powali z szeregu, zagłuszył jego głos.  
— Ja... ja będę musiał donieść o tym panu rektorowi! — wyjąkał.  
— Więc — donieś i niech cię diabli wezmą! — zawołał Stalky pobielającymi wargami  
i wybiegł.

\*

— To ci dopiero komiczna historia! — opowiadał Beetle M<sup>r</sup>Turkowi. — Siedzę sobie  
najspokojniej w świecie w pracowni, pisząc mały poemacik o *chorzącym z brzuchem z ga-  
laretty*, aż tu naraz wpada Stalky. Ja mówię „hallo”, a ten mnie skłął jak mularz i zaczyna  
bezczeć jak wariat. Głowę położył na stole i wyje. Może by zobaczyć, co mu jest?  
M<sup>r</sup>Turk zaniepokoił się.  
— Może sobie co zrobił?

\*

Zastali go z błyszczącymi oczami i gwizdzącego przez zęby.  
— Ale cię wziąłem na kawał, Beetle! Wiedziałem, że się dasz złapać! Byczy kawał!  
Byłeś pewny, że ja beczę. Widzisz, jak ja umiem udawać. Ty stary, tłusty ośle!  
To mówiąc, zaczął Beetle’a skubać za uszy i policzki w sposób zwany „dojeniem”.  
— Nie lżyj, boś beczal! — odpowiedział spokojnie Beetle. — Dlaczego nie jesteś na  
musztrze?  
— Musztrze? Jakiej musztrze?  
— Nie udawaj wariata. Na musztrze w sali gimnastycznej.  
— Bo żadnej musztry już nie ma. Korpus kadetów się wściekł — zdechł — zaśmier-  
dział — zgnił! A jak będziesz na mnie tak patrzył, to ci kości poprzekręcą, Beetle...!  
I w dodatku mam być oskarżony przed rektorem o wymyślanie...

## OSTATNI KURS

Było to na kilka dni przed wakacjami i egzaminami, a co jeszcze ważniejsze, przed wy-  
ściem pisma licealnego, redagowanego przez Beetle’a. Podjął się tego zadania, ukołysany  
pochlebstwami Stalky’ego i M<sup>r</sup>Turka, a także stosownie do surowego prawa pracow-  
ni. Przystąpiwszy do dzieła, spostrzegł, jak to już inni przed nimi zauważyli, że gdy on  
pracował, przyjaciele krytykowali go. Stalky na pamiętkę Sponge’a przeważał jego pi-  
smo „Patriotą ze Swillingfordu” — zaś M<sup>r</sup>Turk wyśmiewał jego język, zestawiając go  
złośliwie z językiem Ruskina i de Quinceya. Jedyne rektor interesował się wydawnic-  
twem, ale także na swój sposób. Nic nie radząc ani nie odradzając, oddał mu do zupełnej  
dyspozycji swą pachnącą cygarami bibliotekę, pełną brunatno oprawionych książek. Tu  
znalazł też Beetle wygodny, wyściełany fotel, srebrny kałamarz i mnóstwo piór i papieru.  
Znajdowały się tu całe stosy starych autorów dramatycznych, *Podróże* Hukluyta, francu-  
skie przekłady poetów rosyjskich, jak Puszkina i Lermontow; krótkie, dziwne, drażniące  
nowelki, pomieszane z ekscentrycznymi piosenkami autora nazwiskiem Peacock, Borro-  
wa *Lavengro*; ciekawa książka, uważana za przekład poematu zatytułowanego *Rubaiyat*,  
zdaniem rektora, niedocenionego jeszcze należycie. Były setki tomów poezji: Crashaw,  
Dryden, Aleksander Smith, L. E. L., Lydia Sigourney, Fletcher i jego *Wyspa szkarlatna*;  
Donne, *Faust* Marlowe’a, Ossian (M<sup>r</sup>Turk przez trzy dni chodził jak pijany, kiedy mu go  
Beetle pożyczył); *Raj ziemski*, *Atalanta w Kalydonie*, wreszcie Rossetti — aby wymienić  
tylko parę nazwisk. Czasami rektor, wpadłszy pod pretekstem cenzurowania pisma, czy-  
tał Beetle’owi to ten, to ów urywek z jakiegoś poety, otwierając mu nowe horyzonty. To  
znów, oddychając powoli, z oczami na pół zamkniętymi nad swym cygarem, opowiadał

mu o wielkich ludziach żyjących i dziennikach dawno już pogrzebanych a założonych przez nich w czasach ich buntowniczej młodości; o latach, kiedy te planety były małymi, dopiero rozszarżającymi się gwiazdami, szukającymi sobie miejsca w niezmierzonej obojętności ludzkiej, zaś on, rektor, znał ich wszystkich jako młodych ludzi. Oczywiście, praca była w takie dni pod psem, a Beetle, z głową pełną nowych miar wierszowych i różnych historii, zwierzał się ze wszystkiego tylko jednemu jednemu M<sup>r</sup>Turkowi na piaszczystym wybrzeżu morskim, krocząc wyniośle dokoła tkwiącego w piachach galonu wielkiej armady i krzycząc, i przemawiając wierszami do długich języków fal morskich.

Skutkiem wypróbowanej nieufności dyrektora<sup>99</sup> klasy przez trzy ostatnie kursy pominięto ich przy mianowaniu prefektów. Stopień ten, należny zasłudze, równocześnie dawał szacunkowe prawo noszenia laski, a czasem, z pewnymi zastrzeżeniami, swobodę używania jej.

— Ale — mówił Stalky — jak o tym pomyślę, to muszę powiedzieć, że dzięki temu, iż nas pominięto, daliśmy szóstej w przeciągu roku taką szkołę jak nikt przez siedem lat.

Z dumą dotknął swej szyi. Okalał ją wysoki sztywny kołnierzyk, jaki stosownie do zwyczajów mieli prawo nosić tylko uczniowie szóstej klasy. Uczniowie szóstej klasy widzieli ten kołnierzyk i nie mówili nic. Jeszcze rok temu Kicia Ebenezar, a choćby Dick IV kazaliby im do pięciu minut zdjąć to chomąto, inaczej... Ale tegoroczna szósta klasa składała się głównie z młodych celujących uczniów, protegowanych przez dyrektorów domów i zbyt uważających na swą godność, aby chcieć zadzierać z przebiegłą trójką. Toteż trójka nosiła kaszkiety zsunięte na tył głowy a nie na bakier, jak przystało na uczniów piątej klasy, chodziła w powszednie dni w lakierkach, a w niedzielę we wspaniałych krawatach — i nikt przeciw temu nie protestował. Na wiosnę M<sup>r</sup>Turk miał iść do Cooper Hill, a Stalky do Sandhurst, a rektor oświadczył im, że jeśli nie zaniedbają się zupełnie podczas wakacji, nie mają się czego obawiać. Pod tym względem, jako „trener” młodych żrebiąt, rektor rzadko się mylił.

Tegoż dnia wziął Beetle'a na bok i dał mu mnóstwo dobrych rad, z których jednak Beetle ani słowa nie pamiętał, gdy wpadłszy do swej pracowni, błądzący ze wzruszenia, zaczął opowiadać swą przedziwną historię. Wymagała ona wiary niemało.

— Więc na początek miałbyś sto funtów rocznie? — rzekł M<sup>r</sup>Turk bez entuzjazmu. — To mało!

— I koszta podróży! Wszystko już załatwione. Rektor mi powiedział, że mnie od dawna już do tego przygotowywał, a ja nic nie wiedziałem — nic a nic! I nie zaczyna się wcale od pisania od siebie, rozumiecie? Naprzód adiustuje się telegramy i wycina się z gazet nożyczkami różne kawałki.

— Faj, nożyczki! — wykrzyknął Stalky. — Wyobrażam sobie, jakich sztuk będziesz dokazywał. Ale w każdym razie i dla ciebie już jest to ostatni kurs. Siedem lat, moi kochani słuchacze — i nawet prefektami nie zostaliśmy.

— Mimo wszystko, nie były to lata najgorsze — mówił M<sup>r</sup>Turk. — Będzie mi przykro rozstać się z naszym starym liceum. Wam nie?

Spojrzeni na morze pieniające się u płaskich brzegów w jasnym świetle pogodnego, zimowego dnia.

— Ciekawe, gdzie będziemy w tym czasie na przyszły rok? — rzekł Stalky w zamyśleniu.

— A za pięć lat! — wtrącił M<sup>r</sup>Turk.

— Ale słuchajcie! — zawołał Beetle. — Mój odjazd to tajemnica. Rektor nikomu o nim nie wspominał. Wiem o tym, bo Prout powiedział mi dzisiaj, że jeśli zmądrzeję — he he! — mógłbym w następnym kursie zostać prefektem. Widać, trudno mu już o prefektów.

— Zróbmy szóstej jaki kawał na pożegnanie! — namawiał M<sup>r</sup>Turk.

— E, to smarkacze głupie! — odpowiedział Stalky, który już uważał się za kadeta w Sandhurst.

— Efekt moralny! — tłumaczył M<sup>r</sup>Turk. — Pozostawienie po sobie niezapomnianej tradycji i tak dalej.

— Lepiej chodźmy do Bideford i popłaćmy dług! — rzekł Stalky.

<sup>99</sup>dyrektor klasy — tu: wychowawca klasy. [przypis edytorski]

— Pumpnąłem ojca na trzy suwereny — *ad hoc*. Winienem tylko trzydzieści szylingów. Beetle, leć do starego i poproś go o pozwolenie. Powiedz mu, że chcesz zrobić korektę z „Patrioty ze Swillingfordu”.

— Niech będzie! — zgodził się Beetle. — Będzie to mój ostatni numer i chciałbym, żeby wyglądał przyzwoicie. Złapię go może przed śniadaniem.

W dziesięć minut później wyszli szeregiem, w dowód szczególniejszej łaski uwolnieni od apelu o piątej godzinie, mając całe popołudnie przed sobą. To samo, na swoje nieszczęście, uczynił i King, który nigdy nie mógł się obejść bez złośliwych dowcipów. Ale całe brygady Kingów nie potrafiłyby tego dnia wyprowadzić Beetle’a z równowagi.

— Aha! — zawołał King, zacierając ręce. — Zabawiamy się studiowaniem lekkiej literatury. Przyjemna wiedza matematyczna nie jest dla umysłów tak wzniosłych jak nasze, nieprawdaż?

(— Sto funtów rocznie! — pomyślał Beetle, uśmiechając się, ze wzrokiem zapatrzonym w dal).

— Nasza niedawna indolencja szuka schronienia na kwiecistych ścieżkach nieokreślonej fikcji. Ale dzień zbliża się, dzień obrachunku, mój ty kochany Beetle! Ja sam ułożyłem parę małych pytańek z gramatyki łacińskiej, pytańek, którym nawet twoje mistrzostwo w sztuce wykręcania się nie podoła. Tak, tak, z gramatyki łacińskiej. Ja sądzę, o ile mogę się tak wyrazić — zresztą zobaczymy, jak zadania zostaną rozdane — że Ulpian ci wystarczy... Aha! *Eclucescebat* — mówił nasz przyjaciel! Zobaczymy, zo — ba — czymy!

Beetle wciąż jeszcze nie dawał znaku życia. W myślach znajdował się na pokładzie parowca, z zapłaconymi kosztami podróży w wielki, przedziwny świat — o tysiąc mil od wyspy Lundy.

Śmiejąc się złośliwie, King porzucił go wreszcie.

— On o niczym nie wie. On będzie poprawiał zadania i urągał, i sadił się przed małymi chłopcami na przyszły kurs — i znowu na przyszły!

Beetle pobiegł za swymi przyjaciółmi stromą ścieżką prowadzącą przez zarosłe żarnowcem wzgórze za liceum. Znalazł ich rzucających kamykami w szczyt gazometru, od czego z trudnością starał się ich odwieść stary, umorusany dozorca gazowy. Widzieli, jak naoliwił kurek zapuszczony w ziemię między dwoma krzakami żarnowca.

— Cockey, na co jest ten kurek? — zapytał Stalky.

— Do dostarczania gazu kuchniom — odpowiedział Cockey. — Jakby go w ten sposób przekręcić, panicze musieliby się uczyć przy świeczkach.

— Ale! — rzekł Stalky i zamyślił się, tak że milczał przez długą chwilę.

— Hallo! A co wy tu robicie?

Stali na zakręcie ścieżki, oko w oko z Tulke’em — pierwszym prefektem domu Kinga — przysadzistym, płowym chłopcem z rodzaju tych, którzy muszą zostać prefektami ze względu na ich zdolności, zostawszy nimi jednak nigdy nie mogą dać sobie rady i wciąż apelują o poparcie do rektora, bardziej gorliwi niż taktowni.

Trójka nie zwracała na niego uwagi. Mieli formalne pozwolenie na wyjście. Tulke powtórzył swe pytanie podniesionym głosem, bo Nr 5 nieraz dobrze mu nadokuczał i prefektowi zdawało się, że wreszcie złapał ich na gorącym uczynku.

— Ki diabli ci do tego? — odpowiedział Stalky z najsłodszy z swych uśmiechów.

— Słuchaj no! Ja nie myślę... nie myślę — jękał się Tulke — pozwalając na to, aby mi uczniowie piątej klasy odpowiadali klątwami!

— To wynoś się i zwołaj zebranie prefektów! — wtrącił M<sup>r</sup>Turk, znając słabą stronę Tulke’go.

Prefekt aż się dławił ze złości.

— Nie krzyczy się w ten sposób na uczniów piątej klasy — mówił Stalky. — To bardzo nieprzyzwoicie.

— No, więc wyduśże raz z siebie to jajo, ty kwoko! — rzekł spokojnie M<sup>r</sup>Turk.

— Ja... ja chcę wiedzieć, co wy robicie poza granicami?

To mówiąc, wywinął łaską w powietrzu.

— Mój Boże! — odpowiedział Stalky. — Dopiero teraz dowiadujemy się, o co idzie. Dlaczegoż nie spytałeś od razu?

— A więc, pytam teraz: co tu robicie?  
— Uwielbiamy cię, Tulke! — odpowiedział Stalky. — Myślimy, że jesteś niesłuchanie byczy mąż, może nie?

— Tak jest! Tak jest!

Zza zakrętu wyjechał powozik pełen młodych panienek. Na jego widok Stalky natychmiast padł przed Tulke'em na kolana, jakby się chciał do niego modlić; twarz Tulke'go stała się szkarłatna.

— Mam prawo myśleć...

— Słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie! — wołał Beetle, naśladując bidefordzkiego obwoływacza miejskiego. — Tulke ma prawo myśleć! Trzy „hura” dla Tulke'go!

Zabrzmiało trzykrotne hura.

— To nasz choleryczny podziw dla ciebie! — mówił Stalky. — Ty nie masz pojęcia, Tulke, jak my cię strasznie kochamy. My cię tak okropnie kochamy, że gdybyś to zrozumiał, to powinien byś iść do domu i wyciągnąć kopyta. Ty jesteś za dobry, Tulke, żebyś mógł żyć!

— Tak jest! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk. — Zrób nam tę przyjemność i wyciągnij kopyta. Pomyśl, jak ci będzie w trumnie do twarzy.

Tulke pędem pobiegł pod górę z groźnym blaskiem w oku.

— Z pewnością wyniknie z tego zebranie prefektów — rzekł Stalky. — Dotknięty honor szóstej klasy i tak dalej. Tulke będzie przez całe popołudnie pisał zaproszenia, a Carson zavezwie nas po herbacie. Tym razem płazem tego nam nie puszczą.

— A załóż się ze mną o fajgla, że on poczłapie za nami! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk. — To beniaminek Kinga i gdyby im się udało złapać nas na czymś, obaj cieszyliby się z naszych skalpów. Musimy uważać na siebie.

— Wobec tego ja proponuję, żebyśmy poszli do mamy Yeo na ostatnią ucztę. Jesteśmy jej winni około dziesięciu szylingów, a Mary będzie beczec, jak się dowie, że już odjeżdżamy — namawiał Beetle.

— Ale ci mnie ostatnim razem ta Mary huknęła przez łeb! — zauważył Stalky.

— To się zdarza, jak się ją zaczepia — zauważył M<sup>r</sup>Turk. — Przeważnie jednak oddaje pocałunki. Chodźmy do mamy Yeo.

Skierowali się ku liczącemu z dwieście lat domostwu, na pół mleczarni, na pół restauracji, w głębi ciasnej i wąskiej uliczki. Chodzili tam, kiedy jeszcze byli mikrusami, stąd też, przez całą rodzinę lubiani, byli tam jak u siebie w domu.

— Przyszliśmy zapłacić długi, mamuńciu — mówił Stalky, obejmując ramieniem pięćdziesięciosześcioletnią kibić gospodyni.

— Zapłacić długi, powiedzieć z Bogiem — i... i strasznie nam się chce jeść.

— Ejże! — zawołała mama Yeo. — Zalecanki do mnie? Z kimże w dyrdy? Wstydzicie się, smarkacze!

— Boga mego, nikt by się nie odważył, gdyby Maryśka tu była! — mówił M<sup>r</sup>Turk szerokim, północnodewońskim akcentem, jakiego chłopcy używali podczas swych wypraw.

— Któż to wzywa imienia mego na daremno?

Drzwi w głębi otwarły się i niosąc wazę ubitej śmietany weszła Mary, jasnowłosa, błękitnooka dziewczyna, rumiana jak jabłuszko. Beetle pocałował ją, za jego przykładem z zimną krwią poszedł Turkey. Obaj dostali natychmiast po szturchańcu.

— Nie całuje się nigdy dziewczyny, jak można pocałować samą gospodynię! — rzekł Stalky, mrugając bezczelnie jednym okiem na matkę Yeo i przeglądając równocześnie słoiki konfitur na półce.

— Ciesz się, że przynajmniej jednemu z was nieśpieszno, aby oberwać po buzi — odezwała się Mary, zwracając się ku niemu z wyzywającą miną.

— Wielkie rzeczy! Ja mogę się dać śmiało pocałować!

— Nie doczekasz się, żebym ja cię pocałowała — urwisie jeden!

— Ani mi się śniło. Mało to dziewcząt w Northam? A w Appledore?

Niemożliwy do naśladowania grymas na pół lekceważenia, na pół urazy podkreślił tę odpowiedź.

— Aj, kochanie! Ty źle skończysz! Dlaczego tak wążasz śmietanę?

— Zdaje mi się, że skwaśniała — odpowiedział Stalky. — Powąchaj sama.

Mary lekkomyślnie zastosowała się do jego życzenia.

W Bidefordzie całuj,  
Nie żałuj!

— mówił Stalky, całując ją bez żadnych złych następstw.

— Ty — ty — ty! — zaczęła Mary, zanosząc się od śmiechu.

— W Northam one są lepsze, bardziej szczodre. W Northam one nam pocałunki oddają — ciągnął dalej Stalky, podczas gdy M<sup>r</sup>Turk z całą powagą obtańcowywał mamę Yeo.

Kiedy zasiedli do bitej śmietany z konfiturami i gorącym chlebem, Beetle zwiastował Mary smutną nowinę.

— Tak jest, Mary, już nigdy się nie zobaczymy. Pojedziemy sobie i zostaniemy pastorami i misjonarzami.

— Baczość! — wykrzyknął M<sup>r</sup>Turk, który patrzył w ulicę spoza zasłony w oknie.

— Rozumie się, że Tulke szedł za nami. Widzicie go? Idzie ulicą...

— My nie jesteśmy wyjęci z granic! — uspokajała ich mama Yeo. — Możecie tu siedzieć spokojnie.

To rzekłszy, potoczyła się do pokoju w głębi, gdzie siadła i zaczęła robić kasę.

— Mary! — rzekł Stalky nagle z tragicznym akcentem. — Czy ty mnie kochasz?

— Pewnie! Powiedziałam ci to przecież, gdy byłeś jeszcze taki mały — odpowiedziała dziewczyna.

— Widzisz tego chłopca na ulicy? — Stalky pokazał jej nic nieprzeczuwającego Tulke'go. — Jego przez całe jego krótkie życie nigdy żadna dziewczyna nie pocałowała. Mary! Jakież to straszne.

— Co mnie to obchodzi? Mnie się zdaje, że z czasem to przyjdzie samo przez się w sposób naturalny — to mówiąc, potrząsnęła wyzywająco głową. — Nie chcesz przecież, żebym ja go pocałowała.

— Dam ci pół korony, jeśli go pocałujesz — rzekł Stalky, pokazując jej monetę. Pół korony było dużo dla Mary, a żart też coś wart, ale...

— Ona się boi! — rzucił M<sup>r</sup>Turk w psychologicznym momencie.

— Boi się! — potwierdził zgodnie Beetle, znając jej słaby punkt. — W Northam nie ma ani jednej dziewczyny, której by to trzeba dwa razy mówić. A w dodatku taka ładna dziewczyna!

M<sup>r</sup>Turk mocno zaparł się nogą w drzwi na wypadek, gdyby mama Yeo chciała wejść niespodziewanie, bo twarz Mary przybrała wyraz stanowczy. W tej chwili Tulke spostrzegł, że drogę zagroziła mu wysoka córka Devonu — tego najmilszego pod słońcem kraju łatwych pocałunków. Grzecznie usunął się na bok, ona zaś namyślała się przez chwilę, a potem położyła mu swą dużą rękę na ramieniu.

— Dokąd idziesz, kochanku? — zapytała.

Stalky, który wepchnął sobie chustkę do ust, widział, jak młody chłopak oblał się szkarłatem.

— Dajże mi całusa! Czy was w szkole zupełnie grzeczności nie uczą?

Tulke stracił dech i chciał zawrócić. Mary poważnie i sumiennie pocałowała go dwa razy. Nieszczęsny prefekt uciekł.

Wróciła do sklepu z oczami pełnymi naiwnego zdziwienia.

— Pocałowałaś go? — pytał Stalky, wręczając jej pieniądze.

— Pewnie, że tak! Ale wiecie co, chłopcy, to chyba nie student. On miał taką minę, jak gdyby mu się na płacz zbierało.

— My byśmy z pewnością nie płakali. Ano, spróbuj, czy któryś z nas się rozpłacie! — mówił M<sup>r</sup>Turk.

Mary wyszturchała ich wszystkich trzech po kolei.

Kiedy wreszcie wyszli z czerwonymi jak ogień uszami, Stalky oświadczył:

— Zdaje mi się, że z tej konferencji prefektów niewiele nam przyjdzie.

— A ja myślę inaczej! — odpowiedział Beetle. — Słuchaj. Jeżeli to on pocałował — a tak utrzymywać będziemy my — jest cynicznym, niemoralnym rozpustnikiem, a jego



postępowanie musi się nazwać jawną nieprzyzwoitością. *Confer orationes Regis furiosissimi*, jak mnie złapał na czytaniu „Don Juana”.

— Nie ma co gadać, on ją pocałował! — wtrącił M<sup>r</sup>Turk. — Na samym środku ulicy. W czapce mundurowej na głowie.

— Godzina 3:57 po południu. Zapamiętajcie to sobie. Co chciałeś powiedzieć, Beetle?

— Otóż widzicie. On nie kłamie. Może powiedzieć, że to ona go pocałowała.

— A wtedy co będzie?

— Wtedy? Jak to co? — zawołał Beetle, podskakując z radości na samą myśl o tym. — Czy nie rozumiecie jeszcze? Przecież stąd chyba wniosek jasny, że szósta klasa nie może się obronić przeciw publicznym zniewagom, a nawet porwaniu. To znaczy, że trzeba chyba, aby niańki chodziły z nimi na spacer. Wystarczy szepnąć to tylko w budzie — toż by się szósta klasa wkopała!

— Jak Boga mego! — ucieszył się Stalky. — Dobrze się kończy nasz ostatni kurs. A teraz syp i popraw tę swoją szmatę, ja i Turkey pomożemy ci. Wejźmy od tyłu, po co nam niepokoić Randalla.

— Tylko nie naróbcie mi zamieszania — mówił Beetle, wiedząc dobrze, czego się może spodziewać po pomocy przyjaciół, ale z drugiej strony nie mogąc wytrzymać, aby się swym znaczeniem przed nimi nie popisać. Jego własne terytorium stanowiła znajdująca się za drukarnią Randalla mała komórka, w której Beetle’owi zdawało się czasem, że jest naczelnym redaktorem „Times’a”. Tu, pod kierunkiem zasmarowanego czernidłem drukarskim terminatora, nauczył się jako tako gospodarować w kasztach, skutkiem czego uważał się za biegłego zecera.

Na kamiennym stole leżały już gotowe kolumny pisma licealnego. Beetle mógł poprawić leżącą na boku korektę, tego jednak za nic w świecie by nie uczynił. Zbrojny w młotek i szczypczyki wyciągał tajemnicze sztabki, rozluźniając formę, tu wyjął jakąś literę, tam ją znów włożył, czytając dorywczo, pochylony nad kolumnami i chichocząc nad własnymi artykułami.

— Z pewnością nie sadziłbyś się tak, jakbyś tym musiał zarabiać na życie — rzekł M<sup>r</sup>Turk. — To do góry nogami i po żydowsku? Czekaj, czy ja co potrafię przeczytać.

— Idźże! — zawołał Beetle. — Przeczytaj te kolumny w formie, jeśli myślisz, że jesteś taki mądry.

— Kolumny w formie! Cóż to znowu! Nie bądźże takim wściekłym fachowcem.

M<sup>r</sup>Turk zaczął się wraz ze Stalkym wałęsać po drukarni. Wszystkiego musieli dotknąć.

— Beetle, chodź no tu! — zawołał po paru minutach Stalky.

— Co to takiego? To mi coś przypomina.

Beetle rzucił okiem i odpowiedział:

— To drukowane na egzamin łacińskie zadanie Kinga. *In... In Verrem: Actio prima*. Co za szopa!

— Pomyślcie tylko o czystej, wzniosle myślącej młodzi, która dałaby duszę, żeby móc na to okiem rzucić! — zauważył M<sup>r</sup>Turk.

— Nie, drogi Wilusiu — rzekł Stalky — to by mogło w zbyt przykry i bolesny sposób dotknąć naszych szanownych mistrzów. Nie będziesz przecie odrzynał, Wiluś.

— I tak teraz tego głupkowatego zdania przeczytać nie potrafię — brzmiała odpowiedź. — A zresztą, my tak czy siak z końcem kursu wychodzimy, więc nam to wszystko jedno.

— Czy przypominacie sobie, co szanowny Bloomer zrobił z opowiadaniem Sprag-gona o psach Puffingtona! Musimy za Kinga osłodzić trochę to jego mleko! — mówił Stalky, promieniejąc szatańską radością. — Zobaczmy, czego Beetle potrafi dokonać przy pomocy tych obcęgów, z których jest tak dumny.

— Nielatwa to rzecz zrobić tę łacinę bardziej zwirowaną niż jest, ale spróbujemy! — mówił Beetle, przynosząc *Aliud* i *Asiae*, wycięte z dwu osobnych zdań. Czekajcie, tę kropkę przeniesiemy trochę dalej, a zdanie zaczniemy od pierwszej lepszej wielkiej litery. Byczo! Tu całe trzy wiersze można przenieść na inne miejsce.

— Jedna z tych wykwinnych pauz, za które tak słusznie sławiono naszego słynnego myśliwego! — zacytował Stalky, który umiał polowanie Puffingtona na pamięć.

— Czekaj! — zawołał M<sup>r</sup>Turk. — Tu jest *vol... voluntate quidnam* bez niczego.

— Zaraz o tym pomyślimy. *Quidnam* pójdzie po *Dolabelli*.

— Poczciwy, stary Dolabella — mruknął Stalky. — Nie złamcie go! Jaka okropna jest ta proza Cyclerona, nieprawdaż? Powinien nam być wdzięczny...

— Hallo! — zawołał M<sup>r</sup>Turk pochylony nad inną kolumną.

— Co mi dacie za wspaniałą odę? *Qui... quis*, o, to *Quis multa gracilis*, jak Boga kocham.

— Dawaj tu. Tuśmy mleko już dość osłodzili! — rzekł Stalky po kilku minutach gorliwej pracy. — Nigdy niepotrzebnie nie bijcie swych psów.

— *Quis munditiis?* — zaczął Beetle, nie składając szczypców — Słowo daję, że to bycze! Czy ten znak zapytania nie fajno tu wygląda? *Heu quoties fidem!* To brzmi tak, jakby ten chłop czegoś się pietrał i nie wiedział, co z sobą począć. *Cui flavam religas in rosa* — którego woń uciekła w różę — *Mutatoque Deos flebit in antro*.

— Płaczący w grocie niemi bogowie — poddał Stalky. — Jak Boga mego, Horacy potrzebuje nad sobą takiego samego dozoru jak Tulke.

Redagowali gorliwie, aż się tak ściemniło, że już nic nie było widać.

— Aha! *Elucescebat* — mówił nasz przyjaciel. Ulpian mi wystarczy, nieprawdaż? Jeśli King potrafi co zrobić z *tego*, jestem skończonym osłem — mówił Beetle, kiedy, wysłizgnąwszy się przez okno, stanęli w dobrze znanej sobie alei na tyłach domu i rozpoczęli trzymilowy bieg do liceum. Korekta klasyków zatrzymała ich zbyt długo. Gdy wyczerpani i bez tchu dopadli wreszcie krzaków i gazometru, w oknach liceum płonęły już światła i było co najmniej dziesięć minut po dzwonku na herbatę i na apel.

— Oj, źle z nami! — mówił zadyszany M<sup>r</sup>Turk. — Założę się o szylinga, że Foxy czeka na spóźnionych pod latarnią na podwórzu. I to świństwo, bo w dodatku sam rektor pozwolił nam wyjść, a myśmy nie przyszli na czas.

— Pozwólcie mi poszukać w pełnej skarbnicy mej wiedzy — zaczął Stalky.

— Idź do licha! Nie udawaj Jorrocka. Nie mogliśmy jakoś dopaść? — martwił się M<sup>r</sup>Turk.

— Mr. Radecliffe nie lubił butów biskupa, ale zalecał gorąco szampańskie wino i marmoladę morelową jako smar na cholewy. — Gdzie tu ten figiel, którym się po południu zabawiał dozorca?

Słyszeli, jak szukał czegoś po omacku w mokrej trawie. A potem stał się cud. Światła w domkach straży nadbrzeżnej zgasły; jarzące się okna klubu golfowego zniknęły, za nimi fasady dwu hoteli. W porozrzucanych tu i ówdzie samotnych willach światła zaczęły blednąć, migotać, gasnąć. Wreszcie pogasły też światła w liceum i trójka znalazła się w ciemnościach burzliwej nocy zimowej.

— Jak Boga mego! To ci mróz! — zadeklamował Stalky. — Dalie powiędły! Uciekajmy!

Popędzili przez krzaki, podczas gdy liceum huczało jak ul rozgniewanych pszczoł, a w refektarzach rozlegało się rytmiczne chóralne wołanie „Gaz! Gaz! Gaz!”. Wreszcie stanęli na brzegu stromej drogi, która oddzielała ich od pracowni. Zsunąwszy się w wąwóz jak kule, wyskoczyli znów w górę jak ulicznicy i podskoczyli do swej pracowni. Nie minęły dwie minuty, a już byli przebrani, w suchych kurtkach, spodniach i zasznurowanych starannie pantoflach, po czym czym prędzej wmieszali się w refektarzu w tłum przypominający ognisko rewolucji południowoamerykańskiej.

— Ciemno jak w grobie i serem śmierdzi!

Wrzeszcząc na całe gardło „Gaz! Gaz!” Stalky łokciami torował sobie drogę przez tłum.

— Cockey poszedł na spacer! Niech go Foxy poszuka!

Prout, jako najbliższy dyrektor, starał się przywrócić porządek, bo brutalni chłopcy rzucali w zamieszaniu kromkami chleba z masłem, a M<sup>r</sup>Turk przewrócił na stole mikrusów czajnik z ukropem, tak że wielu poparzonych płakało z nieudanego bólu. Czwarta i trzecia wyższa śpiewały hymn szkolny *Vive la Compagnie* przy towarzyszeniu bębnienia nożami, a niższe klasy piszczały przeraźliwie i rabowały sobie wzajemnie wiktuały.

Kiedy wreszcie okropny odór zwiastował, że gaz już jest, Stalky w rozpiętej bluzce zapychał się żarłocznie tym, co mogło się nazywać jego czwartą filiżanką herbaty.

— No, nareszcie jest światło? — mówił. — Hallo! Oto Pomponius Ego!

Był to Carson, pierwszy celujący szkoły, dobroduszny, poczciwy chłopaczyna, filar pierwszej drużyny piłki nożnej. Podeszedłszy ku nim od stołu prefektów poprosił ich suchym, oficjalnym tonem, aby za pół godziny stawili się w jego pracowni.

— Konferencja prefektów! Konferencja prefektów! — zaczęto szeptać przy stołach, przy czym niektórzy chłopcy po barbarzyńsku demonstrowali działanie lasek i jego skutki.

— I z której strony mamy ich teraz naciągnąć? — pytał Stalky, zwróciwszy się półtwarzą do Beetle'a. — Tym razem to twój interes.

— Słuchajcie! — brzmiała odpowiedź. — Ja was proszę tylko o jedno, to jest, żebyście się nie śmiali. Ja oskarżę Tulke'go o niemoralność — *à la King* i to będzie bardzo poważna historia. Jak już nie będziecie mogli wytrzymać, nie patrzcie na mnie, bo trzasnę!

— Dobrze. Niech będzie! — odrzekł Stalky.

Pociągnęła twarz M<sup>r</sup>Turka zeszywniała, a powieki na pół przysłoniły mu oczy; to ostatnie było hasłem do bitwy.

Ośmiu czy dziewięciu seniorów z twarzami bardzo poważnymi i surowymi zasiadło kołem w fotelach w rozpaczliwie filisterskiej pracowni Carsona. Tulke nie cieszył się wśród nich szczególniejszą popularnością, a kilku z nich, którzy już mieli do czynienia ze Stalkym i Spółką, obawiali się, czy przypadkiem Carson nie zbłądził się. W każdym razie należało podtrzymać godność szóstej klasy. Toteż Carson od razu wleciał na nich.

— Słuchajcie, chłopcy ja... my... zawezwaliśmy was, żeby wam powiedzieć, że sobie trochę zanadto wobec szóstej klasy pozwalacie — i to nie od dziś — i... i myśmy patrzyli na to przez palce, ale dalej już znosić tego nie będziemy. Pokazuje się znowu, że dziś po południu, na drodze do Bideford skłębicie i zwymyślaliście Tulke'go. Otóż my pokażemy wam, że tak dalej nie pójdzie. Skończyłem.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł Stalky. — Raczysz jednak przyznać, że i my mamy jakieś prawa. Bynajmniej nie uchodzi, tylko dlatego że przypadkiem jesteście prefektami, wrzeszczeć i ryczeć na nas, seniorów, i besztać ich, jakbyście byli dyrektorami. My nie jesteśmy mikrusami, Carson. Takie kawały mogą zaimponować Daviesowi Tertiusowi, ale nie nam, rozumiesz?

— Tylko przez idiotyzm starego Prouta nie jesteśmy od dawna prefektami! Sami o tym wiecie! — wtrącił M<sup>r</sup>Turk. — Nie macie ani odrobiny taktu.

— Przepraszam bardzo! — zawołał Beetle. — Konferencja prefektów powinna być zameldowana rektorowi. Pragnąłbym wiedzieć, czy rektor popiera Tulke'go w tej sprawie.

— Właściwie... właściwie to nie jest konferencja prefektów w ścisłym znaczeniu — rzekł Carson. — Myśmy was zawezwali tylko po to, aby was przestrzec.

— Ale wszyscy prefekci są obecni! — obstawał przy swoim Beetle. — Gdzież różnica?

— Jak Boga mego! — odezwał się Stalky. — Wyobrażacie sobie, że to można tak zawołać nas na urąganie, przysyłając po nas człowieka, który nam przed całą szkołą podczas herbaty każe przyjść, tak że wszyscy myślą, że to zebranie prefektów? Słowo daję, Carson, to ci płazem nie ujdzie!

— Ciemna historia, bardzo ciemna! — rzucił M<sup>r</sup>Turk, potrząsając głową. — W najwyższym stopniu podejrzana.

Prefekci spojrzeli po sobie niespokojnie. Tulke zwołał trzy konferencje prefektów w przeciągu dwu kursów, aż wreszcie rektor oświadczył, iż spodziewa się, że szósta klasa potrafi utrzymać inne w korbach bez ciągłego straszenia jego powagą. Prawda, mieli wrażenie, że niezbyt zręcznie zabrali się do rzeczy, jednakże żaden przyzwoity, porządny chłopak nie ośmieliłby się kwestionować legalności ich konferencji i z pewnością poddałby się sądowi. Protest Beetle'a był po prostu zuchwałstwem.

— A wam powinno się po prostu dać lanie i koniec — wykrzyknął lekkomyślnie niejaki Naughten.

Słowa te rozpały w Beetle'u szlachetne natchnienie.

— Za przeszkadzanie w umizgach Tulkemu, co?

Tulke stanął w pąsach.

— O, tak to nie pójdzie! — mówił Beetle. — Zrobiłeś swoje! Zawezwałeś nas tu za to, żeśmy cię skłębili i zwymyślali, chciałeś nam dać przestrożę. *Nam?* Czekałże, teraz na nas kolej.

— Ja... ja... — zaczął Tulke. — Nie pozwólcie tej młodej żmii mówić!

— Jeśli chcesz coś powiedzieć, musisz się wyrażać przyzwoicie — zwrócił Beetle'owi uwagę Carson.

— Przyzwoicie? Niech wam będzie przyzwoicie. A więc słuchajcie. Idąc do Bidefordu, spotkaliśmy tę ozdobę szóstej klasy — czy to dość przyzwoicie? — wałęsającą się po

gościńcu z dziwnym jakimś blaskiem w oku. Wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, dlaczego tak bardzo zależy mu na tym, aby nas zatrzymać, ale pięć minut przed czwartą, kiedyśmy siedzieli w mleczarni Yeo, ujrzelśmy Tulkego w biały dzień, w czapce licealnej, całującego i pieszczącego na ulicy kobietę. Czy to dla was będzie dość przyzwoite?

— To nieprawda — to nie ja...

— Czyżeśmy cię nie widzieli? — mówił dalej Beetle. — A potem — nie obawiaj się, Carson, będę się wyrażał przyzwoicie — wróciwszy ukradkiem z ustami ciepłymi jeszcze od pocałunków (nie na próżno czytał Beetle nowoczesnych poetów), zwołujesz konferencje prefektów, które nie są konferencjami prefektów, w celu podtrzymania honoru szóstej klasy.

Tu otwarła się przed nim nowa, szczytna droga natchnienia.

— A skąd my możemy wiedzieć — wykrzyknął. — Skąd my możemy wiedzieć, ilu uczniów szóstej klasy macza palce w tej obrzydliwej aferze?

— Tak jest, bardzo byśmy chcieli to wiedzieć — odezwał się M<sup>r</sup>Turk z dostojną godnością.

— My mieliśmy zamiar pomówić z wami o tym zgodnie i spokojnie, Carson, ale wy woleliście zwołać konferencję — dorzucił z współczuciem Stalky.

Prefekci byli tak zaskoczeni, iż żaden z nich nie mógł się zdobyć na słowo. Wobec tego Beetle, starannie modelując swą retorykę według Kinga, atakował w dalszym ciągu, samego siebie wprowadzając w podziw i samego siebie przechodząc.

— A — a straszna tu jest nie tyle cyniczna niemoralność tej całej sprawy, ile zuchwała, bezwstydną nieprzyzwoitość. Pokazuje się, że nie będziemy mogli chodzić do Bidefordu, żeby się nie natknąć na wstrętne miłostki któregoś z prefektów. Nie ma się z czego śmiać, Naughten. Ja nie twierdzę, abyśmy się nadzwyczaj na tych rzeczach znali, zdaje mi się jednak, że bardzo zatwardziałym w grzechu (cytata<sup>100</sup> z kazania kapelana) musi być ktoś, kto potrafi ścisnąć swe miłośnice (to był Huckluyt) w obliczu całego miasta (reminiscencja z Miltona). Mógłby się przynajmniej zdobyć na przyzwoitość — a wy jesteście przeciw powagami, co się tyczy przyzwoitości, sądzę — i poczekać, aż się ściemni. Ale on nie czekał. Tak jest, nie przecz, nie czekałeś. O, Tulke, ty niepowściągliwy, niepanujący nad sobą bydlaku...

— Dość już, przestań na chwilę! — zawołał Carson. — Co to znaczy, Tulke?

— Ja... słuchajcie... bardzo mi jest przykro. Nigdy w życiu czegoś podobnego się po Beetle'u nie spodziewałem.

— Dlatego — że — ty — nie — masz — w sobie — cienia — wstydu — sądzisz — że — i ja — jestem — bezwstydnym? — wykrzyknął Beetle jednym tchem.

— Chciałeś to wszystko zatuszować za pomocą różnych podstępnych machinacji, co? — mówił Stalky.

— Wręcz zniewaga dla nas trzech! — dorzucił M<sup>r</sup>Turk. — Jakiż ty masz niski sposób myślenia, Tulke!

— Za drzwi was wyrzucę, jeśli się w ten sposób będziecie zachowywali! — wykrzyknął Carson z gniewem.

— Jeszcze jeden dowód, że to konspiracja! — rzekł Stalky z niewinną miną męczennika.

— Ja... szedłem ulicą — jak Boga kocham, szedłem sobie ulicą — wołał Tulke — i... bardzo mi przykro — ale przysłała jakaś kobieta i... pocałowała mnie. Jak Boga kocham, ja jej nie pocałowałem.

Zrobiła się cisza, w której słychać było tylko przeciągłe, śpiewne gwizdnięcie przez zęby Stalky'ego, oznaczające pogardę, zdziwienie i szyderstwo.

— Daję wam słowo honoru, że tak było! — wyjąkał prześladowany. — Och, nie pozwólcie im już uragać.

— Ano, trudno! — wtrącił M<sup>r</sup>Turk. — Musimy, oczywiście, poprzestać na twym tłumaczeniu.

— Kusz, M<sup>r</sup>Turk! — zagrział Naughten. — Nie ty jesteś głównym prefektem.

— Pewnie, że nie! — odpowiedział Irlandczyk. — Wy znacie Tulkego niewątpliwie lepiej niż my. Toteż ja mówię tylko za nas trzech. My tłumaczenie Tulkego przyjmujemy.

<sup>100</sup>cytata — dziś popr.: cytat (r.m.). [przypis edytorski]

Ja jednak chciałbym zaznaczyć, że gdyby mnie złapano na tak haniebnym uczynku i ja ośmieliłbym się podać na swe usprawiedliwienie to, co Tulke — nie wiem, co byście na to powiedzieli. Jednakże ze słowa honoru Tulkego...

— A Tulkus — przepraszam bardzo — Tulkiss — zatem Tulkiss faktycznie jest chłopcem honorowym — wtrącił Stalky.

— Ze słowa honoru Tulkego wynika, że uczniowie szóstej klasy, wyszedłszy na spacer, nie mogą się obronić, jeśli ich pierwsza lepsza dziewczyna chce pocałować! — wykrzyknął Beetle, zadając ostatnie uderzenie. — Ładna historia, no nie? Brakuje tylko, żeby się mikrusy o tym dowiedziały, to by była zabawa! My nie jesteśmy prefektami, to prawda, ale nas tak bardzo ulicach nie całują. Nie wiem nawet, czy nam kiedy na myśl przyszło co podobnego, co, Stalky?

— Ani mowy! — zastrzegł się Stalky, odwracając się, aby ukryć swój wyraz twarzy. Twarz M<sup>r</sup>Turka wyrażała tylko wzniosłą pogardę i odrobinę znużenia.

— No, no! Można by powiedzieć, że znacie się na tym lepiej, niż się zdaje! — zauważył jeden z prefektów.

— Cóż robić, jeśli wy pchacie nam to wciąż pod nos — tu Beetle zaczął naśladować przewlekły, najbardziej jadowity, gawędziarski styl Kinga — miły deszczyk po burzy — krótko mówiąc, wszystko to jest dostatecznie paskudne i ohydne. Ja faktycznie nie wiem, kto się tu prezentuje w gorszym świetle: Tulke, którego przypadkiem złapano na gorącym uczynku, czy też ci, którzy tego uniknęli. My zaś — tu zwrócił się dumnie do swych dwóch przyjaciół — mamy przed nimi stać i słuchać ich uragań za to, żeśmy przypadkiem wpadli na ślad ich miłostek.

— Bodaj cię jasny piorun! Ja chciałem was tylko przestrzec! — wrzasnął Carson, wydając się tym samym lekkomyślnie w ręce nieprzyjaciela.

— Przestrzec? Ty?

Słowa te wypowiedziano z miną człowieka, który niespodziewanie w szafie swej znajduje niemiłą rzecz, jaka tam nigdy być nie powinna.

— Carson, czy chciałbyś być tak łaskaw powiedzieć nam, przed czym, na miły Bóg, miałbyś prawo przestrzegać nas po tym skandalu? Przestrzec nas! No, tego już za wiele! Chodźmy gdzieś, gdzie powietrze jest trochę czystsze!

Drzwi zatrasnęły się za ich obrażoną niewinnością.

— O Beetle, Beetle, Beetle, mój złoty Beetle! — Ikał Stalky, rzuciwszy się na falującą pierś Beetle'a, jak tylko znaleźli się w pracowni. — I że ci sił starczyło!

— Pocziwa dusza! — mówił M<sup>r</sup>Turk, objąwszy obu ramionami głowę Beetle'a i kołysząc ją to na prawo, to na lewo do taktu starej piosenki:

Piękne usteczka... słodsze... niż wiśni lub malin miód...

Zawsze rozkoszne... zawsze... w uśmiechu przybrane cud...

Zdają się mówić... Pójdź do mnie! Całuj! O, chodź!

Cium, cium, cium, cium — cium-cium!

— Uważaj! Zbijesz mi latarnię! — sapał Beetle, wrywając się z jego objęć. — Co? Nie było to może wspaniałe? Nie zryćkowałem ich w niesłychany sposób? Widzieliście, jak naśladowałem Kinga? O, do diabła?

Beetle nagle się zachmurzył.

— Zapomniałem o najważniejszym słowie — sprośny! — Nie wiedziałem, że o tym zapomniał. W dodatku — jedno z najulubieńszych wyrażen Kinga!

— Nic nie szkodzi. Oni z pewnością lada chwila przyślą do nas poselstwo z prośbą, żebyśmy w szkole o niczym nie wspominali — mówił M<sup>r</sup>Turk. — Diabelnie im musi na tym zależeć. Biedna szósta! Biedna stara szósta!

— Zepsute młode świntuchy! — zaśmiał się Stalky. — Co za fatalny przykład dla niewinnych chłopców o czystych duszach i wzniosłym sposobie myślenia, jak ty i ja!

A tymczasem prefekci siedzieli w pracowni Carsona, niemi z osłupienia, wpatrując się w Tulkego, któremu się zbierało na płacz.

— Ładna historia! — odezwał się wreszcie główny prefekt. — A toś nam nawarzył piwa, Tulke!

— Czemu... czemu nie daliście temu przekłętemu Beetle'owi lania, zanim zaczął urągać? — jęknął Tulke.

— Ja wiedziałem, że tu będzie chryja! — rzekł prefekt z domu Prouta. — Nie trzeba się było, Tulke, upierać przy konferencji prefektów.

— Choroba ciężka, zarobiliśmy na czysto! — zaklął Naughten. — Przyszli tu i narągali nam, zamiast żebyśmy my ich zbesztali. Beetle traktuje nas, jakbyśmy byli szajką szantażystów i tak dalej. A kiedy nas starli na miał, wychodzą i trzaskają za sobą drzwiami, jakby byli dyrektorami. I wszystko przez ciebie, Tulke.

— Ależ kiedy ja jej nie pocałowałem!

— Ośle głupi! Gdybyś powiedział, żeś ją pocałował i obstawał przy tym, byłoby dzisiaj lepiej niż to, co zrobiłeś — odpowiedział Naughten. — Teraz rozgłoszą to w całej szkole, a Beetle narobi na ten temat kupę idiotycznych wierszy z różnymi przydomkami i przydomkami.

— Ależ kiedy naprawdę to ona mnie pocałowała!

Poza zadaniami i nauką Tulke myślał bardzo powoli.

— Nie myślę o tobie. Myślę o nas. Pójdę do nich, spróbuję, może mi się ich uda namówić, żeby byli cicho.

— Tulke zgasił się zupełnie z tą całą chryją — zaczął Naughten pojednawczo, odnalazszy Beetle'a.

— Któż go tym razem pocałował?

— I ja przychodzę do was, a specjalnie do ciebie, Beetle, z prośbą, abyście tego wszystkiego w szkole nie rozgłaszali. Chłopcy starsi, jak wy, seniorzy, sami chyba rozumieją, dlaczego.

— Hm! — mruknął Beetle z chłodną rezygnacją człowieka widzącego, że będzie musiał spełnić nieprzyjemny obowiązek publiczny. — Widzę, że będę raz jeszcze musiał iść i pomówić z szóstą.

— Najzupełniej zbyteczne, mój drogi, zapewniam cię! — rzekł pośpiesznie Naughten. — Mogę im powtórzyć wszystko, co chcecie!

Ale możliwość użycia zapomnianego przymiotnika była zbyt kusząca. Toteż Naughten wrócił na nierozwiązane jeszcze zebranie, prowadząc za sobą Beetle'a bladego, lodowatego i wyniosłego.

— Zdaje się — zaczął Beetle, wymawiając słowa dobitnie i wyraźnie — zdaje się, że doznajecie pewnego niepokoju na myśl o środkach, jakich użycie moglibyśmy uznać za stosowne odnośnie do ostatniego... ech... ech... sprośnego postępkul Tulkego. Jeśli może was poniekąd uspokoić wiadomość, że my postanowiliśmy — ze względu na honor szkoły, rozumiecie — pominąć milczeniem wszystkie te... ech... sprośności, to wam służę.

Wykręcił się na pięcie i dotykając, zda się, głową gwiazd, dostojnie skierował się ku pracowni, gdzie Stalky i M<sup>o</sup>Turk leżeli koło siebie na stole, obcierając łzy, za słabi, aby się móc poruszyć.

Powodzenie kawału z zadaniem łacińskim przeszło najśmielsze oczekiwania. Stalky i M<sup>o</sup>Turk byli od egzaminów uwolnieni (mieli nadliczbowe lekcje z rektorem), ale Beetle poddawał się egzaminowi z całą gorliwością.

— To, zdaje mi się, jest twoje *parergon*! — mówił King, rozdając drukowany tekst zadania. — Ostatni popis, zanim przeniesiesz się w sfery wyższe. Ostatni atak przypuszczony do klasyków. Zdaje się, że już odbiera ci humor.

Beetle czytał tekst ze zmarszczonymi brwiami.

— Nie widzę tu ani głowy, ani ogona! — mruknął. — Cóż to ma znaczyć?

— O, nie! — wykrzyknął King z profesorską kokieterią. — My właśnie spodziewamy się, że ty powiesz nam, co to znaczy. To, widzisz, mój kochany Beetle, jest egzamin, a nie konkurs na odgadywanie szarad. Zobaczysz, że twoi koledzy bez najmniejszych trudności...

Tulke wstał, wyszedł z ławki i położył tekst na katedrze. King spojrział, zaczął czytać i naraz pozieleniał jak trup.

— Stalky dużo stracił — pomyślał Beetle. — Ciekawa rzecz, jak się z tego teraz King wykręci.

— Zdaje się — zaczął King z wysiłkiem — iż uwaga naszego Beetle'a zawiera szczyptę prawdy. Skłaniam się ku przypuszczeniu, iż nasz zacny Randall musiał to upuścić w formie

— o ile jesteście w stanie zrozumieć, co to znaczy. Beetle, podajesz się za dziennikarza! Może zechcesz powiedzieć kolegom, co należy rozumieć pod formą.

— Co, prosz pampсора? Formę — od czego? W tym zdaniu nie widzę w ogóle ani jednego czasownika a... a... a Oda jest także zupełnie inna.

— Właśnie, zanim pośpieszyłeś się ze swą krytyką, chciałem powiedzieć, że tekst musiał ulec w drukarni jakiemuś nieszczęśliemu przypadkowi i że drukarz poprawił go według własnego widzimisię. Nie! — mówił, trzymając przed sobą papier na długość ramienia. — Co się tyczy Cyclerona lub Horacego, to nasz Randall nie jest żadną powagą.

— To wcale nieładnie zrzucić winę na Randalla — szepnął Beetle do swego sąsiada. — King musiał być pijany jak sowa, gdy układał to zdanie.

— My jednakże — mówił dalej King — możemy uniknąć błędów, dyktując jeszcze raz tekst.

— Nie, prosz pampсора — odpowiedział na raz co najmniej tuzin głosów. — Będziemy mieli mniej czasu na tłumaczenie. Mamy tylko dwie godziny. Tak nie idzie. To jest zadanie z drukowanego tekstu. Jak to potem klasyfikować? To wina Randalla. To nie nasza wina. Jak egzamin, to egzamin, prosz pampссора...

Oczywiście, Mr. King uważał to za zamach zmierzający do podminowania jego powagi i zamiast natychmiast rozpocząć dyktando wygłosił mowę o duchu, w którym się powinno przystępować do egzaminów. Kiedy burza zaczęła już przycichać, Beetle rozdmuchał ją na nowo.

— Co? Co takiego? Coś powiedział do Mac Lagana?

— Ja mówiłem tylko, prosz pampссора, że tekst przed rozdaniem należało przejrzeć.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — rozległo się z tylnych ławek.

Mr. King zapragnął dowiedzieć się, czy Beetle osobiście zamierza ustalać tradycje szkoły, i ta jego żądza wiedzy pochłonęła nowych piętnaście minut, podczas których prefekci jawnie już zaczęli okazywać swe zniecierpliwienie.

— Powiadam wam, bawiliśmy się byczo! — opowiadał potem Beetle w pustej już i obranej ze wszystkiego pracowni Nr 5. — Trochę krzyczał, a potem ja znów pociągnąłem go za język, a potem podyktowałem nam z połowę Dolabelli.

— Pocziwiy, stary Dolabella! — rzekł Stalky czule. — To mój przyjaciel. No i...?

— A wtedy myśmy go znowu zaczęli pytać, jak się każde słowo pisze, i on, oczywiście, znowu się rozwrzeszczał. Sklął mnie i Mac Lagana (Mac Lagan udawał, że się ze mną kłóci) i Randalla, i „materialistyczną ignorancję, nieoświeconej burżuazji”, jej „ubieganie się wyłącznie o stopnie” i tak dalej. Był to istotnie ostatni popis, ostatni atak, ostatnie *parergon*.

— Ależ on był pijaniuteńki, jak układał to zadanie! Spodziewam się, że *to* dałeś do zrozumienia — wykrzyknął Stalky.

— Pewnie! Powiedziałem to Tulkemu. Powiedziałem mu, że niemoralny prefekt i pijaczyna-dyrektor stanowią parę. O mało się nie rozbeczał. Od czasu tej historii z Mary ma przede mną strasznego boja!

Tulke zachowywał się już skromnie i nieśmiało do ostatniej chwili, kiedy wypłacono pieniądze na podróż i kiedy chłopcy zaczęli siadać na bryczki, które miały ich zawieźć na stację.

— Widzisz, Tulke! — zaczął Stalky. — Możesz być sobie prefektem, ale ja skończyłem już liceum, a ty zostajesz. Rozumiesz to?

— Tak jest, rozumiem. Bez urazy, Stalky!

— Stalky? Cóż to za śmiałość, smarkaczu jeden! — wykrzyknął Stalky, wspaniały w swym cylindrze, wysokim kołnierzyku, getrach i w dobrze skrojonym, brązowym ulstrze. — Chciałbym, żebyś zdał sobie sprawę z tego, iż *ja* jestem Mr. Corkran, podczas gdy ty jesteś małym, parszywym sztubakiem.

— Poza tym niesłychanie zepsuty! — dodał M<sup>r</sup>Turk. — Jak śmiesz nawet narzucać swe towarzystwo młodym ludziom o czystych duszach i wzniosłym sposobie myślenia?

— Chodź tu, Tulke! — wołał Naughten z wozu prefektów.

— Owszem, idziemy! Wstawać, chłopaki, i posunąć mi się zaraz. Wy wszyscy wróćcie tu na drugi kurs z waszym „Tak jest, prosz pampссора” i „O, prosz pampссора” i „Nie, prosz pampссора”! Zanim się jednak rozstaniemy, opowiem wam małą historyjkę. Jazda, Dickie

(to do woźnicy), jesteśmy już gotowi. Wsuńcie to pudło na cylinder pod ławkę i nie pchajcie się tak na waszego wuja Stalky'ego.

— Doprawdy, trudno o grupę wznioślejszą myślących pacholąt, jakby się kto pytał! — mówił M'Turk z życzliwą łaskawością. — Odrobinę niemoralni, ale ostatecznie, cóż robić! Chłopcy zawsze zostaną chłopcami. Nie ma co robić tak nadętej miny, Carson. Pan Corkran zamierza nas zabawić historią Tulkego i Mary Yeo!

## NIEWOLNICY LAMPY

### Część druga

Tenże sam Dzieciuch, który Eustachemu Cleaverowi, powieściopisarzowi, opowiedział swego czasu historię ujęcia Boha Na Ghee, odziedziczywszy baronię z olbrzymimi dochodami, wystąpił z wojska i pędził życie bogatego ziemianina, podczas gdy matka jego czuwała, aby się ożenił jak należy. Ale Dzieciuch, nie orientując się jeszcze w nowych stosunkach, darował miejscowym ochotnikom na strzelnicę obszar długości dwu mil, leżący w samym środku jego majątku, skutkiem czego sąsiedzi, żyjący z dala od świata w krzakach pełnych bażantów, uważali go za skończonego wariata. Huk strzałów karabinowych płoszył ptactwo, dlatego wykluczono Dzieciucha z towarzystwa sędziów pokoju i przyzwoitych ludzi do czasu, aż jakaś panna z okolicy nie nauczy go rozumu. Dzieciuch mścił się za to, zaludniając swój dom starannie dobieranymi starymi kolegami licealnymi, przyjeżdżającymi na urlop — rozkosznymi weteranami, na których panny z okolicy, jeżdżące na rowerach, mogły tylko z daleka rzucić okiem. Z zaproszeń Dzieciucha wiedziałem, skąd jaki transport wojskowy nadszedł. Czasami sprowadzał kolegów w równym z nami wieku, czasem młodych, czerwieniących się łatwo olbrzymów, w których poznałem byłych mikrusów, znanych mi jeszcze z drugiej przygotowawczej. Tych Dzieciuch i inni starsi pouczali o obowiązkach żołnierza.

— Ja musiałem z wojska wystąpić — mawiał Dzieciuch. — Z tego jednak nie wynika, aby olbrzymie zasoby mych doświadczeń musiały być dla przyszłości stracone.

Skończył właśnie trzydzieści lat i właśnie tegoż lata następująca depesza w rozkazującym tonie wezwała mnie na jego baronowski zamek:

— Dostałem dobry transport z Tamary, przyjeżdżaj.

Był to faktycznie nadzwyczaj dobry transport, dobrany wyłącznie dla mej osobistej przyjemności. Był tam łysawy, zniszczony kapitan piechoty hinduskiej, dygocący z febrzy poza swym olbrzymim, czerwonym nosem — a nazywał się kapitan Dickson. Był drugi kapitan, także z piechoty hinduskiej, z jasnym wąsem: twarz miał porcelanowo białą, a ręce wężowe, ale odpowiadał wesoło, gdy go wołano Tertius. Był tam też człowiek olbrzymi i wyglądający wytwornie, który prawdopodobnie nie widział pola już od lat, starannie ogolony, cicho mówiący i mający w sobie coś kociego — zawsze ten sam stary Ebenezar, mimo iż był chlubą Indyjskiej Służby Politycznej; a dalej był tu też chudy Irlandczyk, o twarzy niebiesko-czarnej od opalenia pod różnymi słońcami Departamentu Telegraficznego. Na szczęście obite wołokiem drzwi kawalerskiego skrzydła zamykały się szczelnie, bo my przebieraliśmy<sup>101</sup> się kąpać na korytarzach lub też w nieswoich pokojach rozmawiając, wołając, krzycząc, a czasami walcząc do taktu piosenek układu samego Dicka IV.

Mieliśmy sobie mnóstwo do opowiedzenia od czasu, kiedyśmy się ostatni raz spotkali w zmiennych losów kolejach w Indiach, na jakimś obiedzie, w obozie, na placu wyścigowym — w dak-bungalowie lub na dalekiej stacji kolejowej — ale nigdy nie traciliśmy się z oczu. Dzieciuch siedział na poręczy, słuchając nas nie bez pewnej zazdrości. Nie miał nic przeciw swej baronii, ale czasem żał mu było minionych dni.

Była to wesoła wieża Babel, mieszanina spraw osobistych, prowincjonalnych i dotyczących całego Imperium, fragmenty starych list apelu, pomieszane z nowinkami politycznymi, aż wreszcie cały ten zgiełk przeciął od razu huk burmańskiego gongu i my wszyscy powędrowaliśmy z ćwierć mili schodów, aby powitać matkę Dzieciucha, która знаła nas, kiedyśmy jeszcze chodzili do szkoły, a powitała, jak gdybyśmy się przed tygo-

<sup>101</sup>przebierać się (tu daw.) — przekradać się, wałęsać się. [przypis edytorski]



dniem rozstali. A przecież minęło już piętnaście lat od chwili, gdy płacząc ze śmiechu, pożyczyla mi stary szlafrok, niezbędny do pewnego amatorskiego przedstawienia.

Obiad z „Tysiąca i jednej nocy” podano nam w sali długiej na osiemdziesiąt stóp, pełnej portretów przodków, wazonów z kwitnącymi różami i — co jeszcze większe na nas zrobiło wrażenie — ogrzewanej kaloryferami. Kiedy uczta się skończyła i mamusia odeszła („Wy, chłopcy, chcecie sobie pewnie pogawędzić, więc ja wam powiem dobranoc!”), zebrałiśmy się dokoła ognia z gałęzi jabłoni płonących na olbrzymim lśniącym ruszcie stalowym w kominku wysokim na dziesięć stóp, Dzieciuch zaś otoczył nas różnymi dziwnymi likierami i tymi papierosami, jakie uczą najbardziej cenić swą własną fajeczkę.

— Co za rozkosz! — mruknął Dick IV z sofy, na której leżał zawinięty w koc. — Od czasu jak przyjechałem do kraju, pierwszy raz jest mi ciepło.

Wszyscy siedzieliśmy tuż przy ogniu, wyjąwszy Dzieciucha, który był już dość długo w domu, aby się przyzwyczaić do rozgrzewania się ruchem, kiedy mu było zimno. Jest to przykra rozrywka, do której zamięłowanie na naszej wyspie udają często Anglicy.

— Jeśli powiesz choć słowo o zimnych tuszach i szybkim marszu, kości ci połamię, Dzieciuchu! — ciągnął powoli M<sup>r</sup>Turk. — Ja mam wątrobę, uważasz? Pamiętacie, jakęśmy to uważali za niesłychaną rozkosz zrywać się w niedzielę rano, kiedy w lecie było 57 stopni i kąpać się w morzu w Pebbleridge? Brr!

— Doprawdy nie rozumiem — odezwał się Tertius — jakęśmy mogli jako chłopcy zlaźić do łaźni, gotować się aż do czerwoności, a potem z otwartymi porami wylatywać na śnieg i mróz! A mimo wszystko, o ile sobie przypominam, ani jeden chłopak z tego nie umarł.

— *À propos* łaźni — zachichotał M<sup>r</sup>Turk — przypominasz sobie, Beetle, naszą kąpiel w łaźni Nr 5 tego wieczoru, kiedy to Króliczy Bobek zdemolował pracownię Kinga? Co bym dał za to, żeby móc zobaczyć starego Stalky'ego! On jeden z obu naszych pracowni nie przyjechał.

— Stalky jest jednym z największych ludzi swego wieku! — wtrącił Dick IV.

— Skąd wiesz? — zapytałem.

— Skąd wiem? — odpowiedział Dick IV z pogardą. — Gdybyś był ze Stalky'm w takich opalach jak ja, nie pytałbyś z pewnością.

— Ja nie widziałem się z nim od czasu obozu pod Pindi w osiemdziesiątym siódmym! — zaznaczyłem. — Zrobił się z niego wówczas olbrzymi chłop — około siedmiu stóp wysoki i cztery stopy gruby.

— Morowy chłop. Niesłychanie morowy chłop! — mówił Tertius, kręcąc węsą i wpatrując się w ogień.

— Kiedy był w osiemdziesiątym czwartym w Egipcie — odezwał się Dzieciuch — mało brakowało, a byłby poszedł pod sąd wojenny. Jechałem z nim tym samym statkiem transportowym, taki sam nowicjusz jak i on, tylko że po mnie to było widać, a po Stalky'm nie.

— A cóż tam takiego zmalował? — pytał M<sup>r</sup>Turk, pochylając się machinalnie, aby mi poprawić przekrzywiony krawat.

— Och, nic! Jego pułkownik pozwolił mu wziąć dwudziestu Tommies<sup>102</sup> i pójść na tyły kąpać się, czesać wielbłądy czy coś w tym guście, a Stalky zaawanturował się z derwiszami na pięćdziesiąt mil w głąb kraju. Wykonał wspaniale odwrót i ośmiu derwiszów ukatrupił. Wiedział dobrze, że nie miał prawa zapuszczać się tak daleko, wobec czego postanowił uprzedzić grożący mu cios i napisał do swego piniącego się tymczasem z wściekłości pułkownika list, w którym się skarżył na „niedostateczne wsparcie, udzielone mu w jego operacjach”. Zupełnie, jakby jeden brygadier dał nosa drugiemu. Potem przeniósł się do sztabu generalnego.

— To istotnie cały Stalky! — rzekł Ebenezar ze swego fotela.

— Ty się może też z nim spotkałeś? — spytałem.

— O, tak! — odpowiedział swym cichym głosem. — Brałem udział w finale tej... tej epopei. Znacie tę historię?

<sup>102</sup>Tommy a. *Tommy Atkins* — tu ang. pot.: szeregowiec w armii brytyjskiej. [przypis edytorski]

Nie znaleźliśmy — ani Dzieciuch, ani M<sup>r</sup>Turk, ani ja — wobec czego bardzo grzecznie poprosiliśmy o informację.

— To była nie lada przeprawa — rzekł Tertius. — Wpadliśmy przed paru laty w pułapkę w górach Khye-Kheen, a Stalky wyciągnął nas z biedy. Oto wszystko.

M<sup>r</sup>Turk spojrział na Tertiusa z całą pogardą Irlandczyka dla Saksona o przyrośniętym języku.

— Boże! — jęknął. — I to ty i podobni do ciebie rządzą Irlandią. Tertius, czy ci nie wstyd?

— Cóż zrobić, ja nie umiem błagować. Ja potrafię dodać tylko to, co sam wiem, jak drugi zacznie. Każcie jemu opowiadać.

To mówiąc, wskazał Dicka IV, którego nos świecił wzgardliwie po drugiej stronie kominka.

— Wiedziałem, że nie potrafisz! — rzekł Dick IV. — Dajcie mi whisky z sodową wodą. Kiedy wy, łajdaki, kąpaliście się w szampanie, ja piłem lemoniadę i zażywałem chininę z amoniakiem, a we łbie mi huczy jak w młynie.

Obtarł zjeżone wąsy nad swą szklanką i, dzwoniąc zębami, zaczął:

— Słyszeliście o wyprawie przeciw Khye-Kheen i Malotom, kiedy to, nie śmiąc bić się z naszym korpusem ekspedycyjnym, to draństwo mało nie wyzdychało z samego strachu? Otóż oba plemiona — bo oni zawarli przeciw nam sojusz — przyszły do nas bez strzału. Kupa kudłatych drabów, którzy nad swoimi ludźmi nie mieli większej władzy niż ja, no i te draby obiecały i przysięgły najrozmaitsze rzeczy. Na tej bardzo wątej i kruchej podstawie, Kiciuniu słodka...

— Ja byłem wtedy w Simli — rzekł Ebenezar pośpiesznie.

— Nic nie szkodzi, wszyscy jesteście tego samego kalibru! Otóż na podstawie takich groszowych traktatów wy, osły z Departamentu Politycznego, ogłosiliście, że kraj jest do cna uspokojony, zaś rząd, zwariowany jak zwykle, zabrał się do bicia dróg — w zupełności zdając się na lokalne siły robocze. Przypominasz to sobie, Kiciu? Koledzy, którzy właściwie nic podczas tej kampanii nie widzieli, byli pewni, że tu już nie będzie nic do roboty i chcieli wracać jak najprędzej do Indii, ale ja, który już brałem udział w takich małych awanturach, miałem pewne wątpliwości. Wobec tego wepchałem się *summo ingenio* na stanowisko komendanta patrolu drogowego — żadne wywijanie łopata, tylko, uważacie, przyjemny spacer tam i sam ze strażą. Wycofano wszystko wojsko, jakie tylko można było wycofać, mnie jednak udało się zebrać koło siebie około czterdziestu Pathanów, zwerbowanych przeważnie z mego własnego pułku, i z nimi razem siedziałem mocno w głównym obozie, podczas gdy poszczególne grupy robotników stosownie do katastrofu politycznego przychodziły do pracy nad budową dróg.

— Mieliśmy parę przykrych historii w obozie! — wtrącił Tertius.

— Mój szczeniak — Dick miał na myśli swego podkomendnego młodego oficera — był chłopak bardzo spokojny i cichy. Ponieważ mu te historyjki niezbyt przypadają do gustu, zachorował na zapalenie płuc. Ja włóczyłem się dokoła obozu i tak raz znalazłem Tertiusa, wałęsającego się jako D. A. Q. M. G.<sup>103</sup>, na którego stanowczo nie jest stworzony. W głównym obozie było nas coś sześciu czy ośmiu byłych uczniów liceum (na froncie zawsze naszych jest dużo), a ponieważ słyszałem, że Tertius jest chłop morowy, powiedziałem mu, żeby plunął na swoje D. A. Q. M. G. i pomógł raczej mnie. Tertius przystał od razu i wobec tego, ułożywszy się z władzami, ja, Tertius i czterdziestu Pathanów, wyszliśmy z obozu na poszukiwanie oddziałów czuwających na drogach. Oddział Macnamary — pamiętasz starego Maca, który tak haniebnie grał na skrzypcach w Umballi? — oddział Macnamary był przedostatni. Najdalej wysunięty był Stalky. Znajdował się on u samego początku drogi z garścią swych ukochanych Sikhów. Mac twierdził, że mu zupełnie nic nie grozi.

— Stalky jest *naprawdę* Sikhem — wtrącił Tertius. — Jak tylko może, wozi swoich ludzi na nabożeństwo do Durbar Sahib w Amritsarze z punktualnością zegarka.

— Nie przerywaj, Tertius! Znalazłem go na stanowisku wysuniętym na czterdzieści mil przed posterunek Macnamary, a moi ludzie delikatnie, lecz stanowczo, dali mi do zrozumienia, iż kraj zaczyna się ruszać. Niby jaki kraj, Beetle!? Ja, Bogu dzięki, nie umiem

Milczenie

Kolonializm

<sup>103</sup>Deputy Assistent Quartermaster General — oficer zastępujący głównego kwatermistrza. [przypis tłumacza]

malować słowami, ale ty z pewnością nazwałbyś ten kraj piekielnym. Jeśli nie tkwiłoby w śniegu, staczalibyśmy się ze stromych zboczy gór. Życzliwie usposobiona ludność, mająca dostarczać robotników do bicia dróg (zapamiętaj to sobie, Kiciuniu), siedziała za głazami i strzelała do nas jak do celu. Stara, stara historia! Zaczęliśmy szukać Stalky'ego. Miałem wrażenie, że on się dobrze zadekował i, istotnie, o zmroku znaleźliśmy jego i jego oddział, bezpiecznych jak pluskwy w kołdrze, w starej malockiej fortecy z basztą na jednym rogu. Forteca po prostu wisiała na wysokości pięćdziesięciu stóp nad drogą, którą w skałach wysadzano dynamitem. Od drogi zaś w dół szło dobrze strome zbocze górskie wysokości pięciuset do sześciuset stóp, prowadzące do wąwozu około pół mili szerokiego, a dwie do trzech mil długiego. Po drugiej stronie wąwozu siedziały draby, metodycznie badające, na jakiej wysokości mogą nas trafić. Wobec tego zapukałem, oczywiście, do wrót, a wszedłszy, potknąłem się od razu o Stalky'ego w brudnej, poplamionej krwi, starej burce, kucającego na ziemi i jedzącego ze swymi ludźmi. Mówiłem z nim ostatnim razem przed trzema miesiącami przez pół minuty, ale przywitał mnie jak gdybyśmy rozstali się poprzedniego dnia.

— Hallo, Alladyn! Hallo, Cesarzu! — zawołał. — Przyszliście w samą porę na przedstawienie.

Zauważyłem, że jego Sikhowie byli trochę obdarci. Zapytałem go, co z jego oddziałem i gdzie jego młodszy oficer.

— Oto wszystko, co zostało — odrzekł Stalky. — Młody Everett nie żyje, a jego ciało jest w baszcie. Napadli na nas zeszłego tygodnia i zabili jego i siedmiu ludzi. Oblegają nas już pięć dni. Zdaje mi się, że przepuścili was do mnie, żeby móc was złapać. Cały kraj już powstał. Doprawdy dziwne, żeście się dali wciągnąć w tę choleryczną pułapkę.

On się śmiał, ale ani Tertius, ani ja nie widzieliśmy w tym nic komicznego. Nie mieliśmy zupełnie żywności dla swoich ludzi, a Stalky miał dla swoich żarcia zaledwie na cztery dni. A zawinili w tym wszystkim, Kiciuniu moja, tylko wasi matolkowaci politycy, którzy zapewniali nas, że ludność jest dla nas jak najżyczliwiej usposobiona.

Żeby nam dodać ducha, Stalky zaprowadził nas do baszty i pokazał nam trupa biednego Everetta, leżącego w kupie nawianego śniegu. Everett wyglądał jak piętnastoletnia panna — ani jednego włoska na twarzyczce. Był trafiony w skroń, ale Maloci mimo to naznaczyli jego ciało swym piętnem. Stalky rozpiął mundur i pokazał nam je — ranę w kształcie sierpa na piersiach. Przypominasz sobie, Tertius, śnieg na rzęsach i jak zdawało się, że żyje, kiedy Stalky ruszał lampą?

— Pamiętam! — rzekł Tertius, wzdrygnąwszy się. — A przypominasz sobie ten okrutny wyraz twarzy Stalky'ego, z latającymi nozdrzami, taki sam, jaki miał, kiedy znęcał się nad mikrusem. Był to przyjemny wieczór!

— Tam, nad ciałem Everetta, odbyliśmy naradę wojenną. Stalky poinformował nas, że przeciw nam wystąpili zarówno Maloci, jak i Khye-Kheenowie, którzy w tym celu zawarli ze sobą rozejm i zaprzestali krwawej zemsty. Draby, widziane przez nas po drugiej stronie wąwozu, to byli Khye-Kheenowie. Było od nich do nas pół mili prosto jak strzelił i oni porobili sobie tam, tuż poniżej grzbietu góry, okopy, w których spali i przy pomocy których spodziewali się wziąć nas głodem. Powiedział nam też, że Malotów mamy przed sobą mnóstwo, że nie ma za fortecą jednej kryjówki, w której by Maloci nie siedzieli. Ale Khye-Kheenów Stalky cenił dwa razy więcej niż Malotów. Twierdził, że Maloci to haniebni zdrajcy. Czego zupełnie nie mogłem pojąć, to czemu, u diabła, obie bandy nie połączą się i nie uderzą na nas. Musiało ich być najmniej pięćset głów. Stalky twierdził, że oni sobie wzajemnie nie dowierzają, ponieważ w normalnych czasach z dziada pradziada są z sobą w stanie wojny i kiedy pewnego razu spróbowali wspólnego ataku, on wysadził między nimi dwie miny, co ich trochę ochłodziło.

Kiedyśmy skończyli, było już ciemno, a wówczas Stalky, wciąż z zupełnie pogodną miną, rzekł: „Teraz ty dowodzisz. Myślę, że nie będziesz się sprzeciwiał żadnej mojej akcji mającej na celu zaprowiantowanie fortecy”. Odpowiedziałem: „Pewnie, że nie!” — i lampa naraz zgasła. Wobec tego Tertius i ja powlekliśmy się na powrót schodami baszty (nie chcieliśmy zostać razem z Everettem) i wróciliśmy do naszych ludzi. Stalky zniknął — sądziłem, że poszedł liczyć zapasy żywności. Na wszelki wypadek Tertius i ja czuwaliśmy na zmianę do rana, spodziewając się ataku. Nawiasem mówiąc, ostrzeliwano forteczkę przez cały dzień.

Zrobił się dzień. Po Stalky’ m ani śladu. Zrobiłem naradę z jego starszym oficerem-krajowcem — ogromnym chłopem z siwizną na skroniach — nazywał się Rutton Singh, a pochodził z Dżallander. Uśmiechał się tylko, twierdząc, że wszystko będzie dobrze. Według tego, co on mówił, Stalky dwa razy już wychodził, nie wiadomo dokąd. Twierdził, że Stalky wróci z całą pewnością cało i dał mi do zrozumienia, że Stalky jest czymś w rodzaju nietykalnego *Guru*. Na wszelki wypadek wziąłem cały oddział na pół porcji i kazałem ludziom bić w murach strzelnice.

Około południa zerwała się taka śnieżycą, że nieprzyjaciel zaprzestał strzelaniny. Odpowiadaliśmy z rzadka tylko, ponieważ mieliśmy strasznie mało amunicji. Dawaliśmy najwyżej pięć strzałów na godzinę, ale za to przeważnie celnych. Naraz, kiedy rozmawiałem z Rutton Singhem, ujrzałem Stalky’ego, wychodzącego z wieży, z oczami obrzękłymi i w burce oblepionej lodem, czerwonym jak wino.

— Nie można ufać tym śnieżycom! — wołał. — Skoczcie czym prędzej i porwijcie, co się da. Między Khye-Kheenami i Malotami jest w tej chwili strzelanina.

Wysłałem Tertiusa z dwudziestu Pathanami. Brnęli przez jakiś czas w głębokim śniegu, aż wreszcie, w odległości jakichś ośmiuset łokci natrafili na coś w rodzaju obozu bronionego zaledwie przez paru ludzi i z pół tuzinem owiec przy ogniu. Ludzi natychmiast dokończyli<sup>104</sup>, zabrali owce i tyle zboża, ile mogli unieść, i wrócili szczęśliwie. Nikt do nich nie strzelał. Zdawało się, jak gdyby w pobliżu nie było psa z kulawą nogą, a śnieg padał wciąż dość gęsto.

— To się udało! — mówił Stalky, kiedy zasiadłszy do obiadu, pożeraliśmy barana upieczonego na stemplu od karabina. — Nie ma sensu narażać ludzi. Khye-Kheenowie i Maloci tłuką się teraz u wejścia do wąwozu. Ja nie przywiązuję wielkiego znaczenia do tych tak zwanych sojuszów.

Wiecie, co ten wariat zrobił? Ja i Tertius wyciągnęliśmy to z niego po kawałku. Pod basztą znajdował się podziemny spichlerz na zboże i Stalky, wysadziwszy w powietrze jeden głaz, uzyskał w ten sposób dostęp na drogę. Ponieważ to był Stalky, więc, oczywiście, nikomu o tym nic nie powiedział, lecz zachował sobie to wyjście dla swego własnego użytku, umieściwszy ciało biednego Everetta nad zejściem prowadzącym do piwnicy. Ile razy wychodzili, musieli usuwać ciało, a potem znów kłaść je na dawnym miejscu. Za to Sikhowie za żadne skarby świata nie byliby się do tego miejsca zbliżyli. Otóż, wydostawszy się przez tę dziurę w fortecy, stanął na drodze. Następnie w nocy i zawierusze przedostał się na drugi brzeg khudu, spuścił się aż na dno wąwozu, przeszedł w bród przez na wpół zamrznięty strumień, wydostał się na drugi brzeg ścieżką, którą przypadkiem znalazł, i w ten sposób stanął na prawym skrzydle Khye-Kheenów. Następnie — słuchajcie tylko! — poszedł dalej grzbietem, który się ciągnął równoległe do ich pozycji, zrobił jeszcze pół mili i stanął na ich lewej flance w miejscu, gdzie wąwóz nie jest tak głęboki i gdzie znajdowała się prawdziwa droga, wiodąca z obozu Malotów do obozu Khye-Kheenów. Wszystko to stało się około godziny drugiej w nocy i wówczas przypadkiem jeden człowiek go zobaczył — Khye-Kheen. Wobec tego Stalky sprzątnął go po cichu i rzucił na drodze — z piętnem Malotów na piersiach, takim samym, jakie miał Everett.

— Zrobiłem tylko to, co było konieczne! — mówił Stalky. — Gdyby był krzyknął, rozsiekano by mnie. Nie używałem tego przedtem, tylko raz jeden, kiedy po raz pierwszy szukałem tej drogi. Piechota śmiało może przejść tą drogą, wiecie?

— A jak to było z tym twoim pierwszym zabitym? — odezwałem się.

— Ach, to było w nocy po zabiciu Everetta, kiedy wyszedłem szukać dla siebie i swoich ludzi linii odwrotu. Jeden człowiek mnie zauważył. Sprzątnąłem go — *privatim*<sup>105</sup> — udusiłem. Ale jak zacząłem się nad tym zastanawiać, przyszło mi na myśl, że gdybym mógł znaleźć ciało — strąciłem je ze skał — i udekorować je na sposób Malotów, Khye-Kheenowie wyciągnęliby z pewnością z tego konsekwencje. Toteż następnej nocy zrobiłem tak. Khye-Kheenowie wściekają się na Malotów z powodu tych dwu podstępnych zamachów mimo zawarcia rozejmu. Wczesnym rankiem leżałem za ich okopami i obserwowałem ich. Wszyscy poszli na naradę do wejścia do wąwozu. Byli strasznie oburzeni. Nic dziwnego! — Wiecie, jak Stalky cedzi słówka powoli, jedno po drugim.

<sup>104</sup>dokończyć — tu: wykończyć. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*privatim* (łac.) — tu: po cichu. [przypis edytorski]

— Mój Boże! — wybuchnął naraz Dzieciuch, zaczynając rozumieć całą głębię tej strategii.

— Byczy mąż! — potwierdził z głębi płuc M<sup>r</sup>Turk.

— Stalky polował z zasiadki<sup>106</sup> — rzekł Tertius. — Oto wszystko.

— Nieprawda! — zaprzeczył Dick IV. — Nie pamiętasz, jak tłumaczył nam stale, że skorzystał tylko ze szczęśliwego zbiegu okoliczności? Nie pamiętasz, jak Rutton Singh obejmował go za nogi i czołgał się po śniegu i jak nasi ludzie wrzeszczeli?

— Ani jeden z naszych Pathanów nie wierzył, aby to mogło być tylko szczęście — mówił Tertius. — Przysięgali, że Stalky powinien się być urodzić Pathanem — a przypominasz sobie, omal że się nie pobili, jak Rutton Singh powiedział, że Stalky jest Sikh. Jakże się ten stary pocziwina rzucał na mego pathańskiego dzemadara! Ale wystarczyło, żeby Stalky palcem kiwnął, a wszystko siedziało cicho.

— Ale stary Rutton Singh już dobywał szabli i przysięgał, że spali każdego ubitego Khye-Kheena i Malota. To znów do wściekłości doprowadziło dzemadara, bo chociaż nie robił sobie nic z tego, że walczy z ludźmi tej samej wiary co on, nie chciał jednakże współwyznawców-mahometan pozbawiać możliwości dostania się do rajy. Wtedy Stalky zaczął im prawić kazanie na przemian w pusztu i w pendżabi. Gdzie on się nauczył pusztu, Beetle?

— Mniejsza już o jego język, Dick! — odezwałem się. — Podaj nam treść jego przemówienia.

— Pochlebiam sobie, że sam potrafię się dogadać z chytrym Pathanem, ale, do diabła, nie potrafię robić kalamburów w pusztu ani też na zakończenie przemówienia używać, jako ostatecznego argumentu, sprośnych dykteryjek! Stalky grał na tych dwu starych psach bojowych, jak... jak na katarynce. Oświadczył — a obaj oficerowie-krajowcy potwierdzili jego znajomość duszy wschodniego człowieka — że Khyee-Kheenowie i Malotowie umówili się na dowód dobrej wiary i woli poprowadzić na nas skombinowany atak, że jednak mimo wszystko, zbyt uparcie atakować nie będą, ponieważ, z powodu pewnych — jak je Rutton Singh nazwał — drobnych wypadków, wzajemnie sobie nie dowierzają. Że zatem, zdaniem Stalky'ego, byłoby dobrze, gdyby on wyszedł o zmroku ze swymi Sikhami, przeprowadził ich przez tę wściekłą, odkrytą przez siebie, kozią perć na tyły Khye-Kheenów, a następnie, kiedy atak zupełnie się już rozwinie, wpakował spoza Khye-Kheenów z wielkiej odległości kilkanaście strzałów Malotom. To odwróci ich uwagę i z pewnością wywoła wśród nich zamieszanie! — mówił. — A wtedy znów wy wyjdziecie z twierdzy i wymieciecie resztki. Zejdziemy się u wejścia do wąwozu, a następnie proponowałbym, abyśmy poszli do obozu Macnamary i przekąsili cośkolwiek.

— Ty dowodziłeś? — wtrącił Dzieciuch.

— Byłem o trzy miesiące starszy rangą od Stalky'ego, a o dwa miesiące od Tertiusa — odpowiedział Dick IV — ale chodziliśmy przecie wszyscy do jednego i tego samego liceum. Mogę śmiało powiedzieć, że ta nasza mała przygoda była jedyną, w której nikt nikomu niczego nie zazdrościł.

— To prawda — wtrącił Tertius — ale za to wybuchła nowa awantura między Gul Sher Khanem i Rutton Singhem. Nasz dzemadar mówił — i miał zupełną rację — że ani jeden Sikh nie zna się na polowaniu w zasiadce i że Koran-sahib<sup>107</sup> zrobiłby znacznie lepiej, gdyby wziął ze sobą Pathanów, którzy, jako górale, doskonale się na tym rozumieją. Rutton Singh ze swej strony przypomniawszy, iż Koran-sahib wie doskonale, że każdy Pathan jest urodzonym dezterem, podczas gdy każdy Sikh jest gentelmanem, mimo iż nie umie czołgać się na brzuchu. Stalky, chcąc rozstrzygnąć ten spór, zacytował jakąś anegdotę o kobiecie, z której obie strony ryczały ze śmiechu. A potem oświadczył, że tak Sikhowie, jak i Pathanowie mogą później odbić swe klótnie na Khyee-Kheenach i Malotach, że jednakże on weźmie ze sobą na tę górską wycieczkę Sikhów dlatego, że Sikhowie umieją strzelać. A to także prawda. Jeśli chcecie uszczęśliwić Sikha, dajcie mu tylko skrzynię amunicji, a on będzie jak w rajy.

— No i wyszedł! — mówił dalej Dick IV. — Jak tylko się ściemniło i trochę sobie pojedli, on i trzydziestu Sikhów zeszło po schodach w baszcie, salutując ciało małego

Przywódca, Konflikt

<sup>106</sup>to stalk — polować z zasiadki [tj. z zasadzki. Red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>107</sup>Koran-sahib — zniekształcone: Corkran-sahib, pan Corkran. [przypis edytorski]

Everetta, oparte w pionowej pozycji o ścianę. Ostatnie słowa Stalky'ego były: *Kubbadar! Tumbleinga!*<sup>108</sup>, po czym potumbleingowali w czarną nicość! Tuż koło dziewiątej rozpoczął się skombinowany atak: Khyee-Kheenowie zachodzili nam z boku przez dolinę, a Malotowie na wprost, strzelając z wielkiej odległości i wzywając się wzajemnie do poderżnięcia naszych niewiernych gardeł. Następnie podsunęli się aż pod bramę i zaczęli starą komedię, przezywając naszych Pathanów renegatami i wzywając ich do połączenia się z nimi w świętej wojnie. Jeden z naszych ludzi, młody chłopak z Dera Ismail, chcąc im odpowiedzieć, wyskoczył na mur, ale w tej chwili zeskoczył znowu, becząc jak dziecko. Raniono go w sam środek dłoni. Nie widziałem jeszcze nikogo, kto by mógł wytrzymać tę ranę, nie płacząc gorzko. Szarpie wszystkimi nerwami. Wobec tego Tertius chwycił za karabin i bijąc po łbach, zdołał przecie utrzymać tych drabów przy strzelnicach. Przyjemniaczki chciały otworzyć bramę i hurmem rzucić się na atakujących, ale to nie zgadzało się z naszymi planami.

Nareszcie, około północy, usłyszałem *uop uop uop* karabinów Stalky'ego z drugiej strony doliny, a równocześnie ogólne wymyślanie wśród Malotów, których główne siły znajdowały się niedaleko, ukryte za wyniosłością w terenie na zboczu. Stalky grzał ich, co się zowie, toteż, rozumie się, oni zwrócili się czym prędzej na prawo i zaczęli ostrzeliwać swych niewiernych sojuszników — Khye-Kheenów — regularnymi salwami. W dziesięć minut po rozpoczęciu przez Stalky'ego dywersji, po obu stronach doliny zabawa już była jak złoto. O ile można było widzieć, dolina przedstawiała widok bardzo urozmaicony. Khye-Kheenowie wysypali się ze swych okopów nad wąwozem i lecieli na Malotów, a Stalky — obserwowałem go przez lornetkę — skradał się za nimi. Doskonale. Khye-Kheenowie musieli przejść całą długość zbocza doliny aż do miejsca, gdzie można było przejść przez wąwóz i rzucić się na Malotów. Ci ostatni nie posiadali się z radości, widząc, że Khye-Kheenowie są atakowani od tyłu.

Wtedy mnie znowu przyszło na myśl dodać ducha Khye-Kheenom. Wobec tego, wyszedłszy z całą załogą posunąłem się *à la pas de charge*, biorąc w ten sposób we dwa ognie to, co — aby być łatwiej zrozumianym — nazwę lewym skrzydłem Malotów. Nawet wówczas, gdyby byli zapomnieli o swych sporach, mogli nas byli rozbić w puch jak nic, ale pół nocy już zeszło im na wzajemnym ostrzeliwaniu się i teraz woleli już strzelać do siebie dalej. Nic dziwniejszego w życiu swym nie widziałem! Jak tylko nasi ludzie zaszli flankę Malotom, ci natychmiast zaczęli grzać Khye-Kheenów jeszcze gorliwiej niż przedtem, aby pokazać, że są po naszej stronie, następnie zrobili skok naprzód na kilkaset metrów i strzelali dalej. Stalky, zauważywszy naszą taktykę po tej stronie, naśladował ją po swojej stronie i, jak Boga kocham, Khye-Kheenowie zrobili to samo.

— Wszystko to prawda — wtrącił Tertius — ale zapomniałeś powiedzieć, że aby nas zachęcić do szybszego posuwania się naprzód, przez cały czas grał na trąbce *Arrah, Patsy*.

— Doprawdy? — ryknął M<sup>r</sup>Turk.

Natychmiast zaczęliśmy śpiewać chórem *Arrah, Patsy*, skutkiem czego w opowiadaniu powstała przerwa.

— Wyobrażam sobie! — odpowiedział Tertius. — Ani jeden z byłych aktorów Al-ladyna nie zapomniał tego kupletu. — Tak jest, grał *Patsy*. Mów dalej, Dick.

— Nareszcie — opowiadał Dick IV dalej — rzuciliśmy obie gromady na siebie na małej płaszczyźnie u wejścia do wąwozu i przyglądaliśmy się, jak ten tłum powoli oddalał się, bijąc się, mordując, kłując i klnąc. Były to zbóje bardzo mocne i niebezpieczne; nie ścigaliśmy ich.

Stalky wziął jednego z nich do niewoli. Był to stary, emerytowany sepoj, który miał dwadzieścia pięć lat służby — pokazał Stalky'emu swój certyfikat — niesłychanie komiczna figura. Wczesnym rankiem próbował rzucić swoich ludzi do ataku na nas, teraz wściekał się na nich za tchórzostwo. Rutton Singh chciał go przebić bagnetem — Sikhowie nie rozumieją, jak można walczyć przeciw rządowi, któremu się uczciwie służyło — ale Stalky ocalił mu życie i bardzo się do niego przywiązał — przypuszczam, ze względu na przyszłość. Powróciwszy do fortecy, pochowaliśmy młodego Everetta — Stalky nie chciał ani słyszeć o wysadzeniu forteczki w powietrze i — zwialiśmy. Straciliśmy wszystkiego razem zaledwie dziesięciu ludzi.

<sup>108</sup>*Kubbadar! Tumbleinga!* — uważajcie, żebyście nie zlecieli! [przypis tłumacza]

— Tylko dziesięciu na siedemdziesięciu! — wykrzyknąłem. — I w jakiż sposób straciliście ich?

— Z zapadnięciem nocy przypuszczono do nas atak, podczas którego garść Malotów przedostała się przez mur. Zawzięty bój trwał przez parę minut, ale nasi chłopcy spisali się nadzwyczajnie. Całe szczęście, nie mieliśmy ciężko rannych, bo musielibyśmy ich nieść czterdzieści mil do obozu Macnamary. Aleśmy też drałowali! W połowie drogi staremu Ruttonowi Singhowi zabrakło już sił; położyliśmy go na czterech karabinach i burce Stalky'ego, a niósł go Stalky, jego jeniec i dwóch Sikhów. A potem ja zasnąłem. Można spać, idąc, jak nogi należycie zdrętwieją. Mac przysięga, że my wszyscy weszliśmy do jego obozu chrapiąc i żeśmy padali, gdzieśmy stanęli. Jego ludzie wciągali nas do namiotów jak tłumoki. Pamiętam, jak ocknąwszy się na chwilę, ujrzałem Stalky'ego śpiącego z głową na piersi Rutton Singha. On spał całą dobę. Ja spałem tylko siedemnaście godzin, ale zaraz potem rozchorowałem się na dyzenterię.

— Zaraz potem! Co za brednie! Miał dyzenterię, zanimeśmy się jeszcze połączyli ze Stalky'm w fortecy! — wykrzyknął Tertius.

— No, ty byś się lepiej nie odzywał! Ty potrząsałeś wciąż szablą pod nosem Macnamary i domagałeś się bezustannie oddania go pod sąd wojenny. Trzeba cię było co pół godziny arestować, żebyś mógł usiedzieć spokojnie. Przez trzy dni byłeś nieprzytomny.

— Nic sobie zupełnie nie przypominam! — rzekł Tertius spokojnie. — Pamiętam tylko, jak ordynans poił mnie mlekiem.

— A jakże się Stalky z tego wyłabudał? — spytał M'Turk, puszczając gęste kłęby dymu.

— Stalky? Po paru dniach był zdrow jak byk. Biedny Mac nie wiedział już, co począć, przy całej swej wiedzy oficera inżynierii. Widzicie, ja byłem chory na dyzenterię, Tertius szalał, połowa naszych ludzi cierpiała z powodu odmrożeń, a Macnamara miał rozkaz zwinąć swój obóz i wracać przed rozpoczęciem zimy. Wobec tego Stalky, który miał tylko swoje na myśli, zabrał mu połowę zapasów żywności, aby mu oszczędzić trudu włóczenia ich za sobą w równiach, skonfiskował wszelką amunicję, jaka mu tylko w ręce wpadła, i *consilio* i *auxilio* Rutton Singha pomaszerował z powrotem do swej fortecy z wszystkimi swymi Sikhami, ukochanymi jeńcami, z bandą ochotników i owym jeńcem, który wstąpił do jego służby. Razem miał sześćdziesięciu ludzi najrozmaitszego rodzaju — i swą niesłychaną bezczelność. Mac mało nie płakał z radości, patrząc na ich wymarsz z obozu. Widzicie, nie było wyraźnych rozkazów, aby Stalky wracał, zanim przełęczce staną się niemożliwe do przejścia, a Mac ma okropny szacunek dla wszelkiego rodzaju rozkazów, zaś Stalky też — o ile mu są na rękę.

— Stalky mi mówił, że idzie na wycieczkę w Engadin — wtrącił Tertius. — Siedział na moim łóżku, paląc papierosa i gadał głupstwa, że śmiałem się aż do łez. Na drugi dzień Macnamara sprowadził nas wszystkich na równinę. Był to jeden wielki wędrowny szpital.

— Mnie Stalky mówił, że Macnamara był dla niego po prostu błogosławieństwem Bożym — opowiadał dalej Dick IV. — Widywałem go często w namiocie Maca, przysłuchującego się jego grze na skrzypcach; po każdym kawałku bujał Maca tak, że ten zasypywał go po prostu oskardami, łopatami i nabojami dynamitowymi. To było ostatni raz, kiedyśmy Stalky'ego widzieli. Mniej więcej w tydzień później śnieg przełęczce zasypał i — o ile mi się zdaje — Stalky nie byłby bynajmniej zachwycony, gdyby go tam wówczas znaleziono.

— Święta prawda! — potwierdził piękny i spasiony Ebenezar.

— Bynajmniej nie byłby zachwycony! Ho, ho!

Dick IV podniósł swą chudą, wyschlą rękę z błękitnymi żyłami na grzbiecie dłoni.

— Zaraz, Kiciu, ja ci ustąpię, jak przyjdzie pora. Tak więc, wróciłem do pułku, a z wiosną, pięć miesięcy później, wysłano mnie znowu z detaszowanym oddziałem, złożonym z paru kompanii — niby to dla pilnowania kilku naszych przyjaciół po drugiej stronie granicy, faktycznie — na rekrutację. Miałem pecha, ponieważ pewien młody cymbał, Naick, aż do tych gór dotarł z odziedziczoną po ciotce głupią zemstą rodową, skutkiem czego okoliczna szlachta nie chciała do wojska wstępować. Prawda, Naick postarał się o krótki urlop, aby móc tę sprawę załatwić, wszystko było w porządku, na nieszczęście jednak tropił wuja mego najulubieńszego ordynansa. Skandal był zupełny, bo wiedziałem, że w trzy miesiące po mnie przyjdzie tu Harris od Ghuzneesów i zdmuchnie mi

tych wszystkich chłopów, których ja na próżno kokietowałem. Wszyscy byli oburzeni na Naicka, bo rozumieli, iż powinien mieć na tyle taktu, aby poczekać ze swymi... swymi bezwstydnymi miłostkami, dopóki nasze kompanie nie będą uzupełnione.

Ten bydlak miał jednak coś w rodzaju *esprit du corps*. Pewnej nocy przysłał mi człowieka z klanu swej ciotki z zawiadomieniem, że jeśli przyjdę do niego z eskortą, pokaże mi kupę doskonałych rekrutów. Śmignąłem tam przez granicę jak kot i jakich dziesięć mil w głębi kraju, w jednej nullah mój zbójnik pokazał mi około siedemdziesięciu ludzi rozmaicie uzbrojonych, ale trzymających się jak żołnierze królowej. Jeden z nich wystąpił z szeregu i wyjął starą trąbkę, zupełnie jak... jak on się nazywa... Bancroft, nie?... jak w pantominie szuka swej lornetki. A potem zagrał *Arrah, Patsy, pilnuj dziecka, Patsy dziecko swego patrz, Arrah, Patsy, pilnuj...* — Umiał tylko do tego miejsca, dalej ani rusz.

Ale i Dick IV także nie mógł iść dalej, bo my wszyscy odśpiewaliśmy tę starą piosenkę dwa razy i znowu dwa razy, i jeszcze, i jeszcze.

Ten drab oświadczył mi, że jeżeli ja potrafię zagrać resztę, to on ma dla mnie list od człowieka, do którego należy ta piosenka. Wobec tego, dzieci, zagrałem aż do końca tę starą melodię i oto, co wówczas dostałem. Wiedziałem, że was to ubawi. Dajcie spokój, bo podrzecie! (Wszyscy chcieliśmy zobaczyć dobrze nam znane, niezdarne pismo). Przeczytam wam głośno:

*Fort Everett, 19. II.*

Kochany Dicku lub Tertusie!

Oddawca tego listu ma sobie powierzonych siedemdziesięciu pięciu rekrutów, wszystko pukka diabłów, ale pragnących rozpocząć nowe życie. Z lekka ich już ostrugałem, a po wygotowaniu będą z nich chłopcy jak malowani. Chciałbym, żebyście ze trzydziestu dali memu adiutantowi, który, choć sam przez się koń Pana Jezusowy<sup>109</sup>, będzie ich tej wiosny potrzebował. Resztę możecie zatrzymać. Z przyjemnością prawdopodobnie przyjmiecie do wiadomości, że drogi poprowadziłem aż do granic terytorium Malotów. Wszyscy naczelnicy i kapłani, którzy brali udział we wrześnie awanturze, pracowali każdy po miesiącu, przy czym potrzebnego do budowy dróg materiału musieli dostarczać z murów własnych domów. Nad grobem Everetta usypany jest kurhan wysokości czterdziestu stóp, co może służyć doskonale jako baza do przyszłych pomiarów. Rutton Singh zasyła najuniżeńsze salaamy. Ja zawieram tu właśnie parę traktatów, zaś jeńcowi swemu — który również zasyła swe salaamy — nadałem miejscową godność Khan Bahadura.

*A. L. Corkran*

— Oto wszystko! — kończył Dick IV, kiedy ryki, wrzaski, śmiech i, jak sądzę, łzy, ustały. — Przeprawiłem tę szajkę możliwie jak najprędzej przez granicę. Już zaczynała cierpieć na nostalgię, ale przecie przyszli do siebie, kiedy wśród moich ludzi znaleźli kilku, którzy brali udział w walkach z Khye-Kheenami. Doskonali z nich byli żołnierze. A pomyślcie, że ja tych ludzi zebrałem w odległości jakichś trzystu mil od fortu Everett! A teraz, Kiciu, powiedz, co wiesz o dalszym ciągu tych historii.

Ebenezar zaśmiał się poniekąd nerwowo, nieszczerze, urzędowo.

— O, to drobnostka! Ja byłem w Simli na wiosnę, właśnie kiedy Stalky, zagrzebany w śniegach, zaczął bezpośrednio korespondować z rządem.

— Zaznaczmy przy tym — jak książę udzielnny — wtrącił Dick IV.

— Teraz ja mam głos, Dick! Zrobił mnóstwo rzeczy, których nie miał prawa robić, i skutkiem tego angażował rząd w coraz to nowe przedsięwzięcia.

— Zastawił zegarek rządu, co? — odezwał się M<sup>o</sup>Turk, dając mi znak głową.

— Mniej więcej coś w tym rodzaju: co jednak najbardziej drażniło, że to wszystko było tak słuszne i rozumne. Pojmujecie! Przychodziło tak w porę, jak gdyby miał wszelkiego rodzaju informacje, których, rozumie się, mieć nie mógł.

<sup>109</sup>koń Pana Jezusowy — w Niedzielę Palmową Jezus wjeżdżał do Jerozolimy na osiołku. [przypis edytorski]



— Ba! — wtrącił Tertius. — Gdyby o to szło, zawsze stawiałbym na Stalky'ego przeciw ministerstwu spraw zagranicznych!

— Robił, co tylko przychodziło mu na myśl, brakowało tylko, aby zaczął bić własną monetę — a wszystko pod pretekstem bicia tej drogi i zablokowania przez śniegi. Jego raport był po prostu zdumiewający. Von Lennaert, czytając go, zaczął sobie w pierwszej chwili wrywać włosy z głowy, a potem zaczął krzyknąć: „Do diabła, co to za jakiś nieznaną Warren Hastings? Trzeba go pochować. Trzeba go pochować oficjalnie. Wicekról tego nie zniesie. To niesłychane. Jego Ekscelencja musi go wziąć za łeb osobiście. Niech go pan zawezwie tu i niech mu pan da urzędowo nosa”. Sypnąłem mu nosa kolosalnego, ale równocześnie posłałem mu też i nieurzędową depezę.

— Ty?! — zawołał Dzieciuch zdziwiony.

Ebenezar istotnie przypominał przede wszystkim kota perskiego ze starannie utrzymaną sierścią.

— Tak jest — ja! — rzekł Ebenezar. — Nie było tego dużo, ale według tego, co ty, Dick, opowiadałeś, był to też zbieg okoliczności, bo ja depeżowałem:

Alladyn odzyskał swą żonę,  
Wasz cesarz się udobruchał,  
Lepiej, żebyś już ożył.  
Wszyscy będą zadowoleni.

Nie wiem nawet, jak się to stało, że ten stary kuplet przyszedł mi na myśl. Depesza nie była bynajmniej kompromitująca, a ja byłem pewny, że mu doda odwagi. Jedno się tylko nie zgadzało, mianowicie: Cesarzowi daleko było do udobruchania się. Stalky wyrwał się wreszcie jakoś ze swych gór i w jak najlepszym humorze przyjechał do Simli, gdzie miał być oddany na ofiarę.

— Przepraszam! — wtrąciłem. — Chyba Wódz Naczelny...

— Naczelny Wódz wyobrażał sobie, że besztając młodego, ledwo mianowanego kapitana — jak swego czasu King zwykł był besztać nas — trzymał w swych rękach ster rządów całego cesarstwa, równocześnie zaś von Lennaert podjudzał go. Kto wie nawet, czy nie von Lennaert podsunął mu tę myśl.

— W takim razie — rzekłem — od czasu kiedy ja tam byłem, stosunki zmieniły się na gorsze.

— Być może. Dość na tym, że Stalky'emu wsypano burę jak jakiemu sztabakowi. Mam powód do przypuszczeń, że Jego Ekscelencji aż włosy dębem stały na głowie — huczał nad nim godzinę — a Stalky stał na baczność w środku pokoju, zaś von Lennaert stojąc za nim, usiłował Jego Ekscelencję na migi mitygować, Stalky nie śmiał oczu podnieść; bał się, że wybuchnie śmiechem.

— Ale dlaczego nie udzielono mu nagany publicznie? — rzekł Dzieciuch z jasnym, dowcipnym uśmiechem.

— Dlaczego? — zapytał Ebenezar. — Aby mu dać możliwość poprawienia zwichniętej kariery i z litości nad jego ojcem. Wprawdzie Stalky ojca już nie miał, ale to nic nie szkodzi. Zachowywał się jak — jak sanawarski sierociniec, wobec czego Jego Ekscelencja uznała za stosowne łaskawie oszczędzać go. Wtedy to Stalky wstąpił do mnie, do biura. Usiadł naprzeciw mnie i siedział tak z dziesięć minut, z latającymi nozdrzami. A potem rzekł: „Kiciu, gdybym wiedział, że taki wywieszacz kosztów...”.

— To i to pamięta! — zawołał M<sup>r</sup>Turk.

— Że taki groszowy wywieszacz kosztów rządzi Indiami, jutro dałbym się naturalizować jako Moskal. Jestem *une femme incomprise*. Ta historia mnie zdruzgotła. Żeby przyjść do siebie, potrzebuję jakie pół roku urlopu i polowania w Indiach. Mogę dostać ten urlop, Kiciu?

Dostał go w przeciągu trzech i pół minut, a w siedemnaście dni później znajdował się już znowu w objęciach swego Rutton Singha — z okropnie zachlantaną opinią — i z rozkazem oddania komendy itd. Cathcartowi Mac Monnie.

— Uważajcie! — odezwał się Dick IV. — Pułkownik Departamentu Politycznego na czele trzydziestu Sikhów na wierzchołku góry. Uważajcie dzieci!

— Naturalnie, Cathcart, nie w ciemną bity, mimo że istotnie służył w Departamencie Politycznym, pozwolił Stalky'emu przez następnych sześć miesięcy polować w promieniu piętnastu mil dokoła fortu Everett. Wiedziałem dobrze, że oni, Rutton Singh, a także jeniec Stalky'ego — to była jedna ręka. Potem, zdaje mi się, Stalky po prostu wrócił do swego pułku. Od tego czasu już go nie widziałem.

— Ale za to ja go widziałem! — rzekł M<sup>r</sup>Turk, prostując się z dumą.

Jak jeden człowiek zwróciliśmy się wszyscy ku niemu.

— Było to z nastaniem tegorocznych upałów. Byłem w obozie niedaleko Dżallandra i pewnego dnia natknąłem się na Stalky'ego w jakiejś wsi sikhańskiej. Siedział na jedynym krześle urzędowym, z tuzinem dzieci na kolanach i z girlandą kwiatów na szyi; jakiś stary, bezzębny babsztyl klepał go po ramieniu, a co najmniej połowa ludności składała mu hołd. Powiedział mi, że wyjechał na rekrutację. Zjedliśmy razem obiad, ale ani słowem nie wspomniał o całej awanturze z fortem. Powiedział mi także, że gdybym potrzebował żywności, najlepiej zrobić, jeśli powiem, że jestem *bhai* Koran-sahiba. Tak też zrobiłem, a wtedy Sikhowie nie chcieli przyjmować ode mnie pieniędzy.

— Aha! To musiała być któraś ze wsi Rutton Singha! — rzekł Dick IV.

Przez jakiś czas paliliśmy w milczeniu.

— Słuchajcie! — odezwał się M<sup>r</sup>Turk, cofnąwszy się we wspomnieniach aż do liceum. — Czy Stalky mówił wam kiedy, jak to się stało, że Króliczy Bobek zdemolował wówczas pracownię Kinga?

— Nie! — odpowiedział Dick IV.

M<sup>r</sup>Turk opowiedział.

— Aha! — pokiwał głową Dick IV. — To znaczy, jeszcze raz powtórzył ten sam kawał. Stalky jest niezrównany.

— Co do tego, to jesteście w błędzie! — odezwałem się. — Indie są pełne rozmaitych Stalky'ch — z Cheltenham, Haileyburg i Marborough, o których nic a nic nie wiemy. Zaczną się niespodzianki, kiedy przyjdzie naprawdę do wielkiej wojny.

— Dla kogo to będą niespodzianki? — spytał Dick IV.

— Dla tych drugich. Dla panów, którzy jeżdżą na front wagonami pierwszej klasy. Wyobraźcie sobie tylko Stalky'ego gdzieś na południu Europy z odpowiednią ilością Sikhów i perspektywą łupu. Zastanówcie się tylko nad tym.

— Coś by w tym może było, ale ty jesteś zbyt wielkim optymistą, Beetle! — rzekł Dzieciuch.

— I mam prawo! Czyż nie mnie zawdzięczacie całą historię? Nie ma się co śmiać! Któż, jeśli nie ja, napisał, jak to „Alladyn odzyskał swą żonę” — co?

— A cóż to ma z tym wspólnego? — spytał Tertius.

— Bardzo dużo! — odpowiedziałem.

— Dowiedz tego! — rzekł Dzieciuch.

Dowiodłem.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kipling-stalky-i-spolka>

Tekst opracowany na podstawie: Rudyard Kipling, *Stalky i spółka*, tłum. Józef Birkenmajer, Oficyna Wydawnicza Viator, Warszawa 1993

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Dagmara Deska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0352-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).